
NOWE CZASY

Ten numer ukazuje się już po oficjalnym wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Stosowny więc czas, by poruszyć parę tematów z tym historycznym wydarzeniem związanych. O potrzebie podjęcia takich rozważań wspominaliśmy już w *Słowie* na wstępie ostatniego numeru CL z ubiegłego roku.

Trzeba sobie zdać sprawę, że przynależność Polski do Unii sprawia, iż jałtańska granica staje się o wiele bardziej *graniczna* niż w latach między upadkiem ZSRR a 1 maja 2004, bo kordon ten jawi się jako granica między Unią Europejską a „resztą świata”! Trudno oczywiście porównywać to z podziałem, jaki istniał w czasach *obozu zwycięskiego socjalizmu ze Związkiem Radzieckim na czele* – niemniej problem nowej granicy to nie tylko kwestia przekraczania punktów kontroli, czego kwestionować nie możemy, bo Europa nie pozwoli sobie na nieopanowany przepływ wszelkich towarów, w tym narkotyków, broni, materiałów wybuchowych itp., ale i niepożądanych ludzi (to też nasz interes). I nie tylko kwestia dodatkowych opłat za wizy... Jest jeszcze inny problem.

Nasi politycy (tacy, jakich mamy) zapewniają, że uczynią wszystko, by granica między RP a państwem Ukraina nie stała się jednak *żelazną kurtyną*. Korzyść ma być dwustronna, ale my poprawilibyśmy: powinna być *trójstronna*. Tą trzecią stroną są Polacy czy szerzej: cała polskość tamtej Ziemi, wliczając w to ocalałe dotąd ślady naszej historii i kultury. Przykładem może być nowe podejście strony polskiej do niemieckiej historii i kultury na ziemiach zachodnich.

Powstaje więc pytanie: czy nasz kontakt – współpraca, pomoc edukacyjna, socjalna, charytatywna – z odłączonymi Rodakami (pomijając stosunki całkiem prywatne) ulegnie jakiejś zmianie – na gorsze czy na lepsze? Czy starania o utrwalenie materialnych dokumentów naszego dziedzictwa będą bardziej czy mniej skuteczne (jeszcze mniej niż dotąd)?

Czy „Wspólnota Polska” i Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” będą nadal energicznie działać na rzecz Polaków i polskości na terenie państwa Ukraina – bo w przypadku Litwy, jak słyszymy, już nie tyle. Litwa również weszła do UE, więc wszelkie świadczenia zapewniające respektowanie odrębności polskiej *mniejści narodowej* stają się jej konstytucyjnym obowiązkiem (czy i jak się z tego wywiąże, to już inna sprawa). Świadczenia zaś ze strony polskich organizacji *polonijnych* nie będą się wobec Wileńszczyzny różniły podobno od tych, jakie otrzymują Polacy we Francji, Niemczech czy Brazylii.

Inaczej w państwie ukraińskim (którego droga do UE daleka, i czy w ogóle będzie to ta droga? Różnie być może...) i białoruskim. To jeszcze nie wszystko, że skomplikują się kontakty transgraniczne dla obywateli tamtych państw (bo mają nastąpić jakieś ułatwienia, może z czasem zniesienie wiz – jeśli Bruksela pozwoli). Są sprawy stokroć ważniejsze: co będzie na dalszą metę z językiem polskim i w konsekwencji z poczuciem polskiej tożsamości, skoro bohaterko przez Polaków przechowana w czasach komuny wiara rzymskokatolicka obraca się dziś przeciwko polskości ich dzieci i wnuków? Co będzie z polską edukacją młodych rodaków, z polską inteligencją – skoro w szkołach polskich i polskich klasach szkół ukraińskich coraz bardziej brak polskich nauczycieli – *vide* szkoły lwowskie – a absolwenci uczelni w RP nie chcą wracać na swoją ojcowiznę? (zresztą trudno się dziwić i ganić).

Takie myśli nachodzą człowieka, gdy to wszystko zaczyna rozważać. A może by nasze kresowe organizacje przygotowały jakiś wspólny apel, by przypomnieć władzom o tych wszystkich sprawach? One niby o tym wiedzą, ale czasem zapominają, zwłaszcza teraz, gdy ich myśli zaprzętają konkury do Brukseli i Strasburga.

Felieton

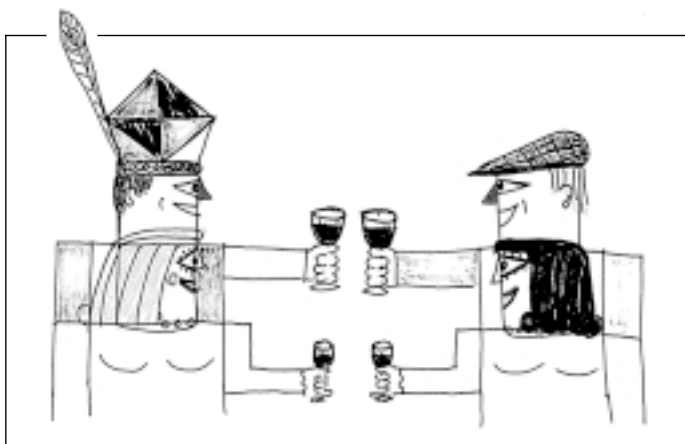
LWOWSKIE PIOSENKI

*C*zęsto zastanawiałam się nad fenomenem lwowskiej piosenki. Bo przecież nie tylko z przywiązania do Lwowa robiło mi się ciepło i pogodnie na duszy już przy pierwszych taktach melodii. Dopiero przeglądając teksty piosenek zebrane przez Zofię Kurzową i Jerzego Habelę, zdałam sobie sprawę w czym rzecz. A mianowicie piosenki te, przedstawiające sprawy zdawałoby się tragiczne, kończą się w specyficzny nieraz, absurdalny a rozśmieszający sposób. Taka jest piosenka o fryzjerczyku zakochanym w córce bogatego masarza. Otóż masarz nie zezwala córce wychodzić za mąż za biednego adoratora, a ten „zalał si łzami i kupił kiszki zy strychninami, a byłu tegu dwa metry blisku i zjedli razem z pannu Franciszku...” Historia tragiczna, ale piosenka na tym się nie kończy, bo na nagrobku nieszczęsnych kochanków pojawił się napis: „Tu leży on i panna Franciszka, przyczyna śmierci – zatruta kiszka”. Morał piosenki jest następujący: „Ni kochaj nigdy córki rzyźnika, bu możysz życi zakończyć lichu i jak ten fryzjir zatruc si kiszku”.

A piosenka o balu weteranów, o panu Bazylim, który „przyprasza na chwili, bo mu portki penkli dzieś na samym tyli. Przeci agrafka ni chyci, trza lecić pu nici, bo człek ciałym świeci fest a fest” Albo w piosence o festynie w Stryjskim Parku: banalne stwierdzenie „ży stoń ma wielgu tromby, to silna jegu broń, a ten, co tromby ni ma, to widać nie je stoń...” I bądź tu człowieku poważny, przy tego rodzaju twierdzeniach. Gdybyś był nie wiem jakim ponurakiem, musisz się uśmiechnąć – po lwowsku.

I na zakończenie piosenka o ochotnikach w wojnie z Ukraińcami: „Uchutników losy to wesoby dzieji, bo każy uchotnik to si w kutak śmieji. Gdy Rusina złapim, to mu po łbi dam...” Gdzie tu porównanie z inną wojskową piosenką?!

Barbara Czałczyńska



KRAKOWIACY I LWOWIACY

rys. Adam Macedoński

W Krakowie jubileusz

Andrzej Chlipalski

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich obchodzi w tym roku swoje XV-lecie: 1989–2004. Uroczystość rocznicowa odbyła się 24 kwietnia, a rozpoczęła ją msza św., odprawiona w południe, w Kościele Garnizonowym pw. św. Agnieszki. Celebrans, ks. prałat płk Henryk Polak, wygłosił piękną homilię, którą poniżej przedstawiamy.

W godzinach popołudniowych spotkano się w sali „Sokoła” na jubileuszowej akademii, którą prowadził prezes Oddziału A. Gyurkovich. Wicewojewoda, p. Jadwiga Nowakowska udekorowała troje członków

ks. płk Henryk Polak

JEST ZA CO DZIĘKOWAĆ BOGU

Homilia wygłoszona 24 kwietnia 2004 r. w Kościele Garnizonowym pw. św. Agnieszki w Krakowie w czasie mszy św. z okazji XV rocznicy powstania Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Ks. prałat pułkownik Henryk Polak jest proboszczem tego kościoła.

Jubileusz trzeba obchodzić z wielu powodów. Pierwszy to ten, by podziękować Panu Bogu. Myślę, że jest za co dziękować, za 15 lat działalności Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Najpierw za to, że Towarzystwo powstało, że przyszedł taki czas, gdy można było już oficjalnie mówić i działać, i pomagać swoim rodakom. I za to, że znajduje się tylu ludzi chętnych do pracy społecznej; ludzi, którzy chcą widzieć więcej niż tylko sprawy własne, sprawy swojej rodziny. Za to wszystko należy przede wszystkim Bogu dziękować.

Drugi powód obchodzenia jubileuszy jest ten, żeby podziękować ludziom, którzy poświęcają swój czas, swoje talenty, swoją mądrość życiową po to, by nie zapomnieć o swojej małej ojczyźnie, ojczyźnie ojców i swojego urodzenia.

Trzeci powód, dla którego trzeba obchodzić jubileusz, to ten, by dawać przykład innym. W dzisiejszym świecie zauważamy coraz bardziej, że ludzie pędzą szybko i zajmują się wyłącznie swoimi sprawami, interesami. Coraz mniej jest ludzi, których obchodzą problemy innych. Tym bardziej więc trzeba obchodzić jubileusze, które podsumowują dobrą działalność społeczną, która uczy, że człowiek nie może się zamknąć wokół włas-

nych spraw, ale że należy zauważać sprawy innych i próbować pomagać tam, gdzie pomoc można.

Jest taki psalm, mówiący o trudnej historii narodu wybranego, który znalazł się w niewoli. Kiedy kazano im śpiewać radosne pieśni syjońskie, oni mówili: jakże mamy śpiewać nasze pieśni w obcym kraju? W wypadku Kresowian – wprawdzie nie znaleźliście się Państwo w obcym kraju, bo w swoim, w Polsce, to jednak odcięci od macierzy, od korzeni, od rodzinnych stron, które będą zawsze najpiękniejsze, do których będzie się zawsze wracało z największym sentymentem. Ten psalm mówi: *Jeruzalem – jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica – niech język mi przyschnie do podniebienia, jeśli nie będę pamiętał o tobie, jeśli nie postawię Jeruzalem ponad największą moją radość...* Cała działalność Towarzystwa jest jakby spełnieniem słów tego psalmu: nie zapomnieć o swojej ojczyźnie i o rodakach tam mieszkających.

Przy obchodzeniu jubileuszu zauważyć należy szeroką działalność Towarzystwa. Chcemy pamiętać o ludziach tworzących jego kolejne zarządy, pracujących przy organizowaniu całej działalności. Nie wolno zapomnieć pięknej akcji wydawniczej – tyle pisanego słowa, które pozostaje jako spuścizna. To nie zginie, nie przeminie. Dzięki Bogu, że jest tylu ludzi, którzy piszą swoje wspomnienia, którzy pracują również naukowo po to, by upamiętnić swoją Małą Ojczyznę.

Wreszcie wypada zauważyć bardzo znaczącą działalność, jaką jest odsłanianie tablic, pomników – jako trwałych śladów. Nie będzie nas,

Zarządu Oddziału: Jadwigę Cieślak Złotym Krzyżem Zasługi, Zdzisławę Stopczyńską i Jerzego Żuka Srebrnymi Krzyżami Zasługi, a przedstawiciel Urzędu Miasta p. Władysław Weber odczytał list Prezydenta. Po kilku przemówieniach i odczytaniu listów gratulacyjnych na estradę wkroczyła „Paka Rycha” z Bytomia, której zabawny, lecz wzruszający program wzbudził ogromny aplauz widowni. Piosenki lwowskie śpiewała sala razem z wykonawcami.

Uroczystości towarzyszyła wystawa 15 plansz ze zdjęciami, obrazującymi różne wątki działalności Oddziału i Kół Regional-

nych. Osobna plansza była poświęcona naszemu kwartalnikowi.

Obszerne omówienie historii Oddziału i jego Kół Regionalnych – Stanisławowian, Tarnopolan, Stryjan i Zaleszczykowiek – ich działalności i osiągnięć, zostało zawarte w dwóch specjalnych wydawnictwach: folderze rocznicowym, a także w książce wydanej na tę okazję – *Lwów u siebie i pod Wawelem*. Tomik ten omówimy w następnym numerze CL.

Obok prezentujemy dwa zdjęcia z kalendarium naszego okresu aktywności krakowskich Lwówian, jeszcze przed powstaniem Towarzystwa (Wrocław – 22 września 1988, Kraków –

przemina kolejne pokolenia, natomiast te trwałe ślady będą mówiły o historii tamtych miejsc, o ludziach stamtąd pochodzących, tam urodzonych.

Przypomina mi się kościół w Brześciu. Wprawdzie znajduje się on na terenie państwa białoruskiego, ale historię ma podobną do tej, jaką przeżywało wiele świątyń kresowych. W kościele pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego w Brześciu, na ulicy dawniej Unii Lubelskiej – dziś Lenina, został odzyskany piękny, duży kościół. Wcześniej było tam muzeum przyrodnicze – w miejscu tabernaculum stały wypchane zwierzęta. Kiedy oglądałem kościół, zwróciłem uwagę proboszczowi – mojemu koledze – że zadbał o cały kościół, ale w bocznym ołtarzu, na nieładnym postumencie, stoi poobijana figura Matki Bożej. Zauważyłem, że powinien ją zamienić na nową, albo tę odnowić, bo nie pasuje do zadbanego wnętrza świątyni. A on mówi: – Nie rozumiesz, *ty durak* – ta figura pochodzi z tego kościoła, sprzed wojny. Wiele sprzętów liturgicznych – to co najcenniejsze – ludzie zdążyli zabrać i ukryć, a teraz wróciły one do kościoła. Ale nie wszystko dało się zabrać. Ta figura trafiła do miejscowego teatru jako rekwizyt. Po latach, kiedy znowu kościół wrócił jako świątynia do swojej funkcji, ktoś z pracowników magazynu teatru pomyślał, że należy tę figurę oddać na swoje miejsce. To jest właśnie ta figura. Przyznałem rację – rzeczywiście nie należy ani nowego postumentu stawiać, ani nowej figury, ani jej odnawiać. Ta poobijana figura jest świadectwem owych pięćdziesięciu lat ogromnego poniżenia, poniewierki wszystkich ludzi wierzących na tej Ziemi. Można powiedzieć: wszystkich Kresowian, całych Kresów. To jest symbol. Trzeba tylko przy tej figurze umieścić tablicę, żeby opisać historię tego zdarzenia, bo za 10–20 lat ludzie nie zechcą uwierzyć, że był taki czas, kiedy kościoły zamieniano na magazyny, kiedy nie wolno było się modlić, mówić po polsku, do Boga się przyznawać. Ta tablica będzie świadczyć, tak samo

jak wszystkie tablice i pomniki, które Wy odsłaniacie. One będą mówiły przez całe wieki.

Trzeba powiedzieć: to dobrze, że mówicie pełnym głosem, że prowadzicie taką szeroką działalność, i trzeba znowu zacytować piękny tekst: *jeżeli ci umilkną, kamienie wołać będą*. Jeżeli Was zabraknie kiedyś – bo taka jest kolej rzeczy – to pozostawione przez Was ślady w postaci książek, rozpraw, tablic, pomników – one za Was mówić będą.

W tym miejscu – patrząc na piętnaście lat działania Waszego Towarzystwa – przypomina się opera „Nabucco”, a z niej chór pielgrzymów – *Va pensiero*. Cały zniewolony naród wybrany śpiewa swą tęsknotę za wolną ojczyznę, modli się za swój naród i liczy na to, że on się odrodzi i wróci do świetności. Owe piętnaście lat trwania Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich to taki nieustanny chór pielgrzymów, modlących się za swój kraj, za miejsce swego urodzenia, za tych, którzy żyją po tej i po tamtej stronie granicy.

Ten śpiew – *Va pensiero* – to również ogromna działalność charytatywna, jaką prowadzicie. Kto dzisiaj policzy ofiarowane pieniądze na odbudowanie kościołów, polskich szkół? Kto policzy tysiące książek, które tam zostały przesłane, żeby dzieci mogły się uczyć ojczystego języka? Kto policzy tony paczek z odzieżą, z żywnością? Za to dzisiaj też Bogu i ludziom należy się wdzięczność.

Kiedy mówimy Kresy, Kresowianie, Lwów czy wszystkie inne miejsca na Kresach, przypominają się nam najwięksi Polacy, którzy przecież pochodzą z Kresów. Wspaniali poeci, ludzie kultury, wielcy narodowi bohaterzy – to są Kresy! I trzeba dzisiaj powiedzieć, że nie wiadomo, czy Polska wzywałaby w litanii Matkę Bożą jako Królową Polski, gdyby nie Kresy właśnie. To tam przecież, we

dokończenie na s. 25

▶ 25 lutego 1989). Zdjęcia z 1986 r. pokazują Lwowian na spotkaniu w „Krypcie” w piwnicach klasztoru oo. Dominikanów (później spotkania przeniesiono do pięknego gotyckiego Kapitułarza).

Na pierwszym zdjęciu widzimy p. Stanisława Wasiuczyńskiego – w czasie II wojny członek *Polowej Czołówki Teatralnej Nr 1* na Zachodzie – dawniej Lwowskiej Fali, który wraz z p. dr Janiną Winowską i o. płk. Adamem Studzińskim dali początek wspólnocie lwowskiej w Krakowie. To właśnie oni skrzyknęli i przygotowali nasze środowisko do zawiązania oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa.

Na drugim zdjęciu p. Ludwika Castori, niegdyś lwowska aktorka (była żoną dyr. Bronisława Dąbrowskiego, który przeprowadził wyjazd teatru ze Lwowa do Katowic) czyta wiersze na tym samym spotkaniu. Naprzeciw p. Ludwika siedzi p. Stanisława Kondolewiczowa, siostra Szczepcia (Wajdy), za nią o. Adam Studziński.

W następnym numerze zamieścimy inne jeszcze dokumenty fotograficzne wydarzeń i ludzi, przeszłych już do historii.



Od ponad roku prezentujemy Czytelnikom nowe wyniki badań naszych archeologów, historyków, językoznawców i naukowców paru innych jeszcze dyscyplin w sprawie prapolskości obszaru zwanego w jego dziejach różnie – Ziemią Czerwieńską, Rusią Czerwoną, ale najsluszniej: Małopolską Wschodnią. Wypowiedzi i publikacje na ten temat zagęszczają się w latach dziewięćdziesiątych. Wiemy już, że we wczesnym średniowieczu, obok współtworzących nasz naród Polan, Wiślan, Ślązan, Mazowszan i paru innych plemion prapolskich, byli także Lędzianie – to brakujące ogniwo po południowo-wschodniej stronie ziem polskich. Plemię zapomniane, bo rozplynęło się w żywiole ruskim, który – uchodząc na zachód przed Mongołami – zasiedlił te ziemie poczynając od X wieku.

Przedstawiane w naszym kwartalniku prace polskich badaczy powstają od lat kilkunastu. Wypada jednak zwrócić uwagę, że już o wiele wcześniej kwestionowano w Polsce zakorzenione opinie, narzucane przez ruskich historyków (głównie Hruszewskiego), o praruskości tego obszaru. O bezpodstawności takich poglądów świadczyło wiele faktów, jednak polscy uczeni długo nie podejmowali starań o naukowe zanegowanie ruskiej mitologii w tej dziedzinie.

A jednak tacy śmiałowkowie byli. Poniżej przedstawiamy artykuł napisany w latach 1920. przez znanego lwowsko-krakowskiego architekta i teoretyka-historyka architektury Jana Sas Zubrzyckiego. Jego wiedza nie dysponowała jeszcze tymi wiadomościami, jakie my mamy od lat 90., wykazał się jednak znakomitą intuicją i umiejętnością logicznego rozumowania. Nie zawsze traktowano poważnie jego poglądy, dziś jednak możemy z satysfakcją uznać, że nie były to pomysły pozbawione sensu.

W tekście Jana Zubrzyckiego, zaczerpniętego z „Pamiętkowego przewodnika po Lwowie” (Lwów 1927), uwspółcześniłmy pisownię i stylistykę, a także miejscami słownictwo – tam, gdzie mogłyby one utrudniać odbiór wywodu. Naszą intencją jest bowiem pełna zrozumiałość myśli Jana Sas Zubrzyckiego, który pierwszy odważył się głośno zakwestionować mało ambitną w tej materii postawę współczesnych sobie historyków polskich.

Z dziejów pierwotnych Lwowa

W książce *Historia Miasta Lwowa* dr. Fryderyka Papee'go [...] czytamy zdanie następujące: *Król ruski Daniło, gdy pomyślał o połączeniu Chełma z Haliczem, zauważył właśnie u źródeł Pełtwi najwyższą na tej przestrzeni górę ... tu więc zbudował Daniło gród i oddał go swemu synowi, któremu na imię było Lew [...]*. Dodaje ten uczony, iż Daniło postanowił pomyśleć o osadzie nowej i tak Gród Lwi się urodził.

Pomyślmy sobie, iż to jest cały dowód jedyny, którym nauka dzisiejsza rozporządza, aby rozpowszechnić i ustalić przekonanie, że Lwowa nie było przed wiekiem XIII oraz że powstanie nagle grodu tego daje prawo wyłącznie Rusinom. Kiedy przed dwoma laty ukazał się przewodnik na Targach Wschodnich, pouczono świat cały, jakoby we Lwowie na początku byli Rusini, Ormianie, Żydzi, Wołosi, Szkoci, Niemcy, Holendrzy, a nawet Tatarzy, lecz o Polakach we Lwowie wcale mowy nie było! – Tak głośną do dziś dnia przeważnie wszystkie przewodniki, wszystkie podręczniki, opisy i dzieła aż naukowe!

Dlaczegoż to tak się dzieje?... bo całym źródłem dla takich przypuszczeń jest twierdzenie zgoła ogólnikowe, niepoparte żadnymi dowodami, jakoby król ruski Daniło nagle pomyślał o założeniu grodu i darował go wnet swojemu synowi.

Jeżeli chodzi o ścisłość, to przede wszystkim powinniśmy na tej podstawie głosić, że Lwów założył Daniel, a nie Lew, bo ten ostatni otrzymał gród już osadzony z ręki ojca.

Tak to powaga nauki zadowala się pozorami wprost urojonymi, byle dogodzić zachciankom. Dla myślenia zaś tego nie potrzeba dowodów żadnych, a zatem wystarczy rzucić ogłoszenie i już jest gród założony.

O! jakaż tu zachodzi krótkowzroczność! Raz się mówi, że Lwów założył Daniło, a potem na ślepo się powtarza, iż książę Lew gród nasz nad Pełtwią stworzył. Już ta chwiejność wystarczy dla obalenia orzeczeń niejasnych! – Lecz... wobec rozgłosu głęboko zaszczepionego nie wolno myśleć inaczej.

Tu nie chodzi o żadne walki narodowościowe, tu rozgrywać się powinna jasność prawdy i to bezwzględnej, prawdy takiej, jakaby była w zgodzie z całym dziejami ziemi naszej.

Otóż właśnie względ na owe pierwiastki najdawniejsze każe przypominać całkiem dobitnie, że sam dr Papee we wspomnianej książce powołuje się na zapisę Nestora: *W r. 981 po nar. Chr. Pana wyprawił się Włodzimierz na Lachów i zajął grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody, które są aż do tego dnia pod Rusią.* – A zatem czyjeż to były ziemie, te Czerwieńskie? Nestor powiada dobitnie: Lachów! Przemyśl, Czerwień i inne grody były już przed rokiem 981. Uczeni polscy twierdzą, jakoby Lwowa wtedy nie było dlatego, ponieważ nie ma o nim nigdzie wzmianki w rocznikach. Są atoli świadectwa o tyle ważniejsze, jak zapiski w papierach i pergaminach, iż żyją po dziś dzień w ustach narodu i przykute są do ziemi, do łona przyrody.

Podniesiemy kilka tylko znaków. Oto istnieje do dziś nazwa Łysogóry, odnosząca się do góry Wysokiego Zamku, a wiemy dobrze, iż Łysogóry związane były z naszymi grodami najstarszymi. Jest Łysogóra koło Krakowa, jest Łysogóra w Wilnie, zwana także górą zamkową, czyli Turzą (od Tura pogańskiego), jest Łysogóra pod Kijowem, jest Łysogóra koło Kowna! Wiemy na pewno, że Łysogóry to Jasnogóry, a takie znamy po całej ziemi polskiej; Jasnogóra w Kieleckiem, na Polesiu, na Śląsku, no i Jasna Góra Częstochowska. Wszystkie Łysogóry i Jasnogóry w Polsce odnoszą się do wiary Światowida, przeto sięgają czasów bardzo odległych. Jeżeli jest tu, u źródeł Pełtwi, góra najwyższa na całą okolicę, w takim razie niepodobna przypuścić, iżby nie uczcili jej nasamprzód ci Lachowie, którzy tu – wedle Nestora – mieszkali przed rokiem 981, podobnie jak świącili Polanie pod Kijowem Łysogórę, czyli Jasnogórę. Tak, jak w czasach pogańskich czczono Łysogórę najgłośniejszą koło Nowo-Słupi w Sandomierskiem. Jest to w ogóle kult najstarszy na

świecie, odnoszący się do uwielbienia Boga z wyniosłości najwyższej na danej ziemi.

Tuż obok Łysogóry jest góra Lwia, znana pod tą nazwą w ustach narodu, jakkolwiek piaskarze lwowscy przezwali ją *piaskową* podczas rozbudowy Lwowa za rządów austriackich. Jak musi być starodawna ta nazwa Góry Lwiej, skoro wiemy wedle Długosza, że morze Czarne w zamierzczłej starożytności nazywano morzem Lwim (*Mare Leoninum*). A zatem góra Lwia w takiej nazwie istniała dawno przed księciem Danielem!

Ostatecznie nazwa grodu jako Lwów nie jest wyjątkowa. Jest Lwów, Lwówek koło Gostynia, Lwów na Śląsku, Lwówek koło Szczercza, Lwowo koło Płocka itd. Mógł być Lwów pod górą Lwią nad Pełtwią, zwłaszcza, iż nazwa *Czerwień* u Nestora właśnie do tego grodu Lwiego odnosić się musiała w pierwszej linii.

Za starodawnością osady, choćby spośród borów i lasów, mówi wyraziście nazwa pola Światowidzkiego, przezwanego tuż obok góry Lwiej *Kajzerwaldem* za cesarza austriackiego. Jakie to wołanie rozczulające, gdy lwowiak zapomniał o polu Światowida, a pamięta cesarza – Kajzera!... Rażą nas napisy łacińskie z czasów Austrii na budowlach, a nie staramy się wykorzenić Kajzerwaldu.

Skoro więc była *Jasnogóra* nad Pełtwią, tuż niedaleko *Czarnogóra* (koło Brzuchowic), skoro była *góra Lwia* i *Pole Światowidowe*, musieli tu być ludzie, którzy nazwania owe przykuli do ziemi. Byli to Polanie, czyli Lachowie, którzy w taki sam sposób nazywali wszystkie wyniosłości po całej Polsce.

Wywód ten zmierza do celu, aby wykazać, że Lwów musiał istnieć na wiele wieków przed księciem Danielem i księciem Lwem!

Sam kronikarz Dionizy Zubrzycki na samym początku swojego dzieła wyraźnie orzeka, że książę Daniło i Lew odbudowali Lwów po spaleniu i zniszczeniu, a nie założyli. Dlaczego tego nie chce uznać nauka polska?... To bardzo dziwne.

Na przedmieściu Żółkiewskim Lwowa stoi cerkiew pod nazwą Piątnicy, chociaż architektura jej zgoła cerkwi nie przypomina, tylko kościoł staroromański. Nazwa *Piātnicy* wiąże się z budowlą pierwotną tu sto-

jącą, którą odnieść musimy do czasów przed wiekiem XIII. Tu musiał być Czerwień jako Lwów najstarszy. Na Krakowskim zaś duma zabytek sędziwy, kościółek św. Jana Chrzciciela, pamiętający czasy św. Jacka Odrowąża. We wnętrzu tego kościółka ponad tęczę wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, tu z Kijowa przywieziony. (Patrz dzieło K. Widmanna: *Kościół św. Jana Chrzciciela*), Ks. Łobeski przytoczył ustęp z aktów kapitulnych, wedle którego kościół św. Jana Chrzciciela, jako najstarszy, widocznie musiał być zbudowany za św. Jacka Odrowąża, skoro już w r. 1250 objęli go w posiadanie Bazylianie i wówczas to obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, pochodzący wprost ze skarbcza kijowskiego, starszego o wiele od książąt ruskich, prawdopodobnie przywieziony tutaj za powrotem św. Jacka z Kijowa i tu złożony, dostał się chwilowo w ręce Bazylianów. Wszystko to świadczy o istnieniu miasta Lwowa przed księciem Lwem.

Jest jeszcze jeden dowód starożytności, także bardzo doniosły. Oto kościół Matki Boskiej Śnieżnej, który po wielorakich przeróbkach właściwie nie ma żadnej wartości, ale za to w rzucie poziomym, niewzruszalnym, objawiają się znamiona, należące wyłącznie do architektury polskiej. Niepodobna przypuścić żadnym sposobem, aby kościół ten budować mieli jacyś przybysze Niemcy, jak to głosi nauka polska, gdyż długość nawy równa długości części kapłańskiej, tęcza pomiędzy nimi, cztery okna po każdej stronie nawy głównej i wieża na przędzie to właściwości kościołów *duninowskich* z wieku XII, związane z kościołami granitowymi Polski i Łużyc.

Rozważmy teraz sposobem wypadkowym, co to oznacza wszystko razem? Że gród Czerwień, jaki przytacza sam Nestor, to pewnie gród pod górą Lwią z czasów pogańskich, a zatem z okresu sztuki i oświaty sarmackiej, o której nic mówić nie wolno, bo Sarmatów poczytują dziś za barbarzyńców najdzikszych. Jeżeli wzmiarki stare wspominają piątnicę św. Barbary, to bynajmniej nie oznacza ta nazwa stylu cerkiewnego lub bizantyńskiego, albowiem piątnica, z pięciu kopuł złożona, stała się właściwością sztuki nie ruskiej, lecz sztuki wschodniej, a potem i całej zachodniej. Kościół św. Piotra w Rzymie Bramantego, a później Michała Anioła

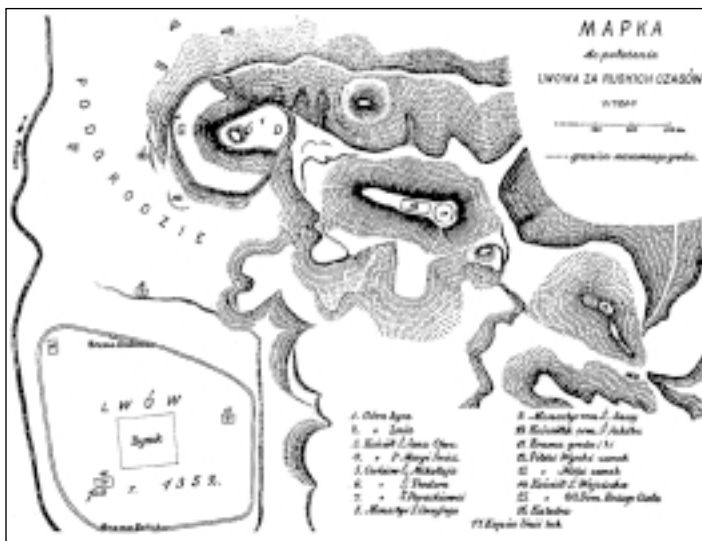
ma pięć kopuł, jest oparty o piętnicę sarmacką!...

A zatem – zebrawszy to razem, okazuje się nam najwidoczniej, że gród Lwi, czyli Lwów pod górą Lwią, to miasto o wiele starsze jak książęta ruscy. Nic zaprawdę nowego nie powiadamy, tylko pozwolujemy się na twierdzenie kronikarza Dionizego Zubrzyckiego, który w r. 1844, z początku samego dzieła, mówi stanowczo, że Lwów należy do miast, których początek i nazwa nikną w niedostępnej starożytności w czasach przedchrześcijaństwa.

Jakkolwiek nie możemy tu szeroko nad tą rzeczą się rozwódzić, jednak niepodobieństwem jest nie dodać uwagi ostatniej, że Długosz w samym początku *Dziejów Polski* tak powiada:

Lwów, trzecia stolica Polski, którą za Władysława III, Króla Polskiego z Halicza, do miasta tego przeniesiono. Znakomita jest dwoma zamkami, zamożna w towary, które morzem Czarnym spławiane tu latem przywożą.

Zadziwiać to nas może, dlaczego nikt o tym nie chce wspomnieć, a jednak dowód to jeden z najważniejszych dla wykazania, iż Lwów jako gród nie tylko istniał przed wiekiem XIII, lecz nawet był już wtedy tak wielki i tak potężny, że posiadał aż dwa zamki, ściśle wedle praw i zwyczajów czysto polskich; prócz tego był zamożny wskutek ogniska na wielkiej drodze handlowej – od morza Czarnego, czyli *Lwiego*, przez gród Lwi, aż do Gdańska. Ta droga kupiecka istnieć musiała jeszcze nawet w czasach przedziejowych, albowiem tędy głównie szedł bursztyn z Pomorza nad morzem Sarmackim, czyli *Białym*, aż do Egiptu i na starożytny Wschód, przez morze Czarne. Już Homer opisuje z lubością naszyjniki bursztynowe u trojanek, już za faraonów egipskich używany był bursztyn do wykładania nim obelisków i do rzeźb skarabeusza. Już wtedy drogą przez Lwów szedł ten wątek kosztowny aż do Persji i Babilonii. Dlatego jest to prawdą całkiem pewną, iż już za Wła-



Mapka wzniesień po płn. stronie Lwowa. Od lewej: Łysa Góra i góra zamkowa, dawniej rozdzielone, dziś tworzą jedną górę – Wysoki Zamek (po zasypaniu dzielącej ich dolinki). Dalej na prawo Góra Lwia, znana nam jako Góra Piaskowa. Mapka opracowana przez A. Czołowskiego, 1890 (wg O. Czerner, Lwów na dawnej rycinie i planie, 1997). Tytuł mapki należy dziś uznać za nieprecyzyjny, ponieważ pokazuje ona stan z czasów dawniejszych niż ruskie

dysława III Laskonogiego, panującego od 1202 do 1228 r., przeniesiono na ziemi ruskiej stolicę z Halicza do Lwowa. Niektórzy usiłują poglądnąć ten obalć naciągniętnym twierdzeniem, jakoby to przeniesienie miało nastąpić dopiero za króla Władysława Warneńczyka, od 1434 do 1444 r. berłem władającego. Jest to nieprawda, albowiem Kazimierz Wielki zdobywał Lwów, a nie Halicz, a królowa Jadwiga odbywała wjazd uroczysty do Lwowa, a nie do Halicza, gdzie – tu, we Lwowie, witano ją najserdeczniej. Ostatecznie wiemy na pewno, że już w r. 1350 starostą polskim **najpierwszym** we Lwowie był „pan” Otto Pilecki z Pilczy, a w r. 1368 Jan Kmita. O żadnym Rusinie staroście lwowskim nie słychać. Przeciwnie, dzieje mówią o Spytkach, Odrowążach itd. Odnosnie do dwóch zamków lwowskich: rządźili we Lwowie już w stułeciu XIV dwaj starostowie, co upewnia nas w przekonaniu, że Lwów był przed Władysławem Warneńczykiem stolicą (zapewne od r. 1202 do 1206) całej ziemi *ruskiej*, czyli *województwa ruskiego*.

Na taki Lwów przebogaty i wspaniałą przypadły wojny z Tatarami około r. 1241,

dokończenie na s. 65

Początki Lwowa

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ

W CL 1/01 (25) zamieściliśmy pierwszy artykuł dra Łukasza Walczego pt. „Dzieje wielkiego błędu. Ewolucja poglądów na początki Lwowa”, dotyczący mylnych wniosków w kwestii rodowodu miasta Lwowa, podejmowanych przez część polskich historyków w oparciu o historiografię ukraińską. Poniżej przytaczamy kolejną pracę Autora, przedstawioną na posiedzeniu Sekcji Historycznych Zespołów Osadniczych PAN w Krakowie 3 marca 1998 r.

Ośrodek osadniczy, znany od XIII w. pod nazwą „Lwów”, rozwinął się w czasach przedhistorycznych (tj. w okresie, gdy dzieje Polski względnie poprzedzających ją organizmów państwowych nie miały jeszcze bieżącej dokumentacji kronikarskiej). Podstawowym czynnikiem miastotwórczym był węzeł szlaków komunikacyjnych. Wysoka droga ze Śląska przez Kraków (wariant starszy przez Sandomierz i w górę Sanu przez Jarosław i Przemyśl, wariant nowszy przez Tarnów–Rzeszów–Jarosław) dzieliła się w dalszym ciągu biegu ku Morzu Czarnemu na szlak kuczmański, wiodący na Krym wzdłuż północnego skraja Wyżyny Podolskiej (na jej granicy z nizinym Pobużem), oraz szlak wołoski, biegnący zrazu na południe ku Dniestrowi na przeprawę pod Haliczem, a następnie wododziałem Dniestru i Prutu na Mołdawię. (Nieco później, już w czasach uchwytnych historycznie, wykształcił się czarny szlak na Wołyń oraz droga przez Chełm na Mazowsze i do Wielkopolski.) Położenie węzła komunikacyjnego wyznaczyło samo ukształtowanie terenu: dolina źródłiskowa Pełtwi stanowi najdogodniejsze przejście z Pobuża na Wyżynę Podolską; Góra Zamkowa zapewnia kontrolę nad tym przejściem¹.

Ciągłość osadnictwa na terenie podgrodzia na wąskiej równinie między Górą Zamkową a Pełtwią jest poświadczona archeologicznie od IX w., tj. od czasu przynależno-

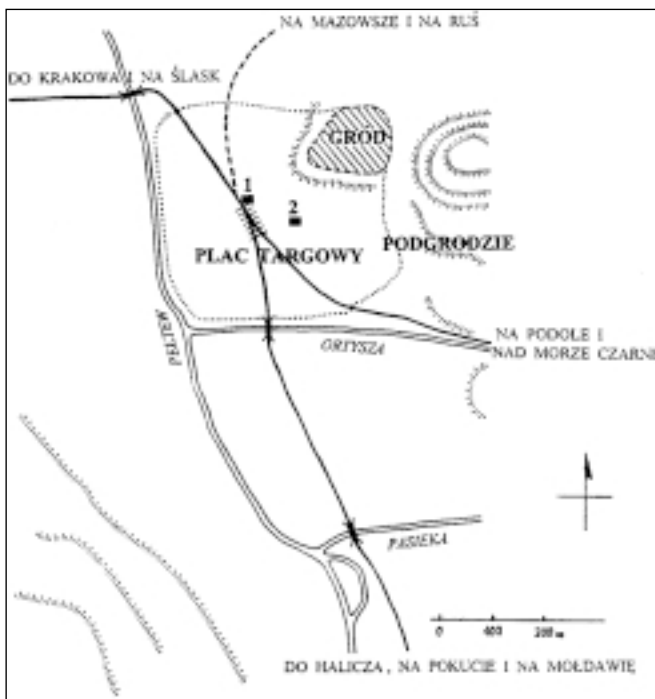
ści Ziemi Czerwieńskiej do państwa Wiślan (interpretacja znalezisk podczas budowy kolei ze Lwowa do Tarnopola i Podwoleczysk, w sąsiedztwie stacji Lwów-Podzamcze, przeprowadzona jeszcze w latach 70. XIX w. przez Schneidera); na Górze Zamkowej – od X w. (badania Ratycza z lat 1955–56)². Nauka sowiecko-ukraińska zgadza się z istnieniem osady poczynając od X w.³. Dodatkowym argumentem za tym jest stwierdzony podczas badań 1977 r. fakt wybudowania cerkwi św. Mikołaja (datowanej na koniec XIII w.) na wcześniej funkcjonującym cmentarzu – zatem najpewniej na miejscu starszej świątyni⁴.

Podgrodzie u stóp Łysej Góry (skrajnego zachodniego wzniesienia Góry Zamkowej, na którym stał pierwotny gród⁵) zachowało charakterystyczny element rozplanowania: wydłużony plac targowy – rynek, rozciągnięty po linii płn.–płd., zgodnie z przebiegiem głównego ciągu komunikacyjnego⁶. Dziś istnieje tylko południowa część tego placu: Stary Rynek; można jednak przeprowadzić jego hipotetyczną rekonstrukcję aż po cerkiew św. Mikołaja włącznie⁷. Wydłużone rynki (nawiązanie do przedlokacyjnych placów – „na wsi”) występują w miastach Śląska i Małopolski przenoszonych na „prawo niemieckie” przed r. 1230 (Złotoryja 1211, Środa Śląska 1211 [?], Lwówek 1217, Kraków – I lokacja na Okole – przed 1228), po roku 1230 pojawiają się rynki kwadratowe (1233 Trzebnica, 1253 Bochnia – bliżej Lwowa niż Kraków i 4 lata wcześniej niż krakowska „wielka lokacja”!)⁸. Wynika stąd *terminus ad quem* I (książęcej) lokacji Lwowa: najpóźniej 1241–42 (odbudowa po najeździe Batu-Chana). „Założenie Lwowa „około połowy XIII w.” przez Daniela Romanowicza (lub samego Lwa Daniłowicza) byłoby tylko kolejną odbudową po nowym najeździe (połączoną ze zmianą nazwy)⁹.

Pośrednim świadectwem dawności lwowskiego ośrodka osadniczego są typowo

wczesnośredniowieczne wezwania dwu najstarszych świątyń: cerkwi św. Mikołaja (pierwotnie zapewne kościół obrz. łacińskiego lub cyrylometodiańskiego pod jurysdykcją biskupów krakowskich¹⁰) i kościoła św. Jana Chrzciciela (kościół krakowski pod tymi wezwaniemi sięgają początkami co najmniej I połowy XII w.¹¹).

Ugruntowanie błędnej tradycji przypisującej „założenie” Lwowa księciu Lwu Daniłowiczowi zawdzięczamy autorom XVII-wiecznym: Alnpekowi i Zimorowiczowi, których opracowania wydano w tłumaczeniu polskim jeszcze w 1. połowie XIX w. Obaj podają datę „założenia” zbyt późną: r. 1270¹². Szaraniewicz (Rusin) w publikacji z 1861 r. uznał Daniela Romanowicza (ojca Lwa) za „założyciela”; samo „założenie” umieścił „około 1250 r.”, łącząc przekaz *Kroniki Wołyńskiej* o pożarze Chełma z roku 1259, widzianym ze Lwowa (najstarsza bieżąca wzmianka o Lwowie¹³) z wiadomością o budowie przez Daniela grodów „przeciw bezbożnym Tatarom”, podaną przed r. 1255 przez Latopis Hipacjański (Ipatiewski)¹⁴. Powtórzył to za nim w r. 1891 Czołowski i w r. 1894 Papee – ten ostatni rozpoczął swą monografię historyczną miasta (wydaną z okazji wystawy krajowej) kategorycznym wykluczeniem możliwości osadnictwa przed połową XIII w.¹⁵. W ten sposób tendencyjne twierdzenie nauki ukraińskiej zostało przyjęte przez historiografię polską i jest bezmyślnie powtarzane aż do dziś¹⁶ (mimo wskazania przez Charewiczową jeszcze w 1938 r. konieczności podjęcia zagadnienia od nowa¹⁷). Niektóre istotne wątki tradycji historycznej znalazły się przez to na zupełnym marginesie powszechnej świadomości (na przykład: tradycja dominikańska, wg której św. Jacek założył klasztor w osadzie p ó ź n i e j nazwanej Lwowem; opinia Kel-



Lwów przedlokacyjny (IX w.). Oprac. Ł. Walczy, rys. J. Szklarski.

1. Kościół św. Mikołaja, 2. Kościół św. Jana Chrzciciela.

lera/Cellariususa sprowadzająca rolę księcia Lwa do nadania Lwowowi nazwy, pod którą go znamy)¹⁸.

¹ August Zierhoffer, *Rola ziem południowo-wschodnich w Państwie Polskim*, Przegląd Krajoznawczy, R. 2: 1938, nr 4–5, s. 51–52; Witold Szolginia, *Tamten Lwów*, t.1: *Oblicze miasta*, Wrocław 1992, s. 17.

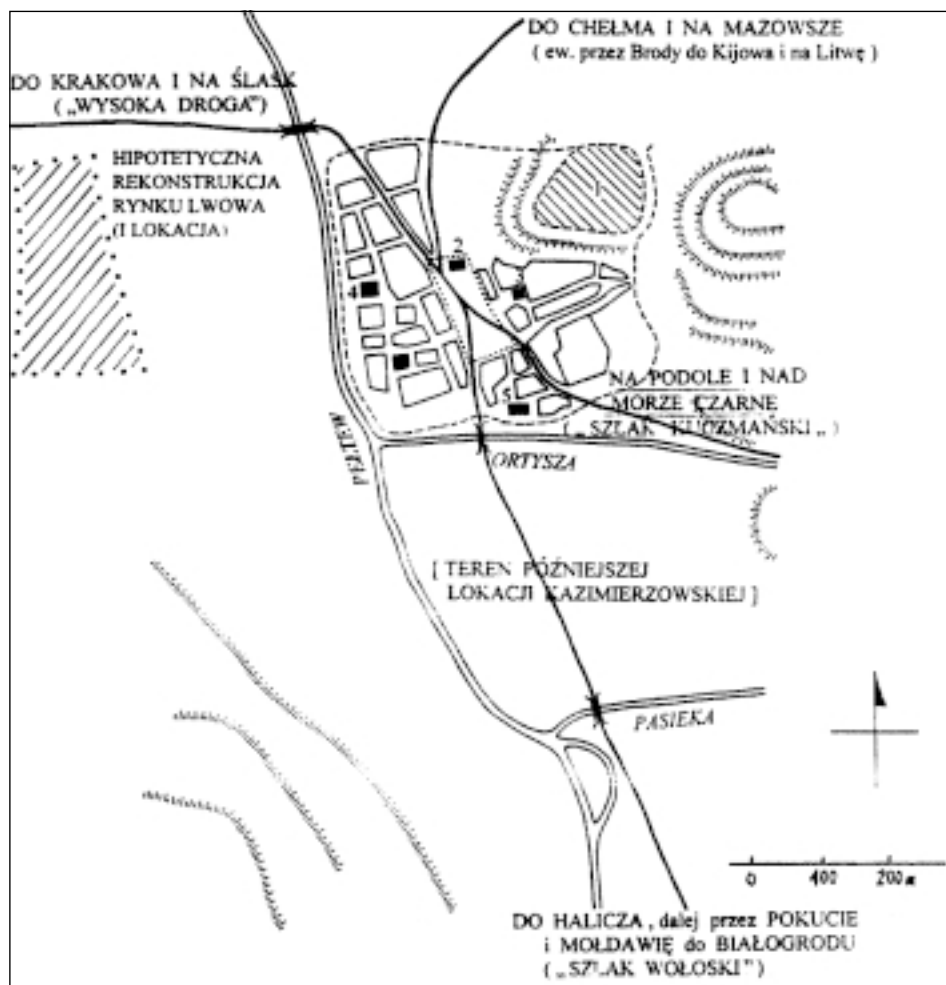
² Antoni Schneider, *Badania i poszukiwania archeologiczne w Galicji w ostatnich latach*, Przegląd Archeologiczny, R. 1: 1876, z. 1, s. 16–22; z. 2, s. 44–51; Oleksij Onysymowyc Ratyć, *Drevnorus'ki materialy z rozkopok 1955–56 rr. na Zamkovij hori u L'vovi*, Materiały i Doslidzennja z Archeologii Prykarpatt'ja i Volyni 1961, t. 3, s. 115–127.

³ Tet'jana Aleksandrivna Tregubowa, L'viv. *Architekturo-istorycznyj narys*, Kyiv 1989, s. 36.

⁴ Wołodmyr Vujcyk, *Derzavnyj Istoryczno-Architekturnyj Zapovidnyk u L'vovi*, L'viv 1991, s.9.

⁵ Sto tu obecnie ośrodek telewizyjny z masztem nadajnika – nowa dominanta w krajobrazie Lwowa.

⁶ „Wysoka droga” dochodząc z zachodu skręcała ku południowi w okolicy cerkwi św. Mikołaja; w pld. części osady podział: szlak ku c z m a ń s k i ku wschodowi – wzdłuż póź-



Lwów lokacji książęcej (najpóźniej po zniszczeniu przez Tatarów w 1241 r.) Na podstawie rekonstrukcji A. Rudnickiego oprac. Ł. Walczy, rys. J. Szklarski.

1. Gród, 2. Kościół (cerkiew św. Mikołaja), 3. Kościół św. Jana Chrzciciela, 4. Cerkiew św. Teodora, 5. Kościół Najśw. Marii Panny Śnieżnej

niejszych ulic Kurkowej i Łyczakowskiej, szlak wołoski ku południowi – linią późniejszej ul. Krakowskiej, zach. pierzei rynku miasta kazimierzowskiego i ul. Halickiej.

⁷ Pomysł takiej rekonstrukcji podsunęła Maria Borowiejska-Birkenmajerowa, odtwarzając rynek Krakowa i lokacji na Okole (między ul. Grodzką i Kanoniczą oraz od Poselskiej na płu. po kościół św. Marcina na pld. – zatem południkowe rozciągnięcie pl. św. Marii Magdaleny w obu kierunkach) – por. *Kształt średniowiecznego Krakowa*, Kraków 1975, s. 77, il. 64. Podkładem jest plan Andrzeja Rudnickiego, zestawiający oba założenia lokacyjne:

książęce i kazimierzowskie – repr. *Istoriya L'wova*, Kyiw 1984, s. 21 – oraz powtórka: Leszek Podhorodecki, *Dzieje Lwowa*, Warszawa 1993, il. 3.

⁸ M. Borowiejska-Birkenmajerowa, *op. cit.*, s. 73–76; Henryk Munch, *Początki średniowiecznego układu miejskiego w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem Śląska*, *Quartalnik Architektury i Urbanistyki*, R. 5: 1960, z. 4, s. 363; Feliks Kiryk, *Bochnia do połowy XVIII wieku*, w: *Bochnia. Dzieje miasta i regionu*, Kraków 1980, s. 78.

⁹ Spekulacje nt. pierwotnej nazwy: Wzniesienie (Woznesenie) – Zniesienie, zob. Jan Wagile-

wicz, Początki Lwowa, Kółko rodzinne (Lwów) 1860, nr 7, s. 111.

- ¹⁰ Gerard Labuda, *Czeskie chrześcijaństwo na Śląsku i w Małopolsce w XI i XII wieku*, w: *Chryścianizacja Polski południowej*, Kraków 1994, s. 89–91; Frank Kmiotowicz, *Kiedy Kraków był „Trzecim Rzymem”*, Białystok 1994, s. 43–44; Władysław Abraham, *Początki arcybiskupstwa łacińskiego we Lwowie*, Lwów 1909, s. 10.
- ¹¹ Kazimierz Radwański, *Kraków przedlokacyjny*, Kraków 1975, s. 208, 231.
- ¹² Historia – Opisanie miasta Lwowa przez Jana Alnpech, Radcę Lwowskiego... Pamiętnik Lwowski 1816, t. 1. nr 1, s. 3–4; Bartłomiej Zimorowicz, *Historia miasta Lwowa*, Lwów 1835, s. 61–62.
- ¹³ R. 6767 wg rachuby bizantyjskiej („od stworzenia świata”) – ostatnio rozwiązywane jako 1256 (Istorija L'vova v dokumentach i materialach, oprac. U.Ja. Edlins'ka, Ja.D. Isaevyč i in., Kyjw 1986, nr 1). Stąd uroczysty obchód „700-lecia Lwowa” w 1956 r.

¹⁴ Isidor Szaranevycz, *Starodavnyj L'vov*, w: *Starodavnyi halickii horody*. Čast 2, L'vov 1861, s. 12, przyp. 40, s. 16–17.

¹⁵ Aleksander Czołowski, *Lwów za ruskich czasów*, Kwartalnik Historyczny, R. 5: 1891, nr 4, s. 779–812; Fryderyk Papee, *Historia miasta Lwowa w zarysie*, Lwów 1894, s. 14, wyd. 2.: Lwów 1924, s. 21 (wyd. 2. różni się od 1. tylko dodaniem rozdziału o Obronie Lwowa).

¹⁶ Np. Olgierd Czerner, *Lwów na dawnej rycinie i planie*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1997, s.18.

¹⁷ Łucja Charewiczowa, *Historiografia i miłośnictwo Lwowa*, Lwów 1938, Biblioteka Lwowska, t. 37, s. 96.

¹⁸ Clemens Chodykiewicz, *De rebus gestis in Provincia Russiae Ordinis Praedicatorum commentarius...* Berdyczoviae 1780, s. 10–11; Andreas Cellarius, *Regni Poloniae Magnique Ducatus Lithuaniae omnimque regionum juri Polonico subjectarum novissima descriptio*, Amstelodami 1659, s. 317.



Lwów po lokacji Kazimierza Wielkiego (1356). Na podstawie rekonstrukcji A. Rudnickiego oprac. Ł. Walczy, rys. J. Szklarski.

I. Miasto książęce (wcześniej osada przedlokacyjna), 1. Gród, 2. Cerkiew św. Mikołaja, 3. Kościół św. Jana Chrzciciela, 4. Cerkiew św. Teodora, 5. Kościół NMP Śnieżnej, 6. Cerkiew św. Krzyża, 7. Kościół ormiański św. Anny. II. Miasto kazimierzowskie. 8. Wysoki Zamek, 9. Zamek Niski, 10. Kościół Wniebowzięcia NMP (fara, potem katedra łacińska), 11. Zespół klasztorny franciszkanów, 12. Kościół i szpital św. Ducha, 13. Katedra ormiańska, 14. Zespół klasztorny dominikanów, 15. Brama Krakowska (Tatarska), 16. Brama Halicka, 17. (poprzedniczka cerkwi Zaśnięcia NMP – *Wołoskiej*)

Walentyna Węgrzyn-Klisowska

WIELKIE LATA LWOWSKIEJ OPERY

Polskie opery historyczne na scenie Teatru Miejskiego (1900–1920) i Miejskiego Teatru Wielkiego (1921– –1939) we Lwowie

Tekst ten jest zmienioną wersją referatu wygłoszonego w październiku 2000 r. na międzynarodowej sesji zorganizowanej we Lwowie w ramach obchodów setnej rocznicy powstania Teatru Miejskiego we Lwowie.

Historia Teatru Miejskiego we Lwowie, jego repertuaru, burzliwych dziejów i wydarzeń artystycznych jest na ogół dobrze znana. Mimo wielu strat wojennych, jakie poniosła kultura muzyczna Lwowa, do naszych czasów zachowało się wiele cennych źródeł historycznych i muzycznych związanych właśnie z tą sceną. W wielu przypadkach źródła te stały się przedmiotem opracowań polskich muzykologów i historyków, choć ciągle mamy wrażenie, że nie wykorzystano dotąd wszystkich istniejących źródeł. Duże znaczenie miały tu fragmenty pracy Małgorzaty Komorowskiej dotyczące sceny we Lwowie¹. Praca ta ukazuje Teatr Miejski we Lwowie na tle innych polskich scen operowych, podkreślając z jednej strony jego typowość, a z drugiej strony specyfikę. Ta sama autorka rozszerzyła swoje rozważania o lwowski teatr w artykule pt. *Polska scena narodowa*². Ważnym ogniwem w rekonstrukcji dziejów lwowskiego teatru muzycznego stała się też znakomita praca Anny Wypych-Gawrońskiej³. Autorka dotarła do wielu nieznanych źródeł archiwalnych, notatek zachowanych w przedwojennej prasie polskiej, co pozwoliło na ukazanie wielu me-

chanizmów wpływających na kierowanie teatrem w tamtych trudnych czasach. Gawrońska podkreśliła fakt, iż polska scena operowa istniała we Lwowie już od 1872 r. na mocy Odezwy Komitetu Założycielskiego, którą reprezentowało Towarzystwo Przyjaciół Sceny Narodowej⁴. Ta trudna decyzja została podyktowana szykanami wobec polskich artystów stosowanymi przez ówczesne władze austriackie.

Współczesne prace o Teatrze Miejskim we Lwowie oparte są głównie na źródłach zachowanych w Bibliotece Instytutu Sztuki PAN w Warszawie, w cennych zbiorach Biblioteki Śląskiej w Katowicach (Biblioteka Teatru Lwowskiego) oraz na archiwaliach. W mniejszym stopniu uwzględniono źródła zachowane w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu oraz wspomnienia osób, które odegrały ważną rolę w kreowaniu życia muzycznego we Lwowie⁵.

Jeszcze przed zbudowaniem nowego gmachu teatralnego przez Zygmunta Gorgolewskiego w 1900 r. działalność Teatru Miejskiego we Lwowie miała charakter bardzo żywy, ambitny i aktywny. Teatr ten, podobnie jak sceny w innych miastach, łączył występy artystów dramatycznych, przedstawienia operetkowe, scenę operową, a także przedstawienia o charakterze okolicznościowym. Już od początku istnienia teatru ustalono konkretne dni tygodnia przeznaczone na przedstawienia operowe. Były to początkowo tylko dwa dni: wtorek i sobota. Pierwszy spektakl polskiej opery miał miejsce 6 kwietnia 1872 roku. Było to oczywiście dzieło silnie związane z polskim duchem narodowym: *Halka* Stanisława Moniuszki. Początkowo utwory polskich kompozytorów nie zajmowały wiele miejsca w programach polskiej sceny. Ambicją dyrektorów stały się przedstawienia wielkich dzieł operowych – Verdiego, Pucciniego czy Wagnera. Z czasem jednak dążenie do wskrzeszenia dzieł kompozytorów polskich stały się silne. Mity, legendy, podania, oparte na wydarzeniach i autentycznych losach postaci historycznych stały się podstawą do tworzenia nowych librett operowych. Pod pojęciem opery historycznej rozumiano wówczas tylko takie utwory, których fabuła osnuta jest wokół autentycznej postaci lub

wydarzenia historycznego. Niekiedy w przypadku polskich mitów i legend podział ten się zacierał. Nawet wtedy jednak postać miała swoje potwierdzenie w źródłach historycznych i literackich. Dotyczy to przede wszystkim bohaterów średniowiecznych.

Te zamierzenia mieściły się w ramach nurtu narodowego, który we Lwowie wybuchł z wielką siłą i namiętnością. Trzeba przyznać, że spektakle realizowane z wielką emocją nie zawsze miały wysoki poziom artystyczny. Była to realizacja długo skrywanego marzenia o oficjalnym przedstawieniu muzyki z tematami polskimi. Podkreślono to właśnie w dniu otwarcia Teatru Miejskiego w czwartek 4 października 1900 roku. Po raz pierwszy wystawiono *Baśń Nocy Świętojańskiej* według słów Jana Kasprowicz, z muzyką Seweryna Bersona, a następnie komedię w jednym akcie *Odludki i poeta* Aleksandra Fredry oraz polską operę w dwóch aktach *Janek* Władysława Żeleńskiego do słów Ludomiła Germana. Libretto – jak pisano wtedy – osadzono w modnym wtedy środowisku górali podhalańskich. Według zapewnień autora treść była oparta na wydarzeniu autentycznym. Nie miała jednak historycznego charakteru, ale przez wprowadzenie motywów ludowych pobudzała znacznie nastroje narodowe. Operę *Janek* powtórzono wiele lat później, 27 lutego 1926 roku. W szybkim czasie zaczęły wówczas powstawać dzieła o charakterze narodowo-historycznym, przeznaczone dla lwowskiej sceny narodowej. Już przed oficjalnym otwarciem teatru wiadomo było, że będzie on propagować twórczość rodzimych kompozytorów. Było to spowodowane tym, że cenzura austriacka nie była tak wyczulona na symbole narodowe, jak na przykład rosyjska w Warszawie. Na samym początku działalności teatru w nowej siedzibie oprócz wznowienia dzieł narodowych, jak *Halka* Mo-

nuszkii, *Goplana* i *Konrad Wallenrod* Żeleńskiego, wykonano pierwszą operę historyczną *Bolesław Śmiały* Ludomira Różyckiego. Autorem libretta był znakomity polski tenor Aleksander Bandrowski, który utworzył je według dramatu Stanisława Wyspiańskiego. Opera Różyckiego została napisana w latach 1906–1908, a wystawiona 11 lutego 1909 r. Starania o jej pokazanie trwały kilka lat, istniała bowiem już inna opera o tym samym tytule, napisana przez Ludwika Marka, wydrukowana w wydawnictwie Hasslingera w Wiedniu (ok. 1870 r.) i wystawiona wcześniej we Lwowie w roku 1876. Nawiązanie współpracy z L. Różyckim określano wtedy w prasie polskiej jako gest nowości i pojawienie się nowej ery w dziejach polskiego teatru, jednak konstrukcja nowego utworu Różyckiego, nawiązująca do założeń dramatu muzycznego, okazała się mało popularna wśród lwowskiej publiczności. Opera *Bolesław Śmiały* utrzymała się na scenie operowej tylko przez jeden sezon. Jej wystawienie miało wszakże ogromne znaczenie dla rozwoju tego gatunku w Polsce. W dziejach opery polskiej była to bowiem pierwsza opera historyczna po dziełach Józefa Elsnera. Ponadto ukazanie z taką mocą autentycznych postaci historycznych i związanych z nimi wydarzeń znacznie utrwaliło poczucie rodzimej sztuki narodowej z wyraźnym podkreśleniem związków muzycznych z przeszłością Polski.



Główny hol Teatru Miejskiego (Wielkiego) we Lwowie

Kolejnym historycznym dziełem operowym stała się tragedia muzyczna w czterech aktach *Mazepa* Adama Minchejmera⁶ oparta wprawdzie na dramacie Juliusza Słowackiego, ale – jak twierdzili autorzy – opiewająca losy postaci autentycznej. Libretto napisał Maksymilian Radziszewski na podstawie scenariusza Kazimierza Zalewskiego. Premiera tego utworu odbyła się w lwowskim Teatrze Miejskim 18 stycznia 1910 r. Utwór ten powstał jeszcze w 1885 r., ale popularność zdobył dopiero po wystawieniu. Początkowo *Mazepę* miano wystawić w operze w Antwerpii, ale po różnych zmianach głównych wykonawców zamiar ten odrzucono. Dziełem zainteresował się teatr operowy w Warszawie i tu po raz pierwszy zostało ono wystawione 5 maja 1900 r., w rocznicę 50-lecia działalności artystycznej kompozytora. Utwór wzbudził wielkie zainteresowanie za granicą. Po raz drugi *Mazepę* wystawiono w Turynie we Włoszech 29 października 1902 roku, a znana firma wydawnicza Gebethner i Wolf opublikowała dzieło w 1899 r. w postaci wyciągu fortepianowego. We Lwowie opera Minchejmera pojawiła się na fali odrodzenia narodowego. Barwna postać ukraińskiego hetmana pobudziła także wyobraźnię innego znanego muzyka, Raula Koczalskiego, który na przełomie 1904/1905 r. napisał inną operę pod tym samym tytułem, a jej druk w postaci wyciągu fortepianowego ukazał się w Lipsku w wydawnictwie Pabsta w 1908 roku.

Dużą popularnością cieszyła się we Lwowie trzyaktowa opera komiczna Mieczysława Sołtysa zatytułowana *Panie kochanku*, skomponowana w 1890 roku do libretta Henryka Kopji, oparta na noweli J.I. Kraszewskiego. Wykorzystanie autentycznej, barwnej postaci legendarnego księcia Radziwiła przypominało nie tylko dzieje dawnej Rzeczypospolitej, lecz także skomplikowane losy kilku narodów. We Lwowie opera ta została wystawiona 3 maja 1924 r., potem była wielokrotnie powtarzana m.in. w ramach cyklu „Tydzień polskich oper” (3–10 maja 1925). Dwa lata później na scenie lwowskiej pojawiła się następna historyczna postać: *Zygmunt August* – opera w pięciu aktach Tadeusza Joteyki do libretta kompozytora według dramatu Lucjana Rydla. Jej

premiera odbyła się 3 maja 1926 roku we Lwowie. Powtórzono ją w następnym sezonie, najpierw 22 listopada 1926 r., a potem, dwa lata później, w ósmą rocznicę wyzwolenia Lwowa, w zmienionej reżyserii i obsadzie. Burzliwe losy króla Zygmunta Augusta i jego żony Barbary Radziwiłówny były wielokrotnie kanwą twórczości literackiej i muzycznej. Premiera opery poświęconej *Barbarze Radziwiłównie* odbyła się na scenie lwowskiej jeszcze w 1893 r. – 18 września. Muzykę do tego dzieła napisał ceniony we Lwowie Henryk Jarecki, libretto zaś znany we Lwowie literat Adolf Kitschman, według dramatu D. Magnuszewskiego. Nie wiadomo jednak, czy ta opera była wznawiana po 1900 roku. Ten sam kompozytor napisał jeszcze jedną operę historyczną w trzech aktach *Jadwiga, królowa Polski*. Warto podkreślić, że w repertuarze teatru znajdowała się także opera innego kompozytora, Karola Kurpińskiego pod tym samym tytułem (z 1814 roku). O tym, że była wykonywana we Lwowie, świadczy pieczęć proweniencyjna teatru na jej rękopisie⁷.

Stale w repertuarze lwowskiej sceny narodowej znajdowała się *Halka* Stanisława Moniuszki, wykonywana także z okazji uroczystości narodowych. Nie była to wprawdzie rzecz historyczna, lecz spełniała wszystkie wymogi dzieła o charakterze narodowym. Nawet w czasie II wojny światowej powstały we Lwowie plany wystawienia *Halki* – dla pokrzepienia serc, do ich realizacji jednak nie doszło. Rękopis z planami scenograficznymi zachował się w zbiorach rękopiśmiennych Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, z pieczęcią Państwowego Teatru Opery i Baletu we Lwowie⁸.

Zanim jednak młodzi lwowscy kompozytorzy stworzyli nowe opery historyczne, przez cały czas wystawiano w teatrze dzieła wcześniejsze: *Króla Łokietka* Józefa Elsnera, przedstawienie *Widma* Stanisława Moniuszki, znane tu jako *Dziady*, oraz *Jadwigę* Henryka Jareckiego. Operę pod tym samym tytułem napisał Tadeusz Joteyko w 1928 r., ale w tym czasie jego losy były już związane z teatrem warszawskim. Jak więc widać, istniał w wyobraźni kompozytorów krąg postaci historycznych, które chętnie obierali za temat swojej twórczości muzycznej.

Interesującym pomysłem wykorzystania autentycznej postaci historycznej do celów scenicznych była opera w dwóch aktach z epilogiem znanego muzyka i muzykologa Henryka Opieńskiego *Jakub lutnista*. Dzieje znanego lutnisty, zwanego Polakiem lub Reysem, nie były wtedy tak popularne jak obecnie. Opera powstała w 1918 r., opublikowano ją w roku 1926, premiera odbyła się jednak w Poznaniu 21 grudnia 1917 r. Czy była także wystawiona we Lwowie, dziś trudno stwierdzić.



Adam Miłaszewski, dyrektor teatru lwowskiego w latach 1864–72

Wśród oper wykonanych na scenie lwowskiej jeszcze jedno dzieło cieszyło się wielką popularnością: była to *Wanda*, oparta na dziejach pół-historycznej, pół-legendarnej postaci, bohaterki wielu dramatów, powieści i oper. Jako jeden z pierwszych operę pod tym tytułem stworzył Karol Kurpiński do libretta Adama Dmuszewskiego (premierą w Poznaniu w roku 1826). Operę pod tym samym tytułem, dzieło kompozytora pochodzenia polskiego Wojciecha Franciszka Dopplera, wystawiono najpierw w Wiedniu w 1862, a potem we Lwowie w 1874 roku. Operę pięcioaktową zatytułowaną *Wanda, córka Krakusa* napisał jeszcze Kazimierz Hofman. Największą popularnością cieszyło się jednakże dzieło operowe H. Jareckiego pt. *Wanda*, zachowane do dnia dzisiejszego. Jeszcze inną operę o podobnym tytule *Legenda o królownie Wandzie* napisał także popularny w okresie dwudziestolecia Bolesław Wallek-Walewski.

Kolejną postacią historyczną w twórczości kompozytorów polskich to *Pani Walewska, mała hrabina*, słynna miłośca Napoleona, tym razem uwieczniona przez Ludomira Różyckiego. Opera została skomponowana w latach 1933–1935, a libretto do niej napisał Julian Krzewiński według powieści Wacława Gąsiorowskiego. Dużym zainteresowaniem cieszyły się także we Lwowie

operę historyczno-legendarną, opartą na losach obu narodów, polskiego i ukraińskiego. Znana opera Mieczysława Soltysa *Opowieść ukraińska* była wielokrotnie przygotowywana do przedstawienia. Egzemplarz tego utworu zachowany w Bibliotece Głównej Akademii Muzycznej we Wrocławiu⁹ jest pełen poprawek, uzupełnień i uwag o charakterze wykonawczym, zapisanych w wielu kolorach, a więc przez realizatorów.

Polskie postacie historyczne interesowały nie tylko polskich kompozytorów. Wydarze-

niem z wielu względów kontrowersyjnym okazała się premiera opery Giacomo Orefice pt. *Chopin*. Autorem libretta był Włoch Orvieto Angelo, a wystawiona była w tłumaczeniu Ignacego Ziółkowskiego. Nie znamy dokładnej daty premiery tego utworu. Odbyła się ona prawdopodobnie w sezonie 1904/1905, streszczenie libretta ukazało się już w 1904 r. w Warszawie. We Lwowie była ona znana i dużo o niej pisano.

Nie omawiamy tu szczegółowo widowisk historycznych, takich jak *Obrona Częstochowy* czy *Kościuszkę pod Racławicami*, bo nie mieszczą się w temacie niniejszego artykułu, ale jak wiadomo z przekazów źródłowych, wystąpili tu prawie wszyscy soliści Teatru Miejskiego. W zbiorach Zakładu Dokumentacji Życia Społecznego zachowało się wiele plakatów i programów z tych czasów. Wiele z nich ma dopisek: *przedstawienie nie odbyło się z powodu zatrzymania przez cenzurę*. Dziś patrząc na bogaty repertuar teatru lwowskiego nie zawsze możemy w pełni stwierdzić, jakie były realne zamierzenia dyrekcji, a co z tego się udało wykonać. Mocno ocenzurowany został na przykład tekst opery *Bolesław Śmiały* Różyckiego, *Chopin* Orefice, *Pan Tadeusz* Wydźgi i *Pan Wołodyjowski* Henryka Skirmunta

dokończenie na s. 35

Latem 2003 roku odnalazłam we Lwowie willę „Skiz” Gabrieli Zapolskiej. Fotografia stanu domu przeze mnie zrobiona, a zamieszczona w numerze 4/03 „Cracovia-Leopolis” nie w pełni jednak stan ten oddaje. Willę nazwano tytułem sztuki Zapolskiej¹, która była wtedy grana w „Teatrze Gabrieli Zapolskiej”, objeżdżającym Galicję, a któremu dyrektorował wówczas mąż pisarki, słynny artysta malarz Stanisław Janowski². Wcześniej, odwiedzając swoje miasto, szukałam tego domu, zakupionego i rozbudowanego na początku ubiegłego wieku przez słynną pisarkę-aktorkę, pierwszą damę ówczesnego Lwowa, kolekcjonerkę sztuki, oraz jej męża. Poprzednie poszukiwania ograniczyłam omyłkowo do okolicy dawnej Kolonii Profesorskiej³. Rozpytując tam o dom Zapolskiej i jej ulicę, przekonałam się, że nazwisko autorki znanej w świecie – chociażby tylko z *Moralności pani Dulskiej*, której akcja toczy się wszak we Lwowie (ale nie ukraińskim!) – nic tu nikomu nie mówić. A przecież – zacierając pamięć oraz znaki polskości Lwowa, niszcząc prawdziwą historię tego miejsca – niszczy się jednocześnie prawdziwie europejską kulturę miasta, o którym pewien warszawiak przyznawał, że leżało bardziej na zachód niż Warszawa. W fanatyzmie i zaślepieniu, miasto, które porównywano kiedyś do Florencji, skazywane jest – jak się okazuje, mimo dotacji UNESCO – na zniszczenie i prowincjonalizm.

Wspomnianą ulicę odnalazłam idąc tropem wskazanym mi przez znajomą Polkę, gdy nie mogłam nazwy ulicy Zapolskiej odnaleźć na planie. Rzeczywiście, tuż przy pętli tramwajowej na górnym Lyczakowie – wiedząc jednak, że taka ulica tu istnieje – szybko odcyfrowałam jej nazwę, nic tu nikomu nie mówiąc. W oczach miałam pamięć fotografii willi, gdyż kiedyś mocno interesowała mnie postać właścicielki, kobiety kontrowersyjnej, ale nieprzeciętnej – *femme geniale* według opinii A. Antoine’a, twórcy słynnego teatru w Paryżu.

Wkroczyłam szybko w tę ulicę, penetrując jej zabudowę, aż do samego końca.

Zaniedbanie. Niektóre domy i wille to już rudery, a na tym tle zupełna przypadkowość nowych inwestycji. Obraz zresztą podobny do wielu dzielnic większości miast po tej stronie granicy. Tyle że po tej stronie jest nieco wyższy stopień indywidualnej przedsiębiorczości. Wracając ulicą wolno, zrezygnowana i zdziwiona, sądziłam, że zabytkową willę rozebrano (co i u nas niestety się zdarza).

Na samym początku ulicy, wychodząc już z niej, w furtce wysoko zarosniętego płotu zasłaniającego jakiś dom, spostrzegłam mężczyznę, który mi się przyglądał. Bez nadziei prawie, spytałam – *Czy pan nie wie przypadkiem...?* Nie czekając na koniec pytania, od razu odpowiedział – *Tak, to tutaj.*

Dobrze mówił po polsku. Przed wojną mieszkaniec pobliskich Pasiak, teraz zajmuje tu dawny salon Zapolskiej. Poza nim w willi mieszka jeszcze trzech lokatorów. Wpuścić mnie do dawnego salonu absolutnie nie chciał, stojąc nieporu-

szenie w furtce. Po chwili jednak powiedział, że coś mi przyniesie. Wrócił, trzymając w ręce jak relikwie, słabe ksero z zamieszczonej gdzieś fotografii słynnej właścicielki w jednej z jej aktorskich ról.

Zapolska prowadziła także szkołę teatralną, bo szlify aktorskie zdobywała u samego Antoine’a w Paryżu, gdzie również występowała. Potem grała w Krakowie, by w końcu osiąść we Lwowie. Była nie tylko płodną pisarką, ale również felietonistką i recenzentką teatralną.

Od obecnego mieszkańca salonu Zapolskiej dowiedziałam się, że w willi, której obecnym właścicielem jest miasto, każdy z czterech lokatorów chylącego się do ruiny domu dokonuje wszelkich napraw na własną rękę. Najzamożniejszy z mieszkańców dobudował z boku garaż, zalewając betonem to, czego – jak twierdził mój rozmówca – na pewno nie należało zalewać. Władze miasta mówią – powiedział – że Zapolska i tak nie tutaj zmarła i w tym domu nie mieszkała pod koniec życia. To jest prawda. Na początku swej lwowskiej działalności i na jej końcu – mocno schorowana – nie tu miesz-

Marta Woźniak

Odnalazłam SKIZA

kała. Po dramatycznym i ostatnim z wielu rozstań z Janowskim, nie mogąc znieść samotności w domu, gdzie żyli razem, wydzierżawiła willę, przenosząc się na ulicę pierwotnego zamieszkania, bliżej środka miasta. Do końca życia tęskniła jednak bardzo za połączeniem się z mężem i powrotem do „Skiza”, na równi z tęsknotą całego życia za domem rodzinnym – dworem w Kiwercach na Wołyniu⁴.

Nasilające się rozliczne choroby, łącznie z postępującą ślepotą, były dodatkową przyczyną niemożności powrotu do trudnej do ogrzania zimą willi. Mieszkała wszak do końca w miejscu, które sąsiedowało bezpośrednio z terenem szpitalnym⁵.

Może władze miasta zamierzają tam właśnie, na dawnej ulicy Gołąba, albo Mikołaja Reja – bo mieszkała tu w dwóch miejscach – wmurować tablicę, a może urządzić *izbę pamięci* poświęconą tej nieprzeciętnej kobiecie, której twórczość należała niewątpliwie do dorobku kultury nie tylko europejskiej.

Władze obecnego Lwowa urządziły piękne muzeum (i słusznie) Salomei Kruszelniczej, wielkiej lwowskiej primadonny z początku XX wieku, Rusinki z pochodzenia, a przecież jej działalność artystyczna i spuścizna nie były chyba tak rozległe w porównaniu ze spuścizną Zapolskiej. Ta ostatnia była jednak Polką, a do tego jeszcze patriotką...

Ukraińcy natomiast – może z wyjątkiem nielicznych intelektualistów – twierdzą, że to oni tworzą Lwów od iluś tam wieków. A Polacy przez wieków sześć – to co? Może to miasto niszczyli? I tych trafiających się *przypadkowych* twórców innej narodowości nie można za bardzo eksploatować, prawda?

Mimo to UNESCO uznało to miasto, budowane przez „przypadkowych” twórców – z których nie wszystkim da się zmienić rodowód – jako miasto, które należy zachować w historycznym kształcie. W kwestii utrzymania jego kształtu, to na Cmentarzu Łyczakowskim (by użyć tylko tego przykładu), pod szyldem m u z e u m zacierane są skrętnie dawne polskie ślady. Pomału więc historia miasta pisana jest *na nowo*. Niszczenie pamięci to znamiona totalitaryzmu, tak jak obecnie tworzenie *globalnej wioski* także – między innymi – przez zacieranie. A czy Lwów musi się temu poddać? Tu w chorobliwej zazdrości niszczy się dowody wiekowego dorobku kultury. W ten sposób – niszcząc innych – niszczy się również samego siebie.



Mam w pamięci zdjęcie wytwornego wnętrza „Skiza”, a fotografie właścicielki ukazują wykwinną elegancję, o jakiej – że była kiedyś taka – dawno zapomnieliśmy, nie tylko we Lwowie. Stojąc u furki słynnej niegdyś willi, dowiaduję się, że zjechała tu niedawno jakaś ekipa telewizyjna. Mężczyzna mówi, że z Polski. I co? I żadnych rezultatów tej wizyty nie widać. Żal mi Polski i żal mi Lwowa.

Słowa te – komentarz do zdjęcia obecnego stanu domu Zapolskiej – może zachęca, daj Boże, do bardziej budujących reperkusji, a chociażby do rejestrowania następujących, podobnych faktów ze Lwowa. Wszecobecna degradacja nie może być usprawiedliwieniem upadku owego szczególnego w tej części Europy miasta, wpisanego na listę UNESCO – takiego, który spowoduje odebranie przez tę organizację funduszy na zachowanie kształtu i pamięci starego Lwowa.

1 marca 2004

przypisy na s. 66



Willi „Skiz” – stan obecny. Fot. Marta Woźniak

Archiwum

PRZEDWOJENNE PODRÓŻE WESOŁEJ LWOWSKIEJ FALI

Otrzymaliśmy miły prezent: potomkowie właścicieli restauracji z przedwojennego Bielska – gdzie stołowali się artyści lwowscy w czasie gościnnych występów w tym mieście – przekazali nam pamiątkową kartę, na której lwowiacy zostawili swoje autografy. Pod tytułem *Na pamiątkę od Wesołej Lwowskiej Fali* odczytujemy podpisy Władę Majewskiej, Wiktora Budzyńskiego, Józefa Wieszcza, Adolfa Fleischera, Mieczysława Monderera i Alfreda Schuetza (?). Na karcie nie ma daty. Ale...

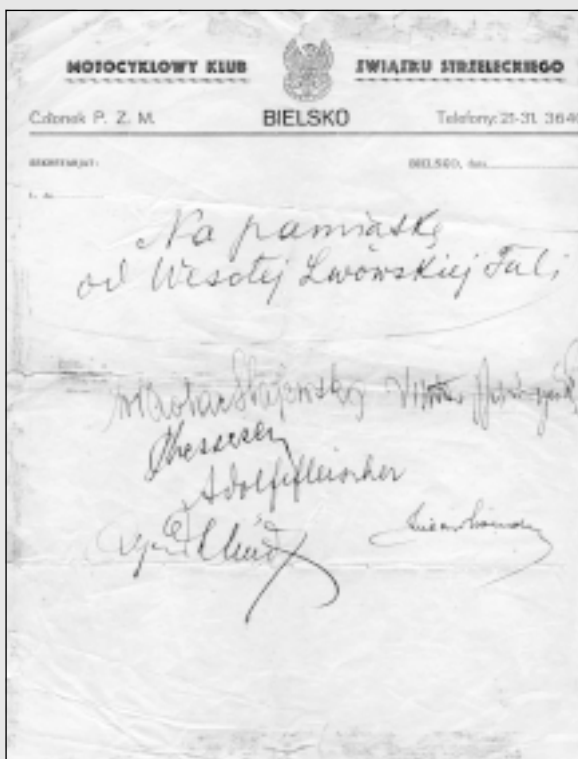
Jakimś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności krakowski „Dziennik Polski” 62/04 w tych samych dniach (kwiecień '04) przypomniał – na podstawie przedwojennego tygodnika „Światowid” z początku roku 1936 – gościnne występy Wesołej Lwowskiej Fali w Krakowie. Zjawili się tu wtedy (cytujemy): *Wiktor Budzyński, kierownik, reżyser i autor lwowskich audycji; Władę Majewska, świetna parodystka i piosenkarka; Józef Wieszczyk, niezrównany imitator przeróżnych ludzkich i nieludzkich głosów; Adolf Fleischer, kierownik i jednocześnie wykonawca międzynarodowych koncertów radiowych Lwowskiej rozgłośni; p. Korabiowski, wcielający się w charakterystyczną postać radcy Strońcia; Mieczysław Monderer, odtwórca satyrycznej figury Aprikosenkranza, prywatnie referendarz lwowskiej Izby Skarbowej; i wreszcie akompaniator zespołu Alfred Schuetz.*

Krakowski dziennikarz relacjonujący występ lwowskich artystów dodaje: *Po-*

wiało od nich nastrojem Lwowa, tym nigdzie nie spotykanym nastrojem beztrojski „lwowskich dzieci”, do których nam w Krakowie tak daleko! I dalej: Chciałoby się siedzieć dwa razy tak długo i słuchać tych przemyśłych dzieci lwowskich do rana. Okazało się bowiem, że drugie, sobotnie przedstawienie w Starym Teatrze zakończyło się prawie o godzinie pierwszej w nocy.

Może więc te bielskie i te krakowskie występy to była ta sama podróż? Choć niekoniecznie, bo artyści Wesołej Fali bywali w tych stronach co roku.

Ofiarodawcom pamiątkowej karty serdecznie dziękujemy. Zostanie ona niebawem skierowana do któregoś z archiwów. Może będzie to *Instytut Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich*, jeżeli nasze starania o jego powołanie przyniosą pozytywny skutek. Ale o tym innym razem.



Autografy artystów Wesołej Lwowskiej Fali z wizyty w Bielsku

Z Krystyną Czajkowską

rozmawia Janusz M. Paluch



Fot. Dominika Paluch

Pani Krystyno, jest Pani – jak sądzę – jedną z niewielu osób, którym dane było w sposób oficjalny dotrzeć do Lwowa w latach pięćdziesiątych. Jak do tego doszło?

W latach pięćdziesiątych prof. Stanisław Pigoń wydawał „Pisma wszystkie Aleksandra Fredry”. A wie pan, że dzisiaj przypada 34. rocznica śmierci Profesora?... Przy opracowywaniu jednego z kolejnych tomów okazało się, że niezbędne są autografy Fredry, które znajdują się we Lwowie. To był rok 1958. Prof. Pigoń otrzymał wówczas tę wiadomość od mieszkającego we Lwowie prof. Mieczysława Gębarowicza, o którym można by powiedzieć, że pełnił rolę ambasadora kultury polskiej w tamtym mieście...

Ja nazwałbym go raczej Wielkim Stróżem Dziedzictwa Polskiego...

Ma pan rację... On był już wtedy po ciężkich przeżyciach, gdyż usunięto go z Ossolineum. Pozwolono mu pracować w muzeum

etnograficznym... Ale on i tak utrzymywał ściśle kontakty z lwowskimi archiwami. Śledził losy podworskich archiwów, zbierał wiadomości o ich losach. Z ówczesnego archiwum wojewódzkiego znajdującego się przy kościele oo. bernardynów otrzymał informację, że przywiezione zostały archiwa Szeptyckiego. Te materiały, po śmierci metropolity biskupa Andrzeja Szeptyckiego, zostały zabrane z katedry św. Jura do Charkowa, skąd – pewnie po wnikliwym sprawdzeniu – pod koniec lat pięćdziesiątych przywieziono je do Lwowa. Wśród tych archiwaliów znajdowała się m.in. bardzo bogata korespondencja Aleksandra Fredry. Szeptyccy w chwili wybuchu II wojny światowej w 1939 roku zdeponowali swoje archiwum z Przyłubic u grekokatolickiego metropolity, który był przecież bratem polskiego generała, a wnukiem Aleksandra Fredry. Prof. Pigoń stwierdził, że koniecznie trzeba tam pojechać. Sam był już w podeszłym wieku, zwrócił się więc z prośbą do Polskiej Akademii Nauk o wysłanie mnie do Lwowa w celu obejrzenia, ocenienia i opracowania tych materiałów. Na takie pismo prof. Pigoń mógł jednak pozwolić sobie dopiero po 1956 roku, kiedy to uhonorowano go Nagrodą Państwową. Ówczesny prezes PAN prof. Henryk Jabłoński zareagował dość szybko. Otrzymałam wiadomość, że natychmiast mam złożyć stosowne dokumenty celem otrzymania paszportu. I już w grudniu 1958 roku pojechałam na dwutygodniowe stypendium naukowe do Lwowa. To był mój pierwszy kontakt z tym miastem.

Dzisiaj Pani opowieść o trybie załatwiania paszportu brzmi wręcz nieprawdopodobnie! Ale przecież tak było! Czy ma Pani rozeznanie, ile wtedy osób docierało do Lwowa w celach naukowo-badawczych?

Byłam drugą osobą delegowaną z ramienia PAN-u do Lwowa. Przedemną był prof. Zbigniew Goliński z Warszawy. Odprowadził mnie na dworzec kolejowy w Warszawie i zegnał w taki sposób, jakbym miała jechać na Sybir i nigdy stamtąd nie powrócić. Byłam przerażona! On wrócił ze Lwowa zdruzgotany całą sytuacją, jaką tam zastał. Jechałam najpierw do Brześcia, gdzie przeziadałam się na pociąg do Kijowa, a dopiero stamtąd miałam dotrzeć do Lwowa. Właśnie tam, w Kijowie, było moje pierwsze

zetknięcie się z tamtym, jakże różnym od naszego światem. Oczywiście w Kijowie nic nie wiedzieli o moim przyjeździe, a przecież to oni mieli załatwić mi pozwolenie na korzystanie z lwowskich archiwów podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych! Miałam ze sobą list od prof. Jabłońskiego, kłaniano mi się zatem w pas, bo przecież w sowieckiej strukturze prezes Akademii Nauk był drugim po Bogu! Wysłano mnie do Lwowa z obietnicą, że zezwolenie przyjdzie telefonicznie. I rzeczywiście przyszło!

**Jak pani wyjazd odbierany był przez znajomych, wśród których – jak sądzę – nie brakowało tych, którzy przed dwunastoma laty, sami lub z rodzinami, opuszczali Lwów czy inne miasta zagarnięte Polsce przez Sowie-
tów?**

Informacja o moim wyjeździe do Lwowa lotem błyskawicy rozeszła się po znajomych. Przyjmowałam wówczas masę gości, którzy przychodzili z prośbami o przekazanie listów, nawiązanie kontaktu z pozostałymi tam ludźmi. Między innymi nieżyjąca już Zosia Makowiecka z Warszawy, autorka kilku tomów „Kalendarium Mickiewiczowskiego”, dała mi lwowski adres swojej ciotki, pani Heleny Makowieckiej. Rozmowy i spotkania z tymi osobami jeszcze przed wyjazdem – to był właściwie mój pierwszy kontakt ze Lwowem, tutaj w Krakowie i Warszawie. Chyba nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego kresowego żywiołu zadomawiającego się między Odrą i Wisłą. Ale dzięki tym ludziom, rozmowom z nimi, jakże często wzruszającym, jechałam do Lwowa przygotowana – wydawało mi się – na wszystko...

I w końcu Pani pierwsze zetknięcie z miastem...

To był, jak wspominałam, wyjazd służbowy, na służbowym paszporcie, traktowano mnie więc dość poważnie. Dość wspomnieć, że ulokowano mnie w hotelu „George”. Ale też bardzo szybko zorientowałam się, że wciąż jestem pod „opieką”, pod jakąś kontrolą. Wiedziałam, że muszę zmylić opiekunów... Kiedy mi się to udało, pierwszą wizytę złożyłam właśnie pani Helenie Makowieckiej – chyba przy ul. Nabelaka... Ta wizyta zrobiła na mnie piorunujące wrażenie! Do dzisiejszego dnia pamiętam ją, tak jakby było

to wczoraj! Dzwonię do mieszkania. Długo nikt nie otwiera drzwi. Po chwili wychodzi pani Makowiecka, dość speszona... Dopiero, kiedy usłyszała, że jestem z Polski i przywiozłam jej list od Zosi z Warszawy, wszystkie uprzedzenia w jednej chwili prysnęły! Zostałam bardzo serdecznie przywitana... Weszliśmy do mieszkania. Wprowadziła mnie do pokoju, a tam obrazek zupełnie jak z XIX wieku! Przy okrągłym stole siedzi grupa wystraszonych dzieci... Ktoś niespodziewanie dzwonił do drzwi, ktoś zupełnie im obcy naraz wchodzi do pokoju... Okazało się, że przyszedłam w trakcie tajnej lekcji historii Polski! Pani Makowiecka bowiem udzielała dzieciom lekcji historii Polski, uczyła języka francuskiego, religii, przygotowywała dzieci do pierwszej komunii świętej. Ten pokój, ten półmrok w nim panujący, abażur wiszący tuż nad okrągłym stołem i te dzieci siedzące cichutko jak trusie na jakichś zeszytach, które pochowały w panice przede mną... Pani Helena opowiadała mi, że kiedyś przywieźli do niej chłopca z kołchozu aż spod Stanisławowa, z prośbą o przygotowanie dziecka do komunii świętej, pokazała mu krzyż, a ten zapytał ją: kim jest ten człowiek na krzyżu... Tych ludzi trzeba było wszystkiego od podstaw uczyć, bo nawet w domu, między sobą, bali się rozmawiać o religii. Od nieżyjącej już pani Romy Lankoszowej otrzymałam prośbę, abym koniecznie odwiedziła we Lwowie panią Anulę Mysłakowską. Przed wojną obie były uczennicami prof. Karoliny Lanckorońskiej, studiowały historię sztuki. Pani Lankoszowa powiedziała mi: – Ja nie znam adresu, ale Anulę znajdziesz na pewno w kościele. – Tak więc poszłam do kościoła...

Katedry rzymskokatolickiej?

Tak. Ale w 1958 roku czynne były jeszcze trzy kościoły: katedra, gdzie proboszczem był o. Rafał Kiernicki; kościół św. Marii Magdaleny, gdzie pracował ks. Hałuniewicz, i kościół św. Antoniego przy ul. Łyczakowskiej. Gdy przyjechałam do Lwowa rok później, kościół św. Marii Magdaleny już nie było. Zamknięto go i przerobiono na salę koncertową. Tak więc wchodzę do zakrytej katedralnej, a tam niesamowity ruch! Mnóstwo kobiet czymś zajętych, chodzą, rozmawiają o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia, zbierają intencje mszal-

ne... Nikt na mnie nie zwraca uwagi. Nagle jestem świadkiem takiej sceny. Jedna z pań pyta, głośno krzycząc: – Ludzie, powiedzcie mi kiedy w 1959 r. będzie Popielec?! – I tak zaczepiała wszystkich. Zbывano ją... – A po co to wam wiedzieć? Toż to dopiero Boże Narodzenie będziemy obchodzić! – Podeszła też do mnie: – Proszę pani, ja przyjechałam spod Winnicy. Ludzie mnie prosili, żeby dowiedzieć się, bo my nie mamy kontaktu z kościołem, my sobie sami musimy ułożyć kalendarz, kiedy przypada rzymskokatolicki post, to wtedy będziemy wiedzieli, kiedy wypadają święta wielkanocne. – Wtedy wyjęłam z kieszeni kalendarzyk i jej dałam. Ona dosłownie po rękach mnie całowała! Polski kalendarz w tym czasie był dla nich nieosiągalny. A w katedrze na tablicy ogłoszeń wisiał kalendarz pisany ręcznie... Czerwonym atramentem były zaznaczone święta zarówno rzymsko-jak i grekokatolickie. Wtedy zorientowałam się, że grekokatolicy nie chodzą do cerkwi prawosławnej, ale do kościoła rzymskokatolickiego. Później opowiadał mi o. Rafał Kiernicki, że nie tylko wierni, ale i kapłani grekokatolicy, którzy działali w całkowitym utajeniu, ci, którzy nie przystąpili do prawosławia. Podobno jeden z nich pracował jako woźny w Ossolineum. Ale przychodzili do katedry, siadali w ławkach i nawet spowiadali wiernych. Ojciec Rafał miał kłopoty z tego powodu, że udziela im w świątyni rzymskokatolickiej schronienia. Ale we Lwowie były świątynie i byli księża. Opowiadał mi prof. Gębarowicz o Krzemieńcu. Tam nie było księdza, Polacy zorganizowali jednak komitet przykościelny i mogli zbierać się w każdą niedzielę w kościele na modlitwy. Kiedyś w Wielki Piątek, po Drodze Krzyżowej i Gorzkich Żalach, ktoś postawił krzyż w konfesjonale... Ludzie, którzy całe lata nie mieli okazji przystąpić do spowiedzi, natychmiast ustawili się w kolejce do konfesjonatu i spowiadali się... To taki wstrząsający obraz! Jak wróciłam ze Lwowa do Krakowa, wtedy dopiero pomyślałam sobie, w jakim my żyjemy luksusowych warunkach! A Anulę Mysłakowską rzeczywiście odnalazłam w zakrystii. Ona bardzo ciężko pracowała w jakimś laboratorium chemicznym, myła naczynia. Była chora na reumatyzm. Jej bratu, Adamowi, udało się wyjechać do Polski, osiadł w Gdy-

Archiwum

SIEDEM MIAST

Przewodnik Statystyczno-Topograficzny i Skorowidz obejmujący wszystkie miejscowości (...) w Królestwie Galicji, Wielkim Xięstwie Krakowskim i Bukowinie (...) z roku 1872, napisany przez Konrada Okszę-Orzechowskiego, podaje liczbę ludności w największych miastach ówczesnej Galicji:

1. LWÓW	87 tys.
2. KRAKÓW	50 tys.
3. TARNÓW	21,8 tys.
4. TARNOPOL	20 tys.
5. KOŁOMYJA	18 tys.
6. PRZEMYŚL	15 tys.
7. STANISŁAWÓW	14,5 tys.

*Stwórco świata!
Popatrz na zagubionych
i tych pragnących świata żywych,
usuń horyzonty naszych myśli
tkwiące w wiecznym lęku przed nicością.
Dzięki Tobie wejdziemy w światło Nadziei,
staniemy się nieśmiertelni.
Jesteś Władcą i Królem Istnienia,
dźwigasz Majestat i cały ciężar Ziemi.*

WANDA DOBRZYCKA-SYKUT

Z wielkim żalem pożegnaliśmy na cmentarzu Rakowickim w Krakowie gorącą Lwowiankę, Poetkę i Malarzkę

**śp. WANDE Z DOBRZYCKICH
SYKUTOWĄ
I voto Górniak**

1912 – 21 I 2004

Z zawodu prawnik, wykształcona na UJK we Lwowie. Wydała kilka tomików wierszy, malowała kwiaty. Szkoda, że już nie ma wśród nas Pani Wandy.

Oddział Krakowski TMLiKPW
oraz Redakcja CRACOVIA-LEOPOLIS

ni. Potem ściągnął schorowaną Anulę. Zmarła w domu opieki pod Gdynią.

Proszę opowiedzieć o pracy w archiwum. Przecież tam również nie mogło obyć się bez kłopotów.

Rzeczywiście. Miałam trudności z dostępem do niektórych archiwaliów. Mieli takie powiedzenie: to nie po waszym temacie. Oni nie mogli zrozumieć, było to dla nich wręcz podejrzane, że ja się interesuję Fredrą, a chcę mieć dostęp do archiwów Szeptyckich. Musiałam im zrobić wykład genealogiczny i wykazać, że arcybiskup Szeptycki był wnukiem naszego dramatopisarza Aleksandra Fredry. To ich przekonało, ale już znacznie gorzej było przekonać ich, by udostępnił mi archiwum Leona Sapiehy. Tu sięgnęłam po argumenty, że obaj z Fredrą byli członkami Wydziału Stanowego, a także zaangażowani w budowę kolei krakowsko-lwowskiej... Mimo kłopotów wszystko, co potrzebowałam, udało mi się z tych archiwów wyrwać! Poza tym była to praca katorżnicza. Nie było mikrofilmów, nie było ksero... Ja całe to archiwum w rok przepisałam ręcznie! Gdy przejeżdżałam w Medyce przez granicę z tymi niezliczonymi zeszytami zapisanymi ręcznie, później przysyłano specjalnego urzędnika, który usiłował przejrzeć moje zapiski. Ale on był takim specjalistą, że nie potrafił rozróżnić moich notatek od rękopisu Kaczkowskiego, który na czyjąś prośbę miałam dostarczyć do Ossolineum we Wrocławiu. A jak zobaczył, że są tam notatki w języku francuskim i niemieckim, to z szacunkiem stwierdził: to wy pewnie „docient”..., co mnie rozśmieszyło.

Poznała Pani we Lwowie szereg dzisiaj już legendarnych postaci stanowiących dla Polaków swoiste koła ratunkowe.

Taką postacią numer jeden ówczesnego Lwowa był o. Rafał Kiernicki. Dla mnie po latach było wielkim zaskoczeniem, że ten ksiądz, który był tak zapracowany, całymi dniami siedział w konfesjonale i spowiadał ludzi, tak schorowany – opowiadano o jego opuchniętych nogach, że ledwo chodzi, szkanowany, pozbawiano go możliwości pracy jako duchownego – potem działał jeszcze jako biskup i był w stanie – dzięki Bożej pomocy – to wszystko przetrwać! Kilka razy z nim rozmawiałam. Opowiadał rzeczy

wstrząsające. Przyjeżdżali do niego ludzie z odległych stron Rosji. Oni zbierali pieniądze, oszczędzali urlop i kiedy już mogli, jechali do niego całymi rodzinami, np. spod Władywostoku! Właśnie stamtąd przyjechała kiedyś do niego cała wielopokoleniowa rodzina zesłańców polskich, którą chrzcili, udzielał ślubów, może nawet bierzmował... Ludzie przez kilkanaście lat nie mieli kontaktu z kościołem, kapłanem, Polską... To są jego słowa: „Miałem ochotę przed nimi uklęknąć, tak wytrwali w przywiązaniu do narodowości i religii. I takie godne życie prowadzili na zesłaniu”. Ojciec Rafał był właściwie pionierem ekumenizmu. Mówimy przecież o wydarzeniach jeszcze sprzed II Soboru Watykańskiego. Ja byłam zachwycona widząc w katedrze unitów i rzymskich katolików, że potrafią razem się modlić, że taka zgoda... Ale to był pozór, bo w kontaktach z ludźmi wyczuwałam, że konflikt polsko-ukraiński w nich tkwi, tli się przyprószonej popiołem. Czuło się wzajemną nieufność i to nawet na terenie kościoła... Ale nie u ojca Rafała. On był bardzo ekumeniczny. Pokazał mi kiedyś zwykłą puderniczkę. Niech pani patrzy – mówił – w tej puderniczkę przenosimy komunię świętą dla chorych do szpitala. Takie zwykłe puderniczki święcił i przekazywał wtajemniczonym kobietom. Opowiadał też, jak był zwywany do szpitala do umierających, w czym pomagały pielęgniarki katolickie i unitki: – Dostaję kitel lekarski, wszyscy wokół myślą, że ja jestem lekarzem, a ja chorego zaopatruję na śmierć. Dla mnie było też wielkim zaskoczeniem, że kobiety były dopuszczane do roznoszenia komunii świętej! Ale to było jedyne wyjście, on nie był w stanie obsłużyć wszystkich. Prof. Gębarowicz – ja tyle mu zawdzięczam! To on oprowadzał mnie po Lwowie! Dopiero w ostatnim tomie, za jego zgodą, mogłam mu podziękować za współpracę. Do niego co miesiąc ustawiały się kolejki ludzi, których wspierał. Wtedy też była bieda. Dwa dni mojej diety to była miesięczna emerytura! Profesor zajmował dwa pokoje wypełnione starymi, zabytkowymi meblami. Przychodziła do niego codziennie dr Maria Chmielowska, która pracowała kiedyś z nim razem w Bibliotece Baworowskich. Ona się opiekowała Profesorem, przygotowywała mu posiłki, była do niego bardzo przywiązana. Profesor opowiadał, że został we Lwowie

świadomie, by pilnować polskiego dziedzictwa. Opowiadał, że na początku lat pięćdziesiątych odbywał się nad nim sąd w teatrze. Sądzony był jak jakiś szpieg, szkodnik kultury... To było dla niego okropne przeżycie... Nie mogę sobie darować, że po powrocie do Krakowa nie opisałam tych długich rozmów z prof. Gębarowiczem. W jego mieszkaniu w dniu imienin profesora 1 stycznia 1959 r., poznałam też ucznia prof. Weigla, prof. Henryka Mosinga. Był on cenionym przez władze sowieckie mikrobiologiem. Zawsze wysyłali go w miejsca, gdzie wybuchały epidemie. Wykorzystywał te podróże do wyszukiwania polskich rodzin. Poznałam dziewczynę polskiego pochodzenia, którą on sprowadził do Lwowa, aby była bliżej Polski. Nikt nie wiedział, że był kapłanem. Wyświęcił go podobno kardynał Karol Wojtyła. Prof. Mosing mieszkał w instytucie na ostatnim piętrze i nikt się nie orientował, że on tam codziennie odprawiał mszę świętą. – Kiedyś zaprowadzono mnie do mieszkania wdowy po dyrektorze biblioteki Uniwersytetu Lwowskiego, pani Biernackiej. Mieszkała razem z bazylianką, zakonnicą, która pracowała jako pielęgniarka. Proszę sobie wyobrazić, że w tym mieszkaniu wypiekano opłatki i hostie, które były rozprowadzane po całej Rosji. Robiły to całymi dniami, a wszystko oczywiście owiane było tajemnicą.

Spędziła Pani we Lwowie święta Bożego Narodzenia. Jak Pani wspomina tamte święta?

Ach! To był dziwny dla mnie czas. Przecież przybyłam tam podczas adwentu. Każdego rana wychodziłam z hotelu i portier musiał mi otwierać drzwi... Za każdym razem dziwił się, co ja tak wcześniej wychodzę. Nie mogłam mu przecież powiedzieć, że idę na raty. Kościół był zawsze pełen ludzi. A jak pięknie śpiewali! Jedni żegnali się krzyżem łacińskim, inni grekokatolickim... Widać było, że są w kościele dwie nacje. A msze święte trwały bardzo długo, bo jeden tylko ksiądz rozdawał komunię świętą. Polskie święta ze śpiewaniem kolęd odbywały się potajemnie. Wprowadzona zostałam do jakiegoś mieszkania przez Anulę Mysłakowską. Kolędy śpiewano w pokoju od podwórka, przy szczelnie zasłoniętych oknach, żeby nie było wiadomo, skąd mogą dobiegać gło-

sy śpiewających nie dość, że po polsku, to jeszcze pieśni religijne. Spotkałam tam panią Stankówny – jedna z nich pracowała w archiwum, ale tam się nigdy nie знаłyśmy. Trzeba było wykazywać wiele ostrożności, by nikomu nie zaszkodzić.

Bywając w ówczesnych republikach radzieckich, dziwiłem się zawsze tej nadmiernej ostrożności. Nie docierało do mnie, że w naszym kraju było aż tyle wolności. A może to był przejaw młodzieńczej naiwności? Czy Pani zetknęła się we Lwowie z jakimiś szykanami ze strony policji czy tamtejszej bezpieki?

Tak, ale nie mnie to bezpośrednio dotyczyło. Pewnego dnia wracam do hotelu „George”, a tam już od progu woła do mnie jakiś młody człowiek z wyraźnym amerykańskim akcentem. Przedstawił się jako dziennikarz amerykański, oczywiście polskiego pochodzenia, któremu jako pierwszemu udało się dotrzeć do Lwowa. Krzyczy na cały hotel, że właśnie udało mu się porozmawiać z o. Rafałem i czy ja nie zechciałabym również porozmawiać. Odciągnęłam go na bok i zestrofowałam, że się tak nie afiszował tą rozmową z o. Rafałem, a ja nie będę mu udzielała żadnych informacji, bo pracuję tu naukowo i mam zamiar skończyć to, co robię. I pouczyłam go, by postępował w taki sposób, by nikomu nie zaszkodzić. Nie wiem, na ile to, co powiedziałam, było skuteczne, czy zrozumiał, co do niego mówiłam. On przecież przyjechał do nas z innego świata! Na drugi dzień polski Lwów zmroziła informacja, że o. Rafał został zatrzymany. Bez wątplenia przyczyną była ta rozmowa. Na szczęście, ku radości wszystkich, po przesłuchaniu o. Rafał wyszedł na wolność. Wie pan, Polacy byli wtedy bardzo życzliwi, bardzo solidarni. Ojciec Rafał łączył ich, konsolidował...

Dzisiaj nie ma we Lwowie Ojca Rafała, podobno nie ma też czego się bać, ale i Lwów, ten polski, który przetrwał tyle prześladowań, nie jest ani solidarny, ani żyty. Szkoła! Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.

KRYSTYNA CZAJKOWSKA, dr polonistyki, pracowała w Instytucie Badań Literackich PAN w Krakowie.

Z ks. Krzysztofem Panasowcem rozmawia Andrzej Chlipalski

Zielone Świąta w Dolinie



Już po raz drugi udziela nam Ksiądz wywiadu – pierwszy raz niespełna dwa lata temu (CL 3/02). Mówiliśmy wtedy o oazach w Dolinie, które stały się już sławne, a także o pierwszych latach Księdza w Dolinie, kiedy trzeba było budować wszystko od nowa. Ale zawsze dzieje się coś nowego, więc warto to przekazać naszym Czytelnikom.

Rzeczywiście. W ubiegłym roku (2003) założyliśmy w Dolinie Caritas. Zakupiliśmy stary budynek o trzech kondygnacjach – dawny browar. Teraz go remontujemy. Od przyszłego roku uruchomimy tam – na parterze – kuchnię dla najbiedniejszych, na jakieś 30 posiłków. Na I piętrze będą inne jeszcze formy pomocy humanitarnej: apteka darów i sala dla samotnych osób w ciężkim stanie. Na II piętrze zamieszkają siostry zakonne, które to wszystko będą prowadzić. Liczymy na bezhabitowe Honoratki.

Rozumiem, że wasz Caritas będzie należał do szerszej organizacji diecezjalnej? Ilu podopiecznych ma Ksiądz pod opieką Caritasu?

Na razie są tylko Caritasy parafialne, rejestrowane w Kijowie, ale nad nimi jeszcze nie ma „czapy”. Mamy swój statut, możemy działać w całym województwie. Dziś opiekujemy się około stu osobami w moich trzech parafiach – Dolinie, Bolechowie i Kałuszu. I jeszcze jakieś 50 osób możemy obsłużyć doraźnie. Poza tym w każdej parafii jest kółko charytatywne, które opiekuje się m.in. rodzinami wielodzietnymi.

Wszyskimi na tym terenie?

Tymi, które chodzą do kościoła, także ukraińskimi.

Dlaczego ci właśnie Ukraińcy przychodzą do kościoła, a nie do swoich cerkwi?

Motywacje są różne. Najprostsze to te, że na przykład kościół jest bliżej, że msza jest krótsza i można usiąść. Albo, gdy dziadek lub babcia byli Polakami... I wnuk już się przyzwyczaja. Chodzi do kościoła, tu się angażuje.

Czy grekokatolicy i prawosławni nie mają o to pretensji?

Nie mamy antagonizmów, nie posądzają nas o „kaperowanie”. Przeciwnie, ksiądz grekokatolicki chętnie bierze przykład – urządza oazy, zespoły. Oni nie mieli tego w swojej tradycji.

Ksiądz ma tu szkołę parafialną. Pomówmy o tym.

Mam trzy szkoły, w trzech parafiach. Uczymy języka polskiego, historii i geografii Polski. Jest też przedmiot *narodoznawstwo* – o tradycji i kulturze polskiej. Wiedzę do tych lekcji czerpiemy z Kalendarza „Wspólnoty Polskiej”. Poza tymi przedmiotami jest jeszcze muzyka, śpiew i tańce. W każdej szkole powstało kilka zespołów. Urządza my corocznie dla nich kilka festiwali.

Kilka festiwali?

A tak. W okresie Bożego Narodzenia mamy festiwal kolęd. Śpiewa 80–100 dzieci z trzech miast. Przed Wielkanocą urządza my festiwal pieśni wielkopostnej, w maju – pieśni maryjnych. W czasie wakacji mamy pieśni oazowo-pielgrzymkowe, a w jesieni festiwal pieśni religijnej. A na andrzejki – pieśni biesiadne, ludowe i patriotyczne. Warto wspomnieć, że na Parafiadzie w Warszawie nasze dzieci (15 osób) zdobyły wśród grup zagranicznych z 17 krajów Europy – I miejsce zespołowe w dziedzinie kultury.

Fantastyczne! A ile dzieci ma Ksiądz w tych szkołach parafialnych? I skąd nauczyciele?

W Dolinie jest 147 dzieci, w Bolechowie 103, w Kałuszu 80. Ponadto w Kałuszu w dwóch szkołach ukraińskich, a w Dolinie w jednej – uczą języka polskiego. Nauczyciele tylko miejscowi, po studiach w Stanisławowie i Drohobyczu.

Czy wasze dzieci wyjeżdżają na obozy letnie na drugą stronę granicy?

Naturalnie. W ubiegłym roku 130 dzieci wyjechało do Polski na oazy, kolonie i obo-

zy harcerskie. Mamy dwie drużyny harcerskie z 60 skautami.

Inny temat: słyszeliśmy, że Ksiądz szczególnie upowszechnia tu kult Matki Bożej Kochawińskiej.

No właśnie, jesteśmy tak blisko Kochawiny, ale Cudowny Obraz jest w Gliwicach, kościół też nie nasz. Wykonaliśmy więc kopię Obrazu, aby nawiązać do dawnej tradycji pielgrzymkowej. Umieściliśmy go w Bolechowie, a 14 września 2003 r. ks. kardynał Jaworski dokonał aktu poświęcenia. Fundatorem Obrazu był ks. infułat Stanios z Radomia, bo tam osiedliło się wielu bolechowian.

Coś o tym wiemy! Jesteśmy w kontakcie z p. Janem Batkowskim, bolechowianinem w Radomiu. Napisaliśmy ciekawą książeczkę o swoim rodzinnym mieście. Omawiamy ją właśnie w tym numerze CL.

Chcemy, by Cudowny Obraz łączył i skłaniał do dialogu i wspólnej modlitwy rzymskich katolików, grekokatolików i prawosławnych. Grekokatolicy bardzo żywo podjęli tę inicjaty-



Młodzież oazowa w Dolinie

wę. Już parę razy procesyjnie przenieśli ten Obraz do swojej cerkwi i tak samo odprowadzili. Daje się więc odczuć ożywienie religijne. Ciekawostka: 10 km od Doliny jest grekokatolicki klasztor w Hoszowie, nazywany przez nich *J a s n ą G ó r ą*. Na liczne pielgrzymki udają się tam też prawosławni.

Niezwykle to ciekawe i budzące nadzieję. Bardzo Księdzu dziękujemy za te relacje. Szczęść Boże!

JEST ZA CO DZIĘKOWAĆ BOGU

dokończenie ze s. 3

Lwowie, przed cudownym wizerunkiem Matki Bożej Łaskawej, nasz król Jan Kazimierz składał śluby po powrocie z wygnania. I od tej pory wzywamy Ją jako Krolowę Polski. To dlatego dla kresowej duszy Matka Boska jest i była bliska. Kresowa dusza jest przepelniona pobożnością Maryjną.

Przypomina mi się spotkanie z panią Marią, która mieszka w Jeleniej Górze, a pochodzi z Kresów – z okolic Stanisławowa. W jej domu znalazłem też zniszczoną figurę Matki Bożej. Kiedy byłem tam po koleżdzie, p. Maria zauważyła, że patrzę na tę poobijaną figurę. Opowiedziała mi całą historię: kiedy zaczęła się rzeź Polaków, kiedy na naszą wieś napadli Ukraińcy, w domu była tylko matka z moim braciszkiem, wtedy małym dzieckiem. Ktoś z sąsiadów przestrzegł mamę i kazał uciekać. Mama zdążyła do jednej ręki wziąć tę figurę, w drugą rękę dziecka i uciekała. Strzelali za nią, ale za każdym razem trafiali w tę figurkę. Dzięki niej przeżyli oboje, matka i brat. Potem odnalazliśmy się, wyjechalśmy do Jeleniej Góry. Tam mama po latach umarła, a ja przechowuję tę figurkę jako największą pamiątkę, jaka została z naszego rodzinnego domu i jednocześnie tarcza ochronna mojej matki i mojego brata.

Dlatego ciągle wracam myślą do tego: dla kresowej duszy postać Matki Bożej jest zawsze

bliska. Nie muszę zachęcać Kresowian, by modlić się do Niej. Swoje bogactwo duszy, jako ludzie Wschodu, zawdzięczamy między innymi pobożności Maryjnej. [...]

Matkę Bożą wzywamy pod różnymi tytułami. Nazywamy Ją również Polską Sybiraczką, bo jest Ona patronką wszystkich, którzy musieli opuścić swój dom rodzinny. Jest rzeczą znaną, że ci, których wywożono na Syberię – a to dotknęło ogromną rzeszę Kresowian – obok rzeczy najbardziej koniecznych – kawałka chleba, żeby przeżyć – zabierali przede wszystkim wizerunek Matki Bożej. Ona wędrowała, peregrynowała po całej Syberii, tam, gdzie byli wywożeni Polacy-kresowianie. Ona towarzyszyła losom wygnańców.

Dlatego też Ją o wstawiennictwo prosimy w dzień jubileuszu, by wypraszała u Swego Syna łaski tym, którzy tworzą Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i tym, którzy z nim współpracują, dzieląc się sercem, pieniędzmi, chlebem, czym można – żeby ulżyć doli Polaków-kresowian, którzy tam żyją – w naszej Macierzy, po tamtej stronie granicy.

Niech Matka Boża będzie patronką na kolejne lata, na kolejne jubileusze. Amen.

Ks. HENRYK POLAK, ur. 1959 w Przybyszynie na Podlasiu. Seminarium duchowne ukończył w Drohiczynie n. Bugiem, 1984. Od 1993 kapelan wojskowy, od 1996 w Krakowie, pułkownik.

Serce

Ten wiersz – jako jeden z najlepszych – został wydrukowany w krakowskim „Dzienniku Polskim” 286/03 w dziale „Wierszowski”, redagowanym przez Józefa Barana – poetę, który prowadził warsztaty poetyckie z poetami polskimi zza kordonu (listopad 2003).

Dlaczego cierpisz niemądre serce?
Nie możesz odejść?

Już coraz dłuższe
robisz przystanki,
zadyszka męczy,
zaś przy wspinaniu
wciąż przeszkadzają
ciasne obręcze.

Zaczekaj chwilę,
wezmę cię w rękę
jak słabe pisklę,
do snu kołysząc.
Strachy ukoję
W ciepłym uścisku.

A potem, kiedy
po raz ostatni
na niebo spojrzę,
kiedy zobaczę
w wodzie odbitej
wieczorne zorze,
gdy zapach kwiatów
na pożegnanie odurzy wonią,
wietrzyk swawolny rozburzy włosy,
ochłodzi skronie –

Dopiero wtedy
możesz już odejść,
wtedy nie zwlekaj.

Idź tam, gdzie gwiazdy
są tak piękne,
gdzie mówią wieki.

A ten wiersz przysłała Pani Krystyna – tylko dla nas. Dziękujemy.

Mój Kraków
to nie Wawel i Sukiennice,
kościół Mariacki
lub wyniosłe gmachy Uniwersytetu.
Nie stylowe kamienice
dumnie spoglądające
na płynące ulicami tłumy.
Mój Kraków
to szum drzew
i barwne plamy kwietników
na Plantach.
Spokojne fale Wisły
wchłaniające blaski
wiosennego słońca.
To płynące ponad dachami
dźwięki hejnału,
malutka postać
z ołtarza Wita Stwosza,
witraż skromnego kościółka,
kilka schodków
wiodących na kopiec.
To siła emanująca z postaci
pomnika Grunwaldzkiego,
zachwyt, podziw i dumy
przed płótnami Matejki.
A także słowa piosenki
„Nie przenieście nam stolicy
do Krakowa”,
bo wtedy Kraków
straciłby swój urokliwy czar,
spokój średniowiecznych zakątków,
ciszę księżycowych nocy
otulającą wieże świątyń.
Kocham cię
piękne miasto mojej ojczyzny.

listopad 2003

Ewa Śliwicka

Moje podwórko

Moje podwórko istnieje dla mnie już tylko we wspomnieniach i snach. Znajduje się w mieście, które leży za granicami mego dzisiejszego kraju. Było światem zaczarowanym. Z trzech stron otoczone ścianami kamienic z gankami i oknami kuchennymi, czwartą stroną zamykał mur wysokości pierwszego piętra, odgradzający nasze podwórko od podwórka z nami zaprzyjaźnionego.

Centralnym punktem mojego podwórka był trzepak, który był wykorzystywany na wiele sposobów. Pomijam takie, jak trzepanie dywanów czy suszenie chodników, bo te oczywiście nas, dzieci, nie interesowały, ale na przykład można się było na nim schronić, gdy kolega gonił, by pociągnąć za warkocz, można się było wspaniale huścić, nie mówiąc już o wiszeniu głową na dół, którą to pozycję często i chętnie przybierałam. Z tej pozycji świat był zupełnie inny i chyba ciekawszy.

Upchnięty w załom muru stał śmietnik. Nie interesowaliśmy się nim, ponieważ wiedzieliśmy, że nic ciekawego dla nas tam nie znajdziemy. W rachubę mogły wchodzić tylko zabawki uznane przez dorosłych za zniszczone i niepotrzebne, ale w naszych domach ta sprawa była pod naszą kontrolą i nigdy żadne auto bez kół lub miś bez uszu i lewej nogi na śmietniku się nie znalazł.

Podwórko było brukowane dużymi kamiennymi płytami. W samym środku czerniła się kratka ściekowa. Było bardzo czyste – to zasługa Szymonowej – dozorczyni bardzo przez nas lubianej. Nie wiem czemu, ale w moim mieście wszystkich dozorców nazywano Szymonami, bez względu na posiadane przez nich imiona. Żony ich były oczywiście Szymonowe. Nasza była raczej niska, krzepka, o rumianej, zawsze uśmiechniętej twarzy. Taka jakaś okrągła. Gdyby kazano wpisać mi jej postać w jakąś figurę geometryczną, byłoby to koło. Ubierała się na szaro. Musiała lubić ten kolor. Szara, obficie marszczona spódnica i szara bluzka. Na to zakładała duży kra-

ciasty fartuch, w rękę niezmiennie trzymała jakąś ścierkę, którą nieraz nam, dzieciom, wymierzała symboliczne klapsy.

Podwórko miało też trochę zieleni. Rosły na nim dwa drzewa. Pierwsze, przytulone do jednej ze ścian kamienicy, było jakieś nijakie. Pień – ni to pień, ni to patyk, o korze dziwnie bezbarwnej. Konary bardziej przypominały gałęzie, a gałęzie witki. Nawet liście były na nim mniejsze i mniej zielone, ale miało w sobie jakąś ogromną wolę życia, bo jednak z roku na rok trochę się powiększało. Kochaliśmy to drzewko macierzyńską wprost miłością i nigdy nikomu nie wpadłoby do głowy zarzucić na przykład na jego gałęzie zdjętą z powodu gorąca kurtkę. Natomiast drugie drzewo, nie pamiętam, czy był to klon, czy coś innego, ale na pewno nie kasztan, było potężne. Stało przy murze dzielącym podwórka i eksploatowaliśmy je niemilosiernie. Głównie zresztą chłopcy, ale i dziewczynom udawało się czasami brać go w posiadanie. Mnie osobiście wdrapanie się na sam jego szczyt nie stwarzało specjalnych problemów, a trud tej wspinaczki i ból podrapanych przy okazji kolan był wynagradzany wspaniałym widokiem na sąsiednią posesję i możliwością zaglądania do okien cudzych mieszkań.

Tylko Szymonowa nie lubiła tego drzewa, bo musiała w jesieni sprzątać jego liście.

Miało to podwórko jedną dziwną i zastanawiającą rzecz. Przy bocznej ścianie kamienicy były tajemnicze schodki otoczone żelazną balustradą i prowadzące w dół do dziwnych drzwi. Drzwi były kiedyś malowane niebieskim lakierem, który z biegiem lat zbladł i zaczął się łuszczyć. Były zamknięte na dużą kłódkę i miały w górnej swej części dwa bardzo brudne okienka. Intrygowało nas to dziwne pomieszczenie, lecz okienka były tak brudne, że absolutnie nie można było przez nie nic zobaczyć, a pyłana Szymonowa zamiast wyjaśnienia machała tylko ścierką.



handetes z pinklami

Była jeszcze na podwórku ławka. Jak drzewo było miejscem urzędowania chłopców, tak ławeczkę opanowały dziewczyny, które miały tam świetne miejsce spotkań wózkowo-lalczynek. Można było rozłożyć na niej cały gospodarski „majdan”, ugotować dla lalek pożywną zupę (często słyszałam: jedz, bo to pożywe) z listków drzewa i paru źdźbeł trawy lub inną wspaniałość. Można było się też bawić w dom lub szkołę.

Podwórko służyło nie tylko do zabawy. Było też miejscem, w którym co bardziej wygodny święty Mikołaj mógł zostawić prezenty o dużej objętości. Sama się o tym przekonałam. W czasach mego dzieciństwa bardzo modnym meblem był bujak. Stał w pokoju w jakimś zacisznym miejscu i albo pan domu czytający gazetę, albo pani domu z robotką chętnie w nim siadali. Odbijając się lekko palcami jednej stopy, wprawiali ten mebel w rytmiczne kołysanie. Bardzo to lubiłam i bardzo chciałam mieć taki bujak dla siebie. Nie taki duży, na który z trudem się wdrapywałam, ale taki mały, w którym mogłyby się bujać także moje niezliczone lalki. Najprostrzym sposobem na zdobycie wymarzonej rzeczy było napisanie listu do św. Mikołaja, co też przy pomocy Mamy uczyniłam. W napięciu czekałam na dzień szóste-go grudnia i jakież było moje ogromne rozczarowanie, gdy rano znalazłam koło łóżka małą różgę i wielkie pudło kolorowych czekoladek do wieszania na choince. Bujaka nie było... Już, już miałam wybuchnąć płaczem, gdy Ojciec zawołał abym popatrzyła przez okno. Na środku podwórka stał mój bujak z rozpierającym się w nim dużym misiem. W biegu na dół po schodach pobitał chyba wtedy rekord olimpijski.

Podwórko było też atrakcyjne z innych powodów. Często zjawiał się na nim kataryniarz. Zasłuchana w te niebiańskie dźwięki, które ze zgrzytem i traskami wydobywała z siebie katarynka, stałam obok naszej służącej Kaśki na ganku, mocno ściskając w garści grosik zawinięty w paperek. Na innych gankach stały inne służące

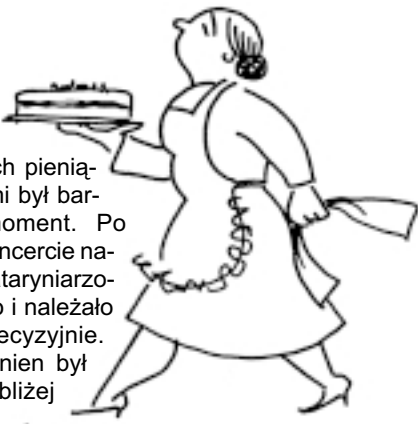
z dziećmi, tak jak ja ściskającymi w rączkach pieniążek. Przed nami był bardzo ważny moment. Po skończonym koncercie należało rzucić kataryniarzowi to zawiniątko i należało to uczynić precyzyjnie. Pieniążek powinien był upaść jak najbliższej katarynki.

Nie było *balustrad z marmoladu* to łatwe dla kogoś, kto głową nie sięgał balustrady, a pole widzenia miał ograniczone jej przętami. Wciskałam twarz w te przęty, żeby nie uronić nic z widoku, gdy kataryniarz podnosił zawiniątko i szerokim ruchem zdjętego z głowy kaszkietu dziękował za datek.

Odwiedzał też podwórko ostrzyciel noży. Zbiegały się wtedy i otaczały go kołem wszystkie służące z całej kamienicy. Każda trzymała w ręku pęk noży. Była to dla nich wspaniała chwila w ciągu dnia, gdy te Marcysie, Hanki czy Antośki mogły poplotkować, nie narażając się na uwagi swych chlebowdawczyń, że tracą czas. Dzieci do ostrzyciel nie dopuszczano z obawy, by iskry lecące z kamiennego koła nie wyrządziły im krzywdy. Patrzyliśmy na to widowisko z ganków.

Najprzyjemniej było jednak, gdy z podwórka rozlegał się bardzo donośny okrzyk „gaaaarki drutuuuuje”. Zbiegaliśmy wtedy wszyscy na dół i ciasnym kręgiem otaczaliśmy garncarza i jego warsztat pracy. Był to stoliczek zawieszony na skórzanym pasku na ramionach i podparty od przodu jedną drewnianą „nogą”. Patrzyliśmy zafascynowani, jak wprawnymi rękami oplata szybko cienutkim drucikiem popękany kamienny lub gliniany garnek i jakie powstawało wręcz dzieło sztuki. Taki garnek służył potem jeszcze całe lata do kwaszenia ogórków lub mleka i nigdy nie wyciekła z niego najmniejsza kropla płynu.

Na naszym podwórku często też popisywali się magicy i akrobaci. Magik miał



mamałyga

zawsze na głowie cylinder i cały był odziany w czerń. Robił niesamowite wrażenie, gdy z tego cylindra wyczarowywał bibułkowe kwiaty. Bardzo się go bałam, ale ciekawość brała górę nad lękiem i na wszelki wypadek przytulona do kogoś większego ode mnie patrzyłam zafascynowana na te pokazy. Akrobaci rozkładali na ziemi kolorowe dywaniki i w zabawnych pasiastych trykotach wykonywali przeróżne ćwiczenia gimnastyczne. Taka grupa akrobatów składała się z paru osób, a były w niej też kobiety i dzieci. Zazdrościłam tym dzieciom tego co robiły. Ich życie wydawało mi się dużo ciekawsze niż moje.

Czasami odwiedzał moje podwórko stary Żyd, który kupował używaną odzież. Nazywano go „handeles”. Zawsze był ubrany w długi, czarny płaszcz i czarny kapelusz z dużym rondem. Miał pejsy. Wchodził na podwórko i zaczynał wołać monotonnym głosem „stare – szmaty – kupuję – kupuję – stare – szmaty – szmaty – stare kupuję”. Było to raczej zawodzenie niż wołanie i trwało dosyć długo. Gdy uznał, że już wszyscy wiedzą o jego obecności, siadał na ławce i cierpliwie czekał. Wiedział, że teraz panie domu grzebią w szafach i że za chwilę zjawi się ktoś z naręczem starych, zużytych, niepotrzebnych ubrań. Każdą rzecz brał do ręki i długo, starannie oglądał, oceniając jej wartość. Gdy podawał cenę, była to cena ostateczna. Dyskusji nie było żadnych.

Były to oczywiście sumy groszowe, ale za czasów mojego dzieciństwa, które przypadło na okres międzywojenny, ludzie cenili sobie te grosze. Każdą kupioną rzecz porządnie składał i umieszczał w worku. Pełny worek zarzucał sobie na plecy i pochylony pod jego ciężarem powoli wychodził z podwórka. Odprowadzaliśmy go wzrokiem, bo oczywiście my dzieci zawsze mu towarzyszyliśmy.

Wspaniałe było to moje podwórko i dziś gdy je wspominam, ogromnie mi żal, że jest już tylko wspomnieniem. A może to nie podwórka mi żal, tylko tamtych czasów, które już nigdy nie powrócą?



Danuta Nespiaik

UNIA EUROPEJSKA ANTE PORTAS*

A co z mieniem „zabużańskim”

Ilu jest w Polsce ekspatriantów lub ich potomków, którzy są nadal na Ziemiach Zachodnich wieczystymi dzierżawcami gruntów – dokładnie nie wiadomo. Pozostawili na Kresach Wschodnich II RP kamienice, domy, gospodarstwa i ziemię, na której gospodarują teraz dawni kołchoźnicy.

Kolejne rządy Polski Ludowej i III Rzeczypospolitej do dnia dzisiejszego nie uporały się z kompleksowym uporządkowaniem praw własności za tzw. *mienie zabużańskie* i przyznanie ekspatriantom należnej rekompensaty. Polska dostosowuje się do prawodawstwa i struktur społeczno-gospodarczych Unii Europejskiej. W państwach Piętnastki do podstawowych praw obywatelskich należy prawo własności. Tymczasem są nieruchomości na Ziemiach Zachodnich (ile?), posiadające księgi wieczyste, w których nie wykreślono nazwisk przedwojennych właścicieli. Czy to zwykłe niechlujstwo administracyjne, czy udawanie, że nie miało to do tej pory znaczenia? Jesteśmy tuż przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. Sądy polskie będą wydawały orzeczenia dotyczące własności bez względu na narodowość właściciela, zgodnie z prawem europejskim.

Jaki będzie status społeczny ekspatriantów i ich potomków na Ziemiach Zachodnich, jeżeli pozostaną nadal *wieczystymi dzierżawcami* gruntów? Czy aby nie staną się w UE najemcami u przedwojennych właścicieli, tj. wysiedlonych po wojnie Niemców, którzy wysuwają coraz głośniejsze swoje roszczenia?

Członkowie niemieckiego Związku Wypędzonych, przede wszystkim ci zrzeszeni w Pruskim Powiernictwie (Preussische Treuhand), dążą do odzyskania swoich majątków i mają w planach złożenie pozwów odszkodowawczych w polskich sądach. Gdyby zostały odrzucone, odwołają się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Nie jest żadną tajemnicą, że do

Polaków na Ziemiach Zachodnich, gdzie głównie osiedlili się ekspatrianci, kierowane są listy, w których niemieccy przesiedleńcy przypominają swoje prawa do pozostawionych nieruchomości. Powołują się na traktat polsko-niemiecki z 1991 r., gdzie obie strony – polska w osobie min. K. Skubiszewskiego i niemiecka – min. H. Genschera, złożyły zgodne oświadczenie, że traktat nie zajmuje się sprawami majątkowymi. Niestety ówczesny rząd III RP zlekceważył coś, co określa się polską racją stanu, która powinna zabezpieczyć interesy najbardziej poszkodowanych swoich obywateli – ekspatriowanych Polaków wobec ławych do przewidzenia przyszłych roszczeń niemieckich. Czas ucieka i tzw. *zabużanie* nie mogą się doczekać – w sytuacji ustawodawczej huśtawki – sprawiedliwej rekompensaty za swoje mienie. W urzędach nadal piętrzą się trudności, mimo że dawne i nowe rozporządzenia mówiły i mówią o trybie uzyskania ekwiwalentu na drodze przetargu, gdzie w cenę sprzedaży nieruchomości Skarbu Państwa albo opłat z tytułu użytkowania wieczystego nieruchomości zalicza się wartość *mienia zabużańskiego*.

W ciągu minionego półwiecza różne akty prawne formalnie umożliwiały otrzymanie ekwiwalentu, ale skutek opieszałości i złej woli władzy było to trudne lub wręcz niemożliwe. W czasach W. Gomułki nabywanie przez ekspatriantów gospodarstw, domów czy mieszkań komunalnych odbywało się w ramach zobowiązań *ludowej ojczyzny*. W jakim procencie roszczenia te zaspokojono, nikt tego nie wie. Nie ma takiej ewidencji w skali całej Polski. Jedni mogli dostać 100% ekwiwalentu, inni tylko część, a inni nic. Już w 1958 r. komunistyczna władza uznała sprawę za załatwioną, wydano odpowiednią ustawę i wygasły prawa ekspatriantów. Tymczasem na mocy tzw. umów republikańskich zawartych we wrześniu 1944 r. przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) z rządami sowieckich republik Ukrainy, Białorusi i Litwy, Polska wzięła na siebie obowiązek dania ekwiwalentu ekspatriantom za utracone tam mienie. Umowy te postanawiały, że wartość tego majątku (z wyjątkiem ziemi w przypadku Litwy) będzie zrekompensowana zgodnie z rzeczywistą wartością mienia, nieograniczając jego

rodzaju i wysokości. Koszty z tym związane miało ponieść państwo polskie. Niestety umowy te **wyłączyły zupełnie od odszkodowań sowieckiego grabieżcę**. Żadne państwo takich umów nie zawarło, natomiast Niemcy swoim przesiedleńcom przyznały tylko pomoc przy zagospodarowaniu się na nowym miejscu, co w przyszłości uczyniło sprawę otwartą i niekorzystną dla Polski. Proste rozumowanie – nie dostali nic, więc wysuwają roszczenia wobec Polski. Takie są paradoksy politycznych skutków II wojny światowej – że wypędzeni Polacy z Ziemi Wschodnich są zmuszeni do roszczeń odszkodowawczych w stosunku do własnego państwa.

Zniecierpliwieni i zawiedzeni ekspatrianci (150 osób) skierowali sprawę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, bo Trybunał ten 19 grudnia 2002 r. uznał zasadność wniesienia skargi na naruszenie przez władze III RP Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka. Próbowano też, opierając się o Konstytucję RP (art. 77), kierować sprawy na drogę cywilnych procesów, ale jest to droga długa i kosztowna. Co ważne, warunkiem przyznania odszkodowania jest wykazanie szkody, jaką – w wyniku złej woli, celowych utrudnień administracyjnych – wniesli ekspatrianci, posiadający prawo do rekompensaty, której przecież nie otrzymali.

Od 30 stycznia br. obowiązuje ustawa z 12 grudnia 2003, która zawiera nowe zasady przyznawania *zabużanom* rekompensaty za utracone wschodnie mienie. Jest to ustawa kontrowersyjna, krzywdząca ekspatriantów i już zaskarżona do Trybunału Konstytucyjnego z inicjatywy Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kresowian Wierzyieli Skarbu Państwa. Wyłączeni z „dobrodziejstw” nowej ustawy są ekspatrianci, którzy otrzymali jakąkolwiek rekompensatę z reformy rolnej, na podstawie przepisów o ustroju rolnym i osadnictwie oraz o gospodarce gruntami. Ci, którzy nie otrzymali dotychczas żadnego ekwiwalentu, mogą otrzymać tylko 15% wartości utraconego mienia, ale nie może to przekroczyć 50 tysięcy zł.

Jest to przedziwna *urawniłowka*, niby zrównująca prawa wszystkich, którym na-

leży się rekompensata, a faktycznie stawiąca na jednym poziomie majątek właściciela kamienicy we Lwowie w dobrej dzielnicy, np. przy ul. Listopada lub Potockiego, z małymi, uroczymi domkami na Lewandówce. Oczywiście obaj właściciele są w jednakowym stopniu skrzywdzeni moralnie, bo stracili wszystko – przede wszystkim niezapomniane polskie miasto, i tego nie da się przeliczyć na pieniądze.

Nowa ustawa postanowiła, że wnioski o potwierdzenie prawa do zaliczenia na poczet ceny sprzedaży albo opłat z tytułu użytkowania wieczystego nieruchomości skarbu państwa, opatrzone odpowiednimi dokumentami, można składać do 31 grudnia 2003 r. Po otrzymaniu pozytywnej decyzji strudzony *zabużanin* może stanąć do przetargu, w którym w grę wchodzić mogą i duże nieruchomości rolne, wycenione na kilkaset tysięcy. Znacznie wygodniejsze byłoby uzyskanie odszkodowania w gotówce, ale to jest niemożliwe z wielu względów. Czas ucieka, a Unia Europejska czeka na nowych członków ze swoim świętym prawem własności.

* ...*ante portas* już niby nieaktualne, bo do UE wstąpiliśmy. Jednak ciągle jeszcze czujemy się *ante*, bo dotąd ani pozytywnych, ani negatywnych nie odczuliśmy. Tekst był pisany wcześniej (przyp.red.).

OD REDAKCJI:

24–25 X 2003 odbyła się w Krakowie Konferencja pt. „Polonia a Unia Europejska – Polska w Unii Europejskiej i środowiska polskie za granicą – nowa jakość współpracy”, zorganizowana przez Oddział Krakowski „Wspólnoty Polskiej”. Udział wzięli marszałek Senatu RP, prof. Longin Pastusiak. Przedmiotem obrad były następujące zagadnienia:

- Kultura i podtrzymywanie tożsamości narodowej.
- Oświata w języku polskim w krajach zamieszkania i dostęp do szkół wyższych w Polsce na nowych zasadach.
- Język polski jako jeden z języków Unii Europejskiej.
- Sprawy obywatelstwa, repatriacji i wiz.

Eugeniusz Tuzow-Lubański (Kijów)

Żniwa postsowieckie

Jacy są dziś Polacy na Ukrainie? Odpowiedź na to pytanie jest i łatwa, i złożona. Jeżeli do Polaka w państwie ukraińskim podchodzić jak do typowego *homo sovieticus*, to o wiele łatwiej można wytłumaczyć zachowanie i motywacje przeciętnego Kowalskiego w tym kraju. Pamiętam, jak pewnego dnia przyszła do prezesa Związku Polaków na Ukrainie Stanisława Kosteckiego kobieta w średnim wieku, deklarująca, że jest Polką. Pytała prezesa ZPU, jakie ma możliwości na pobyt stały w Polsce. Zwracała uwagę na to, że jej rodzina jest inteligentna, że znają języki, nawet egzotyczne. Na pytanie, czy ktoś z rodziny zna język polski, pani – niby to Polka – machnęła lekceważąco ręką i odrzekła, że na razie nikt z rodziny – w tym i ona – nie zna polskiego, ale język jest na tyle łatwy, że – jak trzeba będzie wyjeżdżać do Polski – to szybko się go nauczą. *Mój syn – zapewniła – nauczył się duńskiego, to co, nie nauczy się polskiego, jak będzie trzeba?*

Owo – *wyuczit jesli budiet nužno*, powiedziane po rosyjsku przez niby to Polkę, niby Rosjankę i Ukrainkę – na amen wyryło się w mojej pamięci. Trochę zwiedziłem świat, dlatego mogę porównywać Polaków sezonowych z Ukrainy z prawdziwymi Polakami w kraju i za granicą. Ci prawdziwi w Polsce i na Zachodzie w różnym stopniu, ale w zasadzie mają fundament moralny, skrupuły. Niektórzy są gorsi, niektórzy lepsi, jednak honor i miłość do Ojczyzny są zakodowane w polskiej krwi. I ci prawdziwi patrioci, gorzej czy lepiej, ale znają język polskiego narodu, s w o j e g o narodu, bo język i kultura są podstawą polskości. Natomiast wygodnicki *homo sovieticus* lubi w zależności od sytuacji. Gdyby w Polsce stopa życiowa była niższa niż na Ukrainie, to pani – niby Polka – w żadnym wypadku nie przyszłaby do prezesa Kosteckiego o coś tam pytać. *Homo sovieticus* na Ukrainie ma taką siłę

przeżycia i przebicia za wszelką cenę, jak żaden gatunek ludzki na ziemi. Stalinowsko-leninowska selekcja wyprodukowała naprawdę nowego człowieka superegoistę, dla którego istnieją tylko jego interesy i jego persona bez żadnych hamulców moralnych.

W żadnym wypadku nie chcę uogólniać. Nie mówię, że wszyscy Polacy na Ukrainie są sezonowi i bez skrupułów. Chcę tylko podkreślić, że okres sowiecki – czy tego chcemy, czy nie – odbił się i zniekształcił narody ZSRR. Nie oceniam Polaków postsowieckich – czy są dobrzy, czy źli. Tylko są zupełnie inni niż Polacy, którzy zamieszkiwali ziemie ukraińskie przed rewolucją. Darzę i darzyłbym sympatią Polaków kresowych, wychowanych na *Trylogii* Henryka Sienkiewicza. Ci Polacy z krwi i kości ginęli w Powstaniu Warszawskim, ginęli na Wołyniu i Galicji Wschodniej, ginęli w łagrach sowieckich. Nie potrafili przystosować się do niesprawiedliwej i okrutnej rzeczywistości – woleli umrzeć niż żyć na kolanach.

Teraz w środowisku polskim na Ukrainie zbieramy tylko żniwo niewoli sowieckiej i tej najnowszej – postsowieckiej. Ci prawdziwi, odważni, inteligentni Polacy z Kresów niestety, odeszli... Tylko w Polsce jeszcze od czasu do czasu w środowisku kresowym, gdzieś we Wrocławiu, Gdańsku czy Krakowie, spotykam owych już w podeszłym wieku prawdziwych rycerzy polskości. Ci kresowianie byli i są sumieniem narodu polskiego. Miłość do Ojczyzny, a nie sytuacja decydowała o czynach tych ludzi. Nie ma w nich nienawiści do tych, którzy odebrali im *małą ojczyznę*. Dzisiaj z sentymentem opowiadają o swojej wspaniałej młodości,

którą przeżyli na Ukrainie. Ale nikt dzisiaj z decydentów ani polskich, ani ukraińskich, nie wspomina o nich – tych tysiącach Polaków wypędzonych w rezultacie zmywańskiej i rzezi banderowskich z ziemi, gdzie mieszkali od setek lat, z dziada pradziada. W mediach polskich i ukraińskich krzyczą o tragedii akcji „Wisła” dla narodu ukraińskiego, bo to jest politycznie poprawne. Natomiast wokół losów wypędzonych z Kresów Południowo-Wschodnich Polaków panuje nowa zмова milczenia – postjałtańska. Czy tak ma być zawsze?

Post scriptum od Redakcji:

Surowa ocena, jaką Autor wystawił Polakom na Ukrainie, dotyczy niewątpliwie pewnej zdemoralizowanej przez sowiecki reżim części społeczności polskiej, głównie w miastach, ze stolicą tamtego państwa na czele (wiadomo – stolica!). Sowietyzacja objęła jednak ogół mieszkańców upadłego imperium, nie mogła więc nie dotknąć i Polaków tam żyjących przez ponad osiem dziesiątków lat. Pamiętajmy też, że owa szczególna mentalność sowiecka miała swoje podłoże w specyfice Rosji carskiej, niepodobnej do żadnego innego kraju i narodu w Europie. Dlatego właśnie podobne zniekształcenia charakterologiczne nie mogą w tym samym stopniu dotyczyć Małopolski Wschodniej, której cywilizowana część ludności wyrosła – mimo wszystko – na kulturze zachodniej Europy i zachodniego chrześcijaństwa. Co nie znaczy, że postsowieckie cwaniactwo nie może się i tu zdarzyć, podobnie jak – nie ludźmy się – w naszej dzisiejszej III RP.

Profesor dr Jerzy Kowalczuk,

autor serii opracowań pt. *Historia Szkolnictwa, Oświaty i Wychowania na Ziemiach odłączonych II Rzeczypospolitej – Kresach Południowo-Wschodnich*

powiadamia, iż do nabycia jest:

tom I, część C-1

**XI PAŃSTWOWE LICEUM I GIMNAZJUM im. J. i J. Śniadeckich
we LWOWIE (lata szkolne 1922/23–1938/39)**

Dokumenty przeszłości

Cena 80 zł + koszt wysyłki.

Zamówienia proszę przysyłać na adres:

Jerzy Kowalczuk, ul. Lublańska 24/2, 31-476 K r a k ó w

SYLWETKI

NAUCZYCIEL, SPOŁECZNIK, MIŁOŚNIK GÓR

Henryk Stanisław Hordt urodził się w 1906 r. w Medenicach w wojew. lwowskim. Do szkół uczęszczał w Stryju, studia wyższe w zakresie nauk matematycznych ukończył na Politechnice Lwowskiej. W 1930 r. rozpoczął pracę w I Gimnazjum we Lwowie, a w latach 1932–39 wykładał matematykę w Korpusie Kadetów. Po zajęciu Lwowa przez Sowieców uczył matematyki i fizyki w różnych szkołach i na różnych kursach. Trzeciego dnia po wkroczeniu Niemców do Lwowa został aresztowany. W więzieniu spotkał się ze swoim młodszym bratem, sędzią Leonem, którego po strasznych torturach Niemcy rozstrzelali.

Wiosną 1943 roku, w obawie przed aresztowaniem, wraz z rodziną opuścił Lwów i po kilkukrotnych zmianach miejsca zamieszkał w Czudcu k. Rzeszowa. Tak we Lwowie, jak i w Czudcu zajmował się tajnym nauczaniem oraz działał w Armii Krajowej. Po zakończeniu działań wojennych w środkowej Małopolsce, we wrześniu 1944 r. zorganizował w Czudcu samorządowe gimnazjum i liceum, które istnieje nadal jako Liceum Ogólnokształcące. Od 1948 r. uczył matematyki i fizyki w Liceum Pedagogicznym w Legnicy, a w 1955 r. został nauczycielem i kierownikiem Wydziału Matematyki w Studium Nauczycielskim nr 1 we Wrocławiu i na tym stanowisku pracował aż do czasu przejścia na emeryturę w 1971 r.

Henryk Hordt był społecznikiem. Już w gimnazjum w Stryju prowadził hufiec harcerski jako jego przyboczny. W Legnicy w latach pięćdziesiątych był członkiem tamtejszej orkiestry symfonicznej – grał w niej jako skrzypek. We Wrocławiu był radnym i przewodniczącym Komisji Nauki, Kultury, Sportu i Turystyki w DRN Wrocław-Psie Pole oraz prezesem Związku Nauczycielstwa Polskiego w dzielnicy.

Życiowymi pasjami Henryka Hordta były turystyka i fotografowanie. Był wielkim miłoś-

nikiem gór, a w szczególności Beskidów Wschodnich, Gorganów, wschodnich Bieszczad, Czarnohory, Pokucia. O ukochanych górach napisał przepiękną i bardzo ciekawą książkę *Piękno utraconej ziemi*, wydaną w 1998 r. Po wojnie, podczas licznych wycieczek do Lwowa, chodził po mieście i dużo fotografował. Wykonał wiele kolorowych przeźroczy, które następnie wyświetlał i komentował w klubach Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW. Do pięknych rysunków lwowskich obiektów architektonicznych inż. arch. Zbigniewa Haicha napisał komentarze. Rysunki te zostały wydane w sześciu zeszytach pod tytułem *Lwów*.

Mgr Henryk Hordt za swą pracę i za działalność społeczną został udekorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma odznaczeniami resortowymi. Zmarł w listopadzie 2003 roku. Cześć Jego pamięci!

W imieniu uczniów ukochanego Profesora
Państwowego Liceum Pedagogicznego w Legnicy
Antoni Dwojak



DRUHNA LUNA

Stefania Stipal (1903–2000)

W ubiegłym roku minęła setna rocznica urodzin legendarnej harcerki lwowskiej, Stefanii Stipalówny, zmarłej przed czterema laty w Gdańsku. Mawiała, że do harcerstwa się nie należy – harcerką się jest albo się nie jest. Zgodnie z tą maksymą była harcerką przez 84 lata. Gdy wstąpiła do I Lwowskiej Drużyny Skautowej im. Emilii Plater, pierwszej polskiej żeńskiej drużyny skautowej, miała niespełna trzynaście lat.

Poniższe wspomnienie zostało opublikowane w „Rzeczypospolitej” z 26 V 2000 r. Mamy nadzieję, że autor, Andrzej Kaczyński, nie weźmie nam za złe przedruku tego tekstu.

W 1916 r. polski skauting liczył sobie zaledwie pięć lat, jego formy organizacyjne dopiero się kształtowały. W 1917 r. czterna-

stoletnia Stipalówna założyła zastęp skautów, złożony z dzieci ulicy. To była pionierska inicjatywa, formacja wilczków, obecnie zwanych zuchami, jeszcze nie przyjęła się powszechnie. Początkowo zastęp był koedukacyjny, później wyłoniła się z niego VII Lwowska Drużyna Harcerzek im. Józefa Piłsudskiego. Za udział w obronie Lwowa w latach 1918–1920 kurierka Straży Obywatelskiej Stefania Stipalówna dostała odznakę „Orląt”. W 1921 r. ukończyła znane lwowskie gimnazjum Zofii Strzałkowskiej. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza zdobyła dyplom z fizyki. Od 1924 r. przez dziewięć lat uczyła w Państwowym Seminarium Nauczycielskim i gimnazjum Urszulanek w Stanisławowie oraz kierowała hufcem harcerzek. W 1933 r. wróciła do Lwowa: została mianowana harcmistrzynią i na lata 1933–1936 wybrana komendantką Lwowskiej Chorągwi Harcerzek. Następnie zajęła się kształceniem instruktorek i organizacją drużyn starszoharcerskich.

W 1938 r. Stefania Stipal została dyrektorką Liceum Pedagogicznego oraz komendantką Pogotowia Harcerzek Chorągwi Lwowskiej na wypadek wojny. W myśl zapewnień gen. Władysława Langnera, że ani miasto, ani region nie będą na linii frontu, przygotowywała harcerki do służby samarytańskiej, opieki nad dziećmi czy pomocy uchodźcom. We wrześniu 1939 r. pod Lwowem toczyły się ciężkie walki, miasto było bombardowane, otoczone przez armie niemiecką i sowiecką, przepelnione polskimi żołnierzami i cywilnymi uchodźcami, których liczba dwukrotnie przewyższała liczbę stałych mieszkańców Lwowa. Dziewczęta w szarych mundurkach pielęgnowały rannych w szpitalach, organizowały kuchnie polowe i pomoc dla bezdomnych.

Lwów dostał się pod okupację sowiecką. Stipalówna na polecenie polskich władz oświatowych niezwłocznie po ustaniu działań wojennych uruchomiła liceum. W lutym 1940 r. usunięto ją ze szkoły. Podjęła pracę fizyczną w ogrodnictwie. Ukrywała się przed deportacją lub więzieniem. Konspiracja harcerzy lwowskich doznała ciężkich strat. W październiku 1939 r. rozbito organizację gen. Mariana Januszajtisa; w lutym 1940 szefowa łączniczek Maria Wierzyńska została skazana na karę śmierci, jej podkomendne harcerki na więzienie. W pierwszej połowie

1940 r. zdekonspirowano lwowskie Szare Szeregi; wielu harcerzy NKWD zesłał na Sybir lub wymordował w więzieniach po ataku Niemiec na ZSRR. Akces do konspiracji był żywiołowy. Stipalówna, nie mając łączności z naczelnictwem ZHP, „uśpiła” Pogotowie Harcerzek, zaleciła tylko podtrzymanie kontaktów i pracę samokształceniową w małych grupach.

Pod okupacją niemiecką Pogotowie Harcerzek pod komendą Stipalówny (używała pseudonimów Luna, Bogna) objęło cztery województwa: lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie i wołyńskie. Harcmistrzyni została też zastępczynią referentki Wojskowej Służby Kobiet lwowskiego obszaru ZWZ-AK i współpracowała z Biurem Informacji i Propagandy. Harcerki w konspiracji wojskowej pełniły służbę samarytańską, gospodarczą, łączności i kolportażu prasy podziemnej. Oprócz tego odbywała się „normalna” praca harcerska. Najwięcej uwagi Stefania Stipalówna poświęciła tajnemu nauczaniu, które na wielką skalę prowadziła od września 1941 do lipca 1945: zorganizowała 37 klas gimnazjalnych i licealnych wszystkich typów, wciągnęła do pracy 51 nauczycieli, przeprowadziła 105 tajnych egzaminów dojrzałości. – Takich matur jak wtedy nie słyszałam ani przedtem, ani potem. To były prawdziwe popisy – wspominała.

Po wyjeździe ze Lwowa krótko mieszkała w Przemyślu, potem w Sopocie. Uczyła fizyki w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku, a gdy jako osoba wierząca została zwolniona z WSP – w szkołach średnich w Trójmieście. Pracowała w harcerstwie do jego likwidacji w 1949 r. i – na prośbę Aleksandra Kamińskiego – w latach 1956–1959. Od lat 80., nie zrywając z ZHP, wspierała niezależny ruch harcerski, Kręgi Instruktorów im. Andrzeja Małkowskiego i Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej. Napisała historię Lwowskiej Chorągwi Harcerzek, wspomnienia z konspiracji i z tajnego nauczania.

Harcmistrzyni Stefania Stipal odeszła na wieczną wartę 24 kwietnia 2000 roku.

Andrzej Kaczyński



Naszym zdaniem

WARTA NIC NIE WARTA

Z prasy dowiedzieliśmy się, że niedawno grupa młodocianych chuliganów zniewały Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie, niszcząc otaczające go łańcuchy, opluwając płytę i obrzucając ordynarnymi wyrazami żołnierzy stojących na warcie honorowej. Złapał ich przykładem przechodzący patrol policyjny, bo wartownicy nie zareagowali. Zabrania im tego regulamin, i nawet przez jakiegoś pułkownika z MON zostali za to pochwaleni.

To jakaś paranoja. Warta honorowa to jednak warta. Można zrozumieć, że jeżeli ktoś stanie przed wartownikiem i np.

stoi miny, żeby go rozśmieszyć (a to się zdarza dość często), to nie wolno mu reagować i musi zachować powagę. Ale jeżeli ktoś niszczy grób albo zagraża samemu wartownikowi, to przecież reakcja musi nastąpić. Dokument, który tego zabrania, to chyba kolejny przykład wypocin urzędników – tym razem wojskowych – którzy taki hurra-regulamin wymyślili (albo nadal utrzymują, bo pachnie po sowiecku).

Piszemy o tym nie tylko dlatego, że wyczyn owych gówniarzy obraża nas jako Polaków, ale i dlatego, że w tym Grobie leży Obrońca Lwowa (kto nie pamięta jak to było – odsyłamy do CL 3-4/95).

A propos postsowieckich relikwów: kto i kiedy wreszcie zabierze się do likwidacji sowieckiej musztry i przywróci krok defiladowy Wojska Polskiego sprzed wojny?

WIELKIE LATA LWOWSKIEJ OPERY

dokończenie ze s. 15

(1904). Przez kilka lat cenzura ociągała się z wydaniem zezwolenia na przedstawienie widowiska historycznego *Kościuszko pod Racławicami* czy też *Konfederaci barscy*.

Teatr Miejski we Lwowie mimo wszelkich trudności, jakie mu towarzyszyły od samego początku, słygał przede wszystkim ze znakomych solistów, realizatorów, reżyserów i dyrygentów. Śpiewacy, którzy tu stawiali pierwsze kroki, występowali potem na całym świecie, a szczególne znaczenie w ich wykształceniu miała słynna szkoła śpiewu prof. Waleriana Wysockiego. Wystarczy tu wymienić słynną Salomeę Kruszelnicką, Aleksandra Myszugę, Aleksandra Bandrowskiego, Marcelinę Sembrich-Kochańską, Adę Sari, Adama Didura. Ci wielcy artyści śpiewali wszystko – opery polskie, włoskie, francuskie i niemieckie. Łączyła ich miłość do sztuki muzycznej. Teatr ten promieniował na całą Europę i właśnie tu, za przyzwoleniem austriackiej cenzury, w takiej licz-

bie i wachlarzu repertuarowym pojawiły się polskie opery historyczne, które pomagały czcić i pielęgnować historyczną pamięć narodu polskiego i jego losów.

¹ M. Komorowska, *Teatry II Rzeczypospolitej*, wyd. Akademia Muzyczna im. F. Chopina w Warszawie, 1999.

² M. Komorowska. *Polska scena narodowa*, [w:] *Opera polska w XX wieku*, *Poznańskie Studia Operowe*, Poznań 1999.

³ A. Wypych-Gawrońska, *Lwowski teatr operowy i operetkowy w latach 1872–1918*, wyd. „Universitas” Kraków 1999.

⁴ „Gazeta Narodowa” 1872, nr 81 i 84.

⁵ Wiele informacji o spektaklach realizowanych we Lwowie zawdzięczam Wojciechowi hr. Dzie duszyckiemu, któremu serdecznie dziękuję.

⁶ W literaturze i źródłach występuje też inna pisownia nazwiska: Munchheimer. Stosujemy taką, jaka występuje na afiszach i programach operowych Teatru Miejskiego we Lwowie.

⁷ Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Oddział Rękopisów, sygn.1017070/l.

⁸ jw. sygn.14781/II

⁹ Biblioteka Główna Akademii Muzycznej im. K. Lipińskiego we Wrocławiu, Zbiory Specjalne, sygn. 58762 III.

Andrzej Chlipalski

Z ESTONII W LWOWSKIE ROZTOCZE

Zapewne wszyscy doskonale pamiętamy uzdrowisko, położone nieopodal Lwowa, wśród porośniętych lasami wzgórz wschodniego Roztocza – Niemirów. Jednak nie o jego zdrojowej renomie* będziemy tu opowiadać, lecz o losach rodziny Krusensternów, w której posiadaniu Niemirów i okoliczne dobra ziemskie znajdowały się przez ostatnich lat kilkadziesiąt, do czasu, gdy nasza Mała Ojczyzna dostała się w ręce ze wszystkich na świecie chyba najgorsze.

Krusensternowie należą do takich rodzin, które swoją obecność zaznaczyły w kilku krajach Europy. Korzenie mają niemieckie, jeszcze średniowieczne. Chyba około połowy XVII wieku jakaś gałąź rodziny przybyła do Estonii i tam na kolejnych parę stuleci założyła drugie gniazdo. Inna gałąź osiadła w Szwecji – tam ich nazwisko przybrało szwedzką formę: Krusenstjerna. Linia ta nadal istnieje, senior rodu rezyduje dziś w Sztokholmie. Są też Krusensternowie w Niemczech, USA i nadal w Polsce. Co cztery lata spotykają się na rodzinnym zjeździe, najczęściej w Kalmarze w Szwecji, gdzie istnieje rodowe muzeum.



Dwór w Szczercu k. Niemirowa

Krótkie przypomnienie geograficzno-historyczne. Ziemie po wschodniej stronie Morza Bałtyckiego to dzisiejsze Litwa, Łotwa, Estonia i Finlandia. Litwini i Łotyże-Kurowie są *Baltami* (dalecy krewni Słowian, należeli do nich też Prusowie i Jaćwingowie), zaś Estończycy i Finowie to *Ugrofinowie* (ich krewnymi są też Węgrzy). Interesujące nas tu ziemie obecnej Łotwy i Estonii, to – idąc od południa – historyczne Kurlandia (i Semigalia), Inflanty i Estonia właściwa, leżąca już nad Zatoką Fińską. Ziemie te były od średniowiecza przedmiotem zainteresowania Niemiec, Szwecji, Polski i Rosji. Od XII–XIII wieku trwała tam ekspansja niemieckiej Hanz¹, która tworzyła swoje placówki handlowe i budowała miasta wzdłuż południowych i wschodnich wybrzeży Bałtyku, poczynając od macierzystej Lubeki, poprzez Szczecin, Gdańsk, Królewiec, po Rygę i Rewal (dzisiejszy Tallin), oraz szereg pomniejszych. Równocześnie rozwinęła się ku Zachodowi – należały do niej Hamburg i Brema nad Morzem Północnym.

Obszary w głąb lądu nad wschodnim Bałtykiem zostały opanowane na parę wieków przez niemiecki Zakon Kawalerów Mieczowych (jak Prusy przez Krzyżaków). Wtedy to na owe tereny napływały z Niemiec liczne rody rycerskie, związane z zakonem i Hanżą, stając się warstwą ziemiańską, budując zamki i pałace. Po sekularyzacji (zeświecczeniu) Zakonu w połowie XVI w. Estonia została zagarnięta przez Szwecję, a Kurlandia i Inflanty opanowane przez Polskę. Wiele rodów kurlandzkich uległo polonizacji² i włączyło się w polskie życie polityczne, społeczne, gospodarcze i kulturalne (i żyją nadal wśród nas!). Po *wojnie północnej* Inflanty (1710) i Estonię (1721) zajęła Rosja³; w czasie zaborów Polski zabrała też Kurlandię.

Tak trwało do I wojny światowej w XX wieku, w wyniku której powstały wolne państwa Litwa, Łotwa i Estonia, ale tylko na dwadzieścia lat międzywojennych. Potem nastąpiło kilkadziesiąt lat niechcianej przynależności do ZSRR na statusie republik i w końcu ponowne odzyskanie niepodległości po rozpadzie Związku Sowieckiego⁴.

Po tej dygresji wróćmy do rodziny Krusensternów. Żyjąc w Estonii, w rodzimym zamku Haggud, już z początku XVIII wieku znaleźli się w obrębie Rosji, jakże niedaleko Petersburga! Należy sądzić, że tamtejsi ludzie nie mieli w owych czasach podobnie złych doświadczeń z caratem, jak my Polacy, nic więc dziwnego, że wiązali się z Rosją przede wszystkim służbą wojskową, polityką czy kulturą (nie inaczej wszak jak *nasi* w Galicji z Austrią). Najwybitniejszym przedstawicielem rodu w służ-

bie rosyjskiej stał się admirał Adam Jan Krusenstern (1770–1846), który kierował pierwszą rosyjską wyprawą morską dookoła świata. Dziś pływa po morzach piękny żaglowiec rosyjski (zakupiony oczywiście gdzieś na Zachodzie) pod imieniem *Krusenstern*, który bierze udział w najważniejszych regatach – widzieliśmy go także w Gdyni.

Krusensternowie bynajmniej się nie zrusyfikowali, skłaniali się raczej ku Polsce. Potomek admirała ożenił się na Wileńszczyźnie z panną z wielkiego rodu irlandzkiego O'Brien de Lacy, którego jakaś gałąź uszła w nasze strony przed przesładowaniami katolików i spolonizowała się. Właśnie z tej linii pochodzi zamieszkały dziś w Krakowie p. Jerzy Krusenstern, któremu zawdzięczamy materiały do niniejszej opowieści. Bbratanek admirała zaś, Aleksander Krusenstern (1801–74), też generał rosyjski, ożenił się z Polką Russanowską w Hrubieszowskiem. Dzieci obu wymienionych linii Krusensternów stały się więc Polakami. Synem Aleksandra był również Aleksander (1841–95), który – za pieniądze z rodzinnych działów, przed ślubem z panną Skarżyńską z Poznańskiego – nabył Niemirow w powiecie Rawa Ruska. Majątek niemirowski, odkupiony od rodziny Moszyńskich, obejmował kilka folwarków: Szczercz, Przedmieście i Wróblacznę z 2 tysiącami morgów ziemi ornej, 4000 morgów lasów, dwa młyny wodne, papiernię, tartak, kilka domów w Niemirowie i browar. Rezydencja właścicieli znajdowała się nie w Niemirowie, lecz w Szczercu⁵, ale zniszczona. Krusensternowie osiedli najpierw w 10-pokojowym dworku we Wróblacznynie, do Szczerca zaś przenieśli się po odbudowie pałacu w 1874 r.

Majątek leżał w okolicy dość jeszcze dzikiej. Dojeżdżało się tam z Żółkwi przez Magierów. Było dość nudno, więc odwiedzano okoliczne dwory, polowano w roztoczańskich lasach, a atrakcją długo wspomi-

naną były słynne manewry armii austriackiej pod Mościskami w 1880 roku. Cesarz Franciszek Józef zamieszkał wtedy w pałacu hr. Stadnickich w Krysowicach⁶, jeździł więc w tamtą okolicę by kajzera ujrzeć choćby z daleka.

W r. 1871 urodził się syn Aleksandra, Karol, który w przyszłości miał się stać właściwym twórcą uzdrowiska niemirowskiego. Nim jednak do tego doszło, pobierał nauki najpierw w domu, potem w szkole w Przemysłu, a w końcu podjął studia przyrodnicze na Uniwersytecie Lwowskim. Odbił służbę wojskową w armii austriackiej, podróżował, wreszcie ożenił się z panną Alicją Orsetti⁷ i wychował z nią troje dzieci (urodzonych w pierwszej dekadzie XX wieku). Majątek niemirowski przejął w r. 1895, a swoje owocne i barwne życie (niestety tylko do roku 1926) opisał w *Pamiętnikach*, pozostawionych w rękopisie, przechowywanym dziś w Bibliotece Narodowej w Warszawie⁸. We wstępie do tomu, jego córka napisała:

Człowiek wysoce i wszechstronnie uzdolniony, z ogromnym zamiłowaniem studiował chemię na Uniwersytecie Lwowskim i chciał się poświęcić karierze naukowej. Przedwczesna śmierć ojca zmusiła go do przerwania studiów, zrezygnowania z aspiracji naukowych i zajęcia się administracją w wyjątkowo trudnych warunkach odziedziczonych dużych kompleksów rolnych i leśnych oraz organizacją zdrojowiska kąpielowego w Niemirowie. Jakkolwiek do spraw gospodarstwa rolnego i leśnego odnosił się z dużą wnikliwością i sumiennością, ale bez większego zamiłowania, to w dziedzinie balneologii znalazł jedną ze swoich życiowych pasji. W tej dziedzinie leżą podstawowe zasługi autora na polu gospodarczym.

Dodajmy, że inną pasją Karola Krusensterna były polowania. O nich i o bogatym życiu towarzyskim wśród ziemian bliższych i dalszych okolic Niemirowa i Szczerca, o podróżach, pisze wiele



Henryk Krusenstern

W tym czasie [pierwsze lata XX w.] zaczął się rozwój zakładu kąpielowego w Niemirowie, który pochłonął masę mojego czasu i pracy, i kapitału i był jedynym równoważnikiem opuszczonej kariery naukowej.

W chwili gdy to piszę – maj 1943 – zakład jest zupełnie zniszczony. Łazienki spalone w czerwcu 1941 od pocisków artylerii bolszewickiej, spalone domy „Różowy” i „Pod Szyszka”, reszta zniszczona i obrabowana doszczętnie przez ludność okoliczną. Jakie będą dalsze jego losy?... Czy my, czy kto inny odbuduje i na powrót uprzystępni chorym? Czy też może okaże się, że jakakolwiek moja działalność naukowa byłaby dała trwalsze owoce i byłbym sobie może postawił pomnik aere parennius? Trudno teraz dać na to odpowiedź – da ją dopiero przyszłość po wojnie. Muszę się nareszcie pocieszyć tym, że zdrowie przywrócone kilkunastu tysiącom chorych kuracjuszy – to też coś znaczy.

Dzieje zakładu miałem dokładnie spisane w książce pamiątkowej, z której, opuszczając Niemirow we wrześniu 1939, wyrwałem tylko kilka stron ze statystyką. Jestem więc zdany jedynie na moją pamięć, dlatego będą luki. Zaczynam tedy od początku.

Gdy w r. 1895 odziedziczyłem dobra niemirowskie, zakład był wydzierżawiony niejakiemu Grunfeldowi za 225 guldenów rocznie, od czego trzeba było odciągnąć wartość kilkudziesięciu sągów opału, pastwisko dla kilku sztuk bydła w lesie i ciągłe naprawy. Budynki zaś były następujące:

1. *Główny – jedno skrzydło miało 10 dużych pokoi mieszkalnych, gdzie się wynajmowało pojedyncze łóżka, a takich było 3–4 w każdym pokoju. Drugie skrzydło – a całość była drewniana, gontem kryta – miało 6 kabin z drewnianymi wannami. Zwało to się „Bazar”.*

2. *Obok była buda drewniana, w której mieścił się kocioł żelazny obmurowany, otwarty, w nim to grzało się wodę siarczaną, czerpaną za pomocą żurawia z przyległego źródła. Ciepła woda szła rurami drewnianymi do wani. Wodę*

ze źródła czerpał wiadrem przy pomocy żurawia chłop z Jasionówki, Dominik, i czerpał do 90 kąpeli dziennie w czasie największego nasilenia sezonu.

3. *Obok dębu „Dewajtisa”, pamiętającego zapewne czasy Sobieskiego, stał dom drewniany, w którym mieszkał dzierżawca.*

4. *Obok stała znów kuchnia, mieszcząca w kształcie gwiazdzystym 6–7 kuchen, na których goście gotowali swoje jedzenie. Budynek ten spalił się jednak jeszcze za życia mojego Ojca.*

5. *Dalej trochę, na pagórku, stał drewniany dom „Różowy” o 8 pokojach, postawiony przez mego Ojca, więc najnowszy. Tam mieszkali goście znakomitsi [...].*

6. *Koło „Dewajtisa” stała też szopa słomą kryta, w której się trzymało siano za sto morgów łąk, najlepszych w majątku, położonych tuż obok Zdroju. [...]*

Robotę około Zdroju zacząłem od tego, że podniosłem czynsz do 400 guldenów, w zamian za co wybudowałem w przedłużeniu skrzydła z wannami 6 kabin murowanych. Zamieniwszy Grunfelda na Chilla, podniosłem stopniowo czynsz do 1000 guldenów. Wystawiłem też pierwszą willę „Pod Szyszka”, drewnianą, lecz krytą cementową dachówką własnego wyrobu, o 8 ubikacjach z werandami.

W roku 1905, czy 6, w grudniu udało mi się sprowadzić na miejsce profesora Ludomiła Korczyńskiego⁹ z Krakowa, specjalistę balneologa, które mi dał wytyczne do dalszego rozwinięcia zakładu. Przede wszystkim przez firmę Chylewski i Hruby ze Lwowa ująłem 3 źródła siarczane w cementowe cembrowiny z filtrem na spodzie, dla powstrzymania napływu namułu. Głębokość ich nie była większa jak 6–7 metrów, a po wyczerpaniu z nich wody napełniały się świeżą w przeciągu kilku godzin.

Następnie powierzyłem memu profesorowi Bronisławowi Radziszewskiemu¹⁰, który przybył w tym celu z asystentem dr. Klingiem, analizę najsilniejszego źródła nazwanego ku jego czci „Bronisławem”. Dwa inne ujęte, zwały się „Maria” i „Anna”. Obfitość wody była jednak tak wiel-

▶ i ciekawie. Dużo miejsca poświęcił wojennym losom swojej rodziny, krewnych, sąsiadów i wielu ludzi spotykanych na drogach tułaczki.

Fragment dotyczący zdroju – stanu wcześniejszego i rozbudowy dokonanej przezeń do wybuchu I wojny światowej – przedstawiamy powyżej w ramce. W dalszej części *Pamiętników* zamierzał opisać odbudowę powojenną, jednak prawdopodobnie nie zdążył, albo też ta część manuskryptu zaginęła. Zmarł po II wojnie.

Z dwóch, nieżyjących już, synów Karola Krusensterna starszy Adam ukończył studia rolnicze w Dublinach. Po II wojnie pracował na ziemiach zachodnich. Młodszy Jerzy, wojskowy po szkole podchorążych, mimo zaawansowanej choroby płuc, wziął udział w powstaniu warszawskim, został wywieziony do Niemiec i tam zmarł w wyniku odniesionych ran. Córka Maria Miedzianow-

ka, że gdziekolwiek się kopało do tej głębokości, natrafiało się na nią, co mi przeszkadzało w zdobyciu dobrej wody do picia. Bo głębiej, na ok. 30 metrach trafiła się na drugą warstwę wody siarczanej. Woda zaś pitna była najprędzej wzdłuż pagórka piaszczystego, diuny, przebiegającego krętą linią po zakładzie.

Przekonawszy się o wartości zdrowotnej i zapasie wód – przystąpiłem do budowy nowoczesnych łazienek. Leopold Mazurek wystawił murowany budynek, z wieżą na rezerwuary wodne, dachówką cementową krytą, o kilkunastu kabinach, z których cztery były podwójne, tj. na dwie wanny. Maszynierii dostarczyła krakowska firma Leonard Nitsch. [pomijamy szczegółowy opis techniczny – przyp. red.] Było to bodaj czy nie przez długi czas pierwsze tego rodzaju hermetyczne ogrzewanie wody kąpielowej w Polsce. Łazienki te wystawiłem ok. 1907–1908 i naturalnie w następstwie trzeba było budować domy dla gości, którzy zaczęli gęściej dojeżdżać. Kolejno stanęły: „Gospoda”, gdzie otworzył kuchnię koszerną Żyd Hersch Pomeranz, była ona murowana z salką dla gości; potem duży piętrowy „Dewajtis” o 30 pokojach, dołem mur, piętro pruski mur, werandy na dole i na piętrze. [...] Wybudowałem wreszcie bazar dla Żydów, zwany „Pod Smerekiem” o 13 pokojach, drewniany; i ten domek w stylu zakopiańskim „Pod Olchą”.

Wraz z rozbudową pozbyłem się dzierżawcy Żyda i zacząłem prowadzić przedsiębiorstwo całe we własnej administracji. Musiałem tedy przyjąć dyrektora, a pierwszym był Możarowski, zbankrutowany obywatel z Sokalskiego [...] Po nim był Strojnowski [...]. Byli jednak przy wzmagającym się stale ruchu niewystarczający, dlatego dłużej niż po dwa lata nie przebywali. Ostatnim wreszcie przed wojną (1912–14) był Jerzy Zbiegniewski, najlepszy z nich [...]. Musiałem też szukać coraz to nowych dzierżawców do restauracji, bo żaden nie wytrzymał próby dłuższej od roku. Po kilku bardzo skromnych i marnych byli raz studenci z Politechniki we Lwowie, ale bawili się w amory zamiast w kucharzy. Ostatnim w r. 1914 był Underka z Rawy,

restaurator kolejowy. Ten miał już lokal w nowym Domu Zdrojowym, wykończonym na sezon 1913 czy 14 [...] na przyszłość mającym być powiększonym o dużą salę i lokale klubowe. Na sezon 1914 zgodziłem też początek orkiestry zdrojowej w osobie p. Posselta, skrzypka, który 3–4 razy na tydzień koncertował w restauracji podczas kolacji. [...]

Ważną też stawała się sprawa lekarza zakładowego. Skromna ilość kuracjuszy nie pozwalała jeszcze na utrzymanie jakiegokolwiek lekarza. Łączyło się tę posadę z posadą lekarza okręgowego w Niemirowie, która sama w sobie też bardzo nęcącą nie była. Pierwszym naszym lekarzem zakładowym był dr Pawluk, Rusin, porządny człowiek, średni lekarz, ale wystarczający na początkowe potrzeby.

Wreszcie słowo o kuracjuszach: liczba ich wzrosła stopniowo do jakichś 400 przyjezdnych, prócz lokalnych, dochodzących lub dojeżdżających z okolicy. [...] Punktem kulminacyjnym sezonu bywały festyny, urządzone przy współudziale gości, z loteriami fantowymi, ogniami sztucznymi, przedstawieniami amatorskimi. Pierwsza scena była pod gołym niebem, w zagłębieniu koło „Dewajtisa”. Potem była już scenka kryta, ale widownia otwarta, naprzeciw „Różowego Domu”. Potem już była na ten cel przeznaczona sala restauracyjna w „Dewajtisie” wzdłuż werandy. Wreszcie gdy zbudowałem dom zdrojowy, była tam już prawdziwa podwyższona scena w sali restauracyjnej.

Finansowo zaś wynosiły obroty przez kilka lat ostatnich kilkanaście do 20 000 koron przez sezon. W ogóle przez te wszystkie nowe budowy i ulepszenia, podniosły się dochody brutto z kilkudziesięciu tysięcy, jakie zastałem, do stukilkudziesięciu tysięcy rocznie. Na to jednak weszły w majątek dwukrotne pożyczki TKZ w kwocie przeszło 300 000 k. i posag Ali w kwocie ok. 500 000 k.

Gospodarstwo rolne, przy dobrych doradcach Lucjana Turnau¹¹ zapowiadało też już pewne skromne dochody. [...] Przy spokojnym rozwoju byłoby się zaczęło zbierać owoce wytężonej pracy – gdy nadszedł rok 1914!

ska mieszkała w latach powojennych w Warszawie.

Dodajmy na koniec, że kuzyn Krusensternów niemirowskich, wspomniany na początku pan Jerzy Krusenstern, który udostępnił nam materiały do tej opowieści, był uczestnikiem walk partyzackich, toczonych przez 5. pułk strzelców konnych AK na Podkarpaciu, obecnie zaś jest wiceprezesem Zarządu

Okręgu Małopolskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. On i jego synowie są obecnie jedynymi potomkami rodu polskich Krusensternów.

Krusensternowie – jak inni potomkowie spolonizowanych rodów bałtyckich – Platerowie, Tyzenhauzowie czy O'Brien de Lacy – weszli do naszej historii jako wybitni obywatel i żołnierze.

przypisy na s. 40

¹ Hanza (wł. Hansa) – średniowieczny związek północnoniemieckich miast handlowych, utworzony w XIII w. pod przewodnictwem Lubeki. Miała faktyczny monopol w handlu bałtyckim, posiadała własną flotę i armię. Największy rozkwit w XIV wieku, od w. XVI w. upadku, rozwiązanie w XVII w.

² Przykładem rody Platerów, Tyzenhauzów.

³ Dla interesów Rosji carskiej było to istotne, ponieważ Piotr I dążąc ku Europie przeniósł stolicę z Moskwy do nowo zbudowanego Petersburga, położonego na samym końcu Zatoki Fińskiej. Brzeg północny tej zatoki to Finlandia, która należała do Szwecji, brzeg południowy to Estonia – najpierw w rękach niemieckich, potem szwedzkich; na południe od Estonii były polskie Inflanty i Kurlandia.

⁴ Warto zwrócić uwagę, że ukształtowanie się terytoriów tych państw niosło wiele problemów. Do Estonii włączono północną część Inflant, gdzie dominował język estoński, a część południowa, gdzie używano języka łotewskiego, weszła w skład Łotwy wraz z Kurlandią i Semigalią. Czysto polskie Wilno i Wileńszczyznę odebrała po I wojnie Polska, a Litwa dostała je po II wojnie (podobnie jak Ukraina Lwów) z łaski Związku Sowieckiego (pomimo ekspatriacji istotny procent Wileńszczyzny zamieszkały jest przez ludność polską).

⁵ Patrz CL S/03, *Słownik*.

⁶ Pałac został zburzony po II wojnie. Pozostał jedynie budynek bramny z kaplicą na piętrze, rozbudowany w latach na kościół rzym.kat. w Kryśowicach – patrz ilustracja w CL 1/01, s. 57.

⁷ W Jarosławiu przy Rynku znajduje się renesansowa kamienica Orsetlich.

⁸ Córka Karola Krusensterna, p. Maria Miedzianowska, przeniosła obszerny tekst na maszynopis, z czego powstał opasty tom o ponad 350 stronach dużego formatu, z wieloma archiwalnymi ilustracjami (w tym ze zbiorów szwedzkich). Jeden z egzemplarzy jest w Krakowie w posiadaniu p. Jerzego Krusensterna, który nam go udostępnił.

⁹ Ludomił Korczyński (1867–1936), lekarz, specjalista balneologii i reumatologii, był profesorem na UJ w Krakowie, ale pochodził spod Żydaczowa (wojew. stanisławowskie).

¹⁰ Leonard Bronisław Radziszewski (1838–1914), chemik, profesor i rektor Uniwersytetu Lwowskiego. Pochodził z Warszawy, był członkiem Rządu Narodowego w powstaniu 1863 r.

¹¹ Lucjan Turnau był bratem Jerzego Turnaua – patrz CL 2/2000, *Sylwetki*.

* Hasło Niemirów w *Słowniku geogr.-hist.* – CL 2/96. Ponadto o uzdrowisku niemirowskim można przeczytać w „Semper Fidelis” 1/93 (cykl artykułów A. Chlipalskiego o uzdrowiskach wschodniomałopolskich: SF 4/91, 2/92, 1/93, 4/93).

Z TAMTEJ STRONY

OCZEKUJEMY NOWEJ BŁOGOSŁAWIONEJ

25 października 2002 nastąpiło we Lwowie otwarcie procesu beatyfikacyjnego Służebnicy Bożej **Matki Marii od Krzyża Morawskiej**, założycielki konwentu Franciszkanek Najśw. Sakramentu w Polsce..

Maria Morawska urodziła się w 1842 r. w Rozwożynie pod Warszawą w rodzinie głęboko religijnej. Powołanie do życia kontemplacyjnego poczuła już we wczesnych latach życia. W wieku 16 lat wstąpiła do zakonu ścisłego klauzurowego, tzw. *Sepolte Vivo*, i tam złożyła śluby zakonne. Po kasacie tego zgromadzenia w 1864 r. wyjechała do Francji, gdzie wstąpiła do ss. Franciszkanek NS w Troyes. Po kilku latach, kiedy już w pełni wniknęła w istotę swego zakonu, zapragnęła założyć jego klasztor w Polsce. Przy życzliwej pomocy Prymasa Ledóchowskiego przybyła w 1871 r. wraz z kilku siostrami do Gniezna i tam założyła dom zakonny. Wkrótce jednak Siostry – stając się ofiarami niemieckiego Kulturkampfu – musiały opuścić Wielkopolskę i w 1873 r. przeniosły się do Lwowa.

Tam trzykrotnie zmieniano siedzibę konwentu, a ostatecznie w r. 1877 położono kamień węgielny pod budowę kościoła i klasztoru przy ul. Kurkowej 41. Kościół został konsekrowany w r. 1899.

Matka Maria od Krzyża zmarła w 1906 r. i pochowana została w krypcie zakonnej przy ul. Kurkowej we Lwowie. Jej szczątki przetrwały tam okres kilkudziesięcioletniej okupacji sowieckiej. Obecnie co miesiąc odbywają się w krypcie msze św.

W Polsce jest obecnie 5 klasztorów Franciszkanek, 3 w Ameryce, 2 w Indiach, po



jednym w Austrii, Włoszech i Niemczech. Niewykluczone, że Siostry powrócą obecnie do Lwowa.

Składamy serdeczne podziękowanie p. Tadeuszowi Peszkowi ze Lwowa za nadesłanie informacji i materiałów.

Andrzej Chlipalski

NA GRANICY CUDU

Od p. Adolfa Wisłowskiego ze Lwowa otrzymaliśmy odbitkę artykułu ze „Źródła” nr 47/03, który z niewielkimi skrótami przedstawiamy. Patrz także list nadawcy na końcu tego numeru.

[...] Niemymi świadkami wydarzeń z tamtego okresu [epoki komunizmu] są m.in. katolickie świątynie, a właściwie to, co z nich zostało – zdewastowane budynki, pełniące różne funkcje w przeszłości. Dzięki Bogu, w ostatnich kilkunastu latach odzyskano i odrestaurowano wiele obiektów sakralnych, chociażby w samym Lwowie, gdzie piękne, zabytkowe świątynie wzbudzają zachwyt zagranicznych pielgrzymów i miejscowej ludności. A co najważniejsze – nie świecą pustkami. Nawet w zwykły dzień liczba uczestników mszy św. jest pokaźna.

Los katolickich obiektów sakralnych podzielił kościół w Malechowie, niewielkiej miejscowości oddalonej o kilka kilometrów od Lwowa. To, że tutejsza parafia,



Kościół w Malechowie. Stan z 1957 r.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

BOLECHÓW

Położenie. Miasteczko w pow. dolińskim, wojew. stanisławowskim, położone w odległości 99 km od Lwowa, nad rzeczką Sukiel (dopływ Świcy), 350 m npm. Parafie obu obrządków na miejscu.

Historia. Już we wczesnym średniowieczu, za czasów panowania węgierskiej dynastii Arpadów, istniała tu osada z umocnieniami obronnymi oraz drewnianym obronnym kościołem pw. św. Krzyża. Królowa węgierska Elżbieta Łokietkówna przekazała w r. 1371 r. Bolechów wraz z innymi pobliskimi miejscowościami Danielowi Darzboguszowi. Po jego śmierci majątki odziedziczyli Chodorowscy. W ich rękę pozostawał Bolechów jeszcze w XVI w. Pustoszony przez liczne napady tatarskie teren wyludnił się, czemu przeciwdziałać miało nowe osadnictwo. W 1588 r. król Zygmunt III sprowadził tu z Mazowsza oddział złożony z 400 żołnierzy pod dowództwem Mikołaja Giedzińskiego h. Prawdzic. Giedziński przystąpił do budowy nowego zamku oraz obwarowań miejskich (wały ziemne i mury zwieńczone krenelażami), a w 1607 wybudował kościół. W 1603 r. Zygmunt III nadał Bolechowskiemu miastu królewskie prawo magdeburskie wraz z tytułem wolnego miasta królewskiego. Giedzińscy opuścili Bolechów w 1710 r. W 1750 r. miasto zostało spalone przez zbójczą grupę Dobosza, a w 1760 r. mieszkańcy zostali na 3 lata uwolnieni od wszystkich obowiązków płatniczych.

Po rozbiorach Bolechów stracił status miejski. Pod koniec XVIII w. w jego sąsiedztwie założono na życzenie cesarza Józefa II kolonię żydowską, nazwaną „Nowy Babilon”, w której Żydzi przyuczać się mieli do pracy na roli. Próba nie powiodła się i na miejsce Żydów sprowadzono kolonistów niemieckich. W 1848 r. pożar ponownie zniszczył zabudowę miejską. Od 1873 r. Bolechów był siedzibą dyrekcji lasów i domen państwowych. Była tu także stacja kolei żelaznej arcyksięcia Albrechta. Działała rządowa warzelnia soli, dostarczająca soli kuchennej i bydłowej, olejarnia i 3 garbarnie.

a wraz z nią świątynia, została wskrzeszona, niektórzy nazywają cudem. I rzeczywistość, historia tego miejsca zmusza do refleksji nad dziejami Kościoła [na tych ziemiach] i drogami Opatrzności Bożej.

Początki kościółka parafialnego pw. Świętego Michała Archanioła w Malechowie sięgają XVI wieku. W ciągu kolejnych stuleci świątynia, początkowo drewniana, zyskiwała na wyglądzie – przepiękne freski zdobiące sufit jeszcze dziś przyciągają uwagę przybyszów. Niestety z zabytkowych elementów dekoracji tylko one pozostały, by świadczyć o tym, że niegdyś był tu dom Boży. Z ołtarzy (głównego i bocznych) tudzież rzeźbionej w drewnie i pozłacanej tablicy Dekalogu nie ma śladu. Obrazy i figury świętych – według relacji jednego z parafian – po zamknięciu kościoła w 1944 roku zostały zabrane do grekokatolickiej cerkwi. Przez ponad 50 lat nic wewnątrz ani z zewnątrz nie przypominało świątyni, którą władze komunistyczne zamieniły ostatecznie na mieszkanie dla dyrektora i nauczycieli miejscowej szkoły. Jak wspomina pan Dolo (Adolf Wisłowski), w budynku trzymano żywy inwentarz, a z płyt nagrobnych pobliskiego cmentarza zrobiono schody. [...]

W 1990 r. miejscowi katolicy rozpoczęli starania o zarejestrowanie parafii w Malechowie i o zwrot kościoła św. Michała Archanioła. Starania te trwały ponad dziesięć lat! Tym bardziej jest za co dziękować Opatrzności. [...]

Malechowscy parafianie (zaledwie kilkadziesiąt osób) spotykają się w swojej świątyni na niedzielnej mszy św. Wcześniej musieli dojeżdżać do Lwowa. Opiekę duszpasterską sprawuje nad tą niewielką trzódką ks. Wiktor Antoniuk – dziekan i proboszcz Katedry Wniebowzięcia NMP we Lwowie, a przede wszystkim człowiek, który dźwiga na swoich barkach (dosłownie i w przenośni) ciężar odbudowy kościoła.

Kiedy latem [ubiegłego] roku przekroczyłam próg świątyni w Malechowie, uderzył mnie przynębiający widok – wewnątrz nie zobaczyłam prawie nic, co mówiłoby o tym, że tutaj modlą się ludzie, a raz w tygodniu sprawowana jest Eucharystia. Prowizoryczny ołtarz, brak ławek, puste ściany, zniszczone okna. [...] Potrzeba wiele pracy i pieniędzy, by świątynia wyglądała jak dawniej.

Dorota Sękowska

Kościół katolicki na Wschodzie jest ubogi. Koszty remontu budynków sakralnych przekraczają jego możliwości. Dlatego zwracam się z apelem do wszystkich ludzi dobrej woli o finansowe wsparcie dla Malechowa. Wpłaty (tylko w złotych) można dokonywać na adres:

Caritas Archidiecezji w Lubaczowie

ul. Mickiewicza 85

37-600 Lubaczów

Bank PKO SA I/O Lubaczów, Nr 10701496-

-1397-2221-0100, z dopiskiem MALECHÓW

NOWY KONSUL GENERALNY WE LWOWIE

Został nim Wiesław Osuchowski, do niedawna konsul generalny w Australii, a ostatnio w Ministerstwie SZ był odpowiedzialny za sprawę Polonii i Polaków na całym świecie. Rozmowę z nim, opublikowaną przez krakowski „Dziennik Polski”, przeprowadził J. Borzęcki.

Zapytany na wstępie o sprawę Cmentarza Orłąt, Osuchowski zauważył, że we Lwowie *we wszystkich dopatrują się polityki* oraz że *do kontekstu politycznego sprowadzana jest również pilna potrzeba zadbania o cmentarz Łyczakowski. A przecież to miejsce związane jest nie tylko z zabytkami polskiej kultury, jest to cmentarz wielokulturowy i wielonarodowy. Ostatnio na spotkaniu z zastępcą gubernatora obwodu lwowskiego zaproponowałem powołanie fundacji polsko-ukraińskiej w celu odnowienia cmentarza Łyczakowskiego. Znajdują się tam bezcenne zabytki sztuki, które niszczą. W rozmowie z Ukraińcami staram się przełamywać stereotyp, że ta sprawa jest tylko interesem politycznym. – Jaki jest odzew? – pyta redaktor. – Najczęściej wszystko sprowadza się do wysłuchania propozycji.*

Zapytany o sytuację Polaków we Lwowie, konsul przyznał, że *ogromne wrażenie sprawia patriotyzm tutejszych Polaków, ich walka o zachowanie języka oraz przywiązanie do tradycji narodowych. Na spotkaniach muszę uważać, żeby nie używać słowa Polonia, bo się obrażają.*

W. Osuchowski ubolewa nad sytuacją dzisiejszej inteligencji polskiej: *Przedwojenna wspiana inteligencja lwowska została zniszczona. Warunki materialne, nawet w dzisiejszych czasach,*

są bardzo trudne, a procesy demokratyczne, jeszcze powolne. Dzisiejsza inteligencja wciąż ma pewne obawy przed bardziej aktywnym przyznaniem się do polskości. Dlatego znaczna jej część albo lekko dystansuje się wobec życia organizacyjnego, albo wyjeżdża do Polski. [...] Młodzi Polacy, których kształcimy w kraju, robią wszystko, aby pozostać w Polsce na stałe. Dlatego – aby móc odbudować polskie lobby na Ukrainie – nacisk będzie kładziony na stypendia na miejscu.

Przypisek redakcji CL: niby słusznie, ale ci młodzi Polacy – jeżeli będą się przyznawać do swojej polskości – czy dostaną odpowiednią dla siebie pracę? Niewesołą odpowiedź na to pytanie daje artykuł Eugeniusza Tuzowa-Lubańskiego, który zamieściliśmy w CL 4/02: *Lęk przed powrotem*.

Potem była jeszcze mowa o nowej siedzibie Konsulatu Generalnego – zakupiono nareszcie działkę (po drodze przez mękę) – 5 tys. m² przy ul. św. Zofii (naprzeciw istniejącego Konsulatu – dawniej willi Batowskich), za gigantyczną cenę 470 tys. dolarów (tacy przyjaciele, prawda? – przyp. red. CL).

Na końcu redaktor zapytał o skandaliczną aferę *brutalnego odebrania dwóm polskim przedsiębiorcom połowy zakupionego przez nich większościowego pakietu (ponad 60%) Domu Handlowego „Magnus” we Lwowie. Ukraińscy wspólnicy na bezprawnie i potajemnie przeprowadzonym zebraniu udziałowców powołali nowy zarząd. W oparciu o podejrzenie szybką (podjętą następnego dnia) decyzję sądu w Kijowie, zatwierdzającą nowy zarząd, komornicy natychmiast przy użyciu siły odebrali Polakom pieczęcie i oryginały dokumentów statutowych spółki.*

Konsul oczywiście łagodzi słuszne oburzenie wyrażane przez redaktora i zapewnia, że wystąpił do prokuratury. Równocześnie zauważa, że *obroty między Polską i Ukrainą rozwijają się w ostatnich latach bardzo dynamicznie.*

Konsul musi być dobrej myśli. My niekoniecznie.

Elżbieta Mokrzyńska

Wydarzenia

◆ Ostatecznie zwrócono rzymskokatolickiej Kurii Metropolitalnej we Lwowie pałac arcybiskupi przy ul. Czarnieckiego 32. Historię tego obiektu i jego losy od czasu II wojny przedstawiliśmy w CL 4/02, s. 38.

Po 1945 r. w Bolechowiu pozostała grupa parafian, która do 1956 r. skutecznie opierała się naciskom władz, dążących do zamknięcia kościoła. Następnie kościół został przerobiony na szkolną salę gimnastyczną, a w 1963 r. urządzono w nim księgarnię miejską. Po 1971 r. obudowano kościół sklepami, przy czym wyburzono zamknięcie prezbiterium, aby umożliwić wjazd samochodom dostawczym.

W Bolechowiu urodzili się: Marcelina Sembrich-Kochańska (1858–1935), śpiewaczka operowa; Juliusz Petry (1890–1961, w Łopiance), w okresie międzywojennym dyrektor lwowskiej rozgłośni radiowej; Tadeusz Fabiański (1894–1972), dziennikarz, literat, redaktor lwowskiej rozgłośni radiowej.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia MB Królowej Świata, murowany, jednonawowy, z węższym prezbiterium, zamkniętym pięciobocznie. W 1836 r. dobudowano kruchtę i kwadratową wieżę. Zachowana tablica epitafijna Mikołaja Giedzińskiego (1627), fundatora kościoła. Plebania z 1820 r., murowana, na rzucie prostokąta, z dobudowaną wikańką (organistówką). Kaplica na Salomonowej Górze z 1867 r., drewniana.

Zbór ewangelicki z 1789 r., wybudowany częściowo z materiałów pochodzących z rozbiórki zamku, jednonawowy, z węższym prezbiterium. Po zamknięciu w 1940 r. służył jako magazyn amunicji, obecnie mieści się w nim zakład stolarski.

Pozostały z dawnego zamku murowany budynek dwuskrzydłowy, częściowo dwukondygnacyjny, obecnie siedziba dyrekcji lasów państwowych.

Czasy obecne. Kościół parafialny oddany wiernym w 1992 r., poddany gruntownemu remontowi, przywracającemu pierwotny wygląd. W 1997 r. w kaplicy przy kruchcie umieszczono kopię obrazu MB Kochawskiej, przywracając od dawna istniejący w tych stronach kult. Parafię obsługuje ks. Krzysztof Panasowiec, proboszcz w Dolinie.

DOBROSIN

Wieś w pow. żółkiewskim, wojew. lwowskim, położona o 12 km na płn. zach. od Żółkwi, przy dawnym gościńcu żółkiewsko-belzkim. Leży nad rzeczką Białą, dopływem Bugu; okolica podmokła z pięknymi łąkami, które sprzyjały hodowli bydła. Parafia rzym.kat. w Magierowie, grekokat. na miejscu. Dobrosin należał do żółkiewskie-

◆ W CL 4/03 podaliśmy wiadomość, zaczerpniętą z internetu, na temat **zaopatrzenia Lwowa w wodę** – podobno Szwedzi udzieliłi *grantu* obecnym władzom miasta na rozwiązanie tego problemu, a wcześniej Bank Światowy udzielił kredytu na ten cel na 20 lat. Jest też inna informacja w tej sprawie, którą podaje E. Tuzow-Lubański z Kijowa:

Władze Przemysła zaoferowały mieszkańcom Lwowa pomoc w zaopatrzeniu w wodę pitną. Należący obecnie do Ukrainy Lwów cierpi od wielu lat na niedobór wody. W 2006 r. ma zostać zbudowany wodociąg zaopatrujący Lwów w bieżącą wodę z przemyskich ujęć.

[...] Miasto ma problemy z zaopatrzeniem w wodę od ponad 20 lat. Z tego powodu jest ona racjonalizowana. Lwowianie mają dostęp do wody pitnej przez trzy godziny rano i trzy wieczorem. Jest to szczególnie uciążliwe dla mieszkańców w czasie letnich upałów. Wokół tego problemu zbił kapitał polityczny obecny mer Lwowa Lubomir Buniak. Wygrał on wybory głównie dzięki temu, że obiecał, iż w ciągu dwóch lat zapewni całodobową dostawę wody pitnej do lwowskich mieszkań. Ale rozwiązanie tego problemu wymaga dużych inwestycji finansowych. Ukraiński dziennik „Weczimi Wisti”, powołując się na przedstawiciela władz Przemysła Ryszarda Lewandowskiego, zapowiedział pomoc Przemysła w zaopatrzeniu Lwowa w wodę.

Ujęcia wody pitnej dla Przemysła mogą zaopatrzyć w nią 140–170 tys. osób. Jest to około dwukrotnie więcej, niż wynosi obecne zapotrzebowanie na wodę 70-tysięcznego miasta.

Odległość z Przemysła do Lwowa to niespełna 100 kilometrów. Budowa wodociągu o takiej długości będzie kosztować mniej więcej 20 mln USD. Potencjalnie inwestycja ta co najmniej w połowie może zostać sfinansowana z funduszy Unii Europejskiej*. Przygotowanie niezbędnej dokumentacji technicznej i formalno-prawnej oraz zorganizowanie tego przedsięwzięcia zajmie prawdopodobnie dwa lata. Sama budowa wodociągu z Przemysła do Lwowa ma zająć 5 miesięcy.

* Nasze pytanie: a co z pieniędzmi ze Szwecji i z Banku Światowego? Czy to te same fundusze? A może tamte już *zjedzone*?

Notatkę przepisaliśmy (ze skrótami) z czasopisma „QUOD LIBET” (02/2004) – organu Towarzystwa Przyjaciół Przemysła w Krakowie.

W Krakowie i dalej

BRZEŻAŃCZYCY SPOTKAJĄ SIĘ PO RAZ PIĘTNASTY

Tak się złożyło, że nie mieliśmy dotąd okazji napisania o środowisku ekspatriantów z Brzeżan. Dopiero spotkana na tegorocznym Oplątku Koła Tarnopolan przy TMLiKPW w Krakowie pani Irena Wesołowska wprowadziła nas w sprawy brzeżańskiej diaspory i dostarczyła nieco materiałów. Dowiedzieliśmy się, że Brzeżańczycy zjeżdżają się corocznie i to niemałą grupą, że pomagają brzeżańskim Polakom, odwiedzają Brzeżany i utrwalają wspomnienia o swoim pięknym, historycznym i zabytkowym polskim miasteczku.

Oto kalendarium dotychczasowych brzeżańskich zjazdów:

- I Tajny Zjazd Wychowanków klasy gimnazjalnej prof. Władysława Janowskiego w Kłodzku, 1978
- II Tajny Zjazd Koleżeński 1937–1987 w Kłodzku, 1987
- III Tajny Zjazd byłych Harcerzy Brzeżan we Wrocławiu, 1988
- IV Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Ustroń 1993
- V Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Jachranka 1994
- VI Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Polanica-Zdrój 1995
- VII Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Ustroń 1996
– 1. pielgrzymka do Brzeżan
- VIII Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Ustroń 1997
– 2. pielgrzymka do Brzeżan
- IX Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Kudowa-Zdrój 1998
– 3. pielgrzymka do Brzeżan
- X Jubileuszowy Zjazd Brzeżańczyków, Kudowa-Zdrój 1999
– 4. pielgrzymka do Brzeżan
- XI Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Kudowa-Zdrój 2000
- XII Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Polanica-Zdrój 2001

XIII Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Polanica-Zdrój 2002

– 5. pielgrzymka do Brzeżan

XIV Koleżeński Zjazd Brzeżańczyków, Polanica-Zdrój 2003

Zgodnie z radą p. Ireny Wesołowskiej zwrócimy się do organizatorki Zjazdów p. Krystyny Mróz w Polanicy-Zdroju z prośbą o szerszą opowieść o brzeżańskiej diaspory, o zjazdach i pielgrzymkach do Małej Ojczyzny. Z naszej strony możemy Brzeżańczyków zapewnić, że przy każdej okazji wołamy o ratowanie jednego z naszych najcenniejszych zabytków w Małopolsce Wschodniej – kościoła zamkowego w Brzeżanach.

Stanisław Sochaniewicz

Patrz *Nasze Miasta* w tym numerze.

TEŻ NIEWINNI?

Z Ormianami łączy nas wiele, często o tym piszemy. Współżyjemy z nimi od wielu wieków, najpierw jako partnerami w handlu (patrz *My i Orient*, CL 3/98), potem jako współmieszkańcami naszych ziem południowo-wschodnich. Ale jest jeszcze jedna mocna więź, która nas zbliża: na nich – na ich ziemi, i na nas – na naszej ziemi zostały dokonane w XX wieku ludobójstwo.

Sprawa rzezi Ormian, dokonana w 1915 r. przez Turków jest dobrze znana na świecie. Pomniki półtora miliona ofiar tej tragedii we wschodniej Turcji znajdujemy w całej Europie, Ameryce, a przede wszystkim na Bliskim Wschodzie, gdzie żyje w rozproszeniu diaspora ormiańska (czy armeńska) Nie ma dotąd takiego pomnika w Polsce. Powstała więc inicjatywa, by upamiętnienie takie powstało w Krakowie przed 90. rocznicą rzezi. Wybrano miejsce obok kościoła św. Mikołaja przy ul. Kopernika, ponieważ świątynia ta, stojąca na historycznym wyjeździe z Krakowa na wschód (ślady bramy Mikołajskiej są dobrze widoczne) – została ufundowana przez kupców ze Wschodu.

Przy kościele ma być ustawiony *chaczkar* – kamień z ormiańskim krzyżem i stosownym napisem, upamiętniając zarówno tamtą narodową tragedię, jak i nasze wielowiekowe związki, także z czasu II wojny, gdy w kolejnej rzezi – tym razem ze strony

go klucza Sobieskich. Ostatnią właścicielką z tej rodziny była Maria Karolina de Bouillon. W 2. poł. XIX w. majątek należał do spadkobierców Rudolfa Urbańskiego.

CHOCIMIERZ

Miasteczko w pow. tłumackim, wojew. stanisławowskim, nad potokiem Chocimirka. Położone na granicy Pokucia, 14 km na płd.wsch. od Tłumacza. Chocimierz był gniazdem rodowym Chocimirskich, którzy osiedli tu w XV w. i od nazwy miejscowości wzięli swe nazwisko. W ich rękach Chocimierz znajdował się jeszcze w XVII w. W 1620 r. Wojciech Chocimirski, dworzanin i rotmistrz królewski, ufundował parafię rzym.kat. Jego wnuk Jan wchodził w 1645 r. w skład poselstwa wysłanego do Paryża przez Władysława IV po Marię Ludwikę.

KRUKIENICE

Miasteczko w pow. mościskim, wojew. lwowskim, położone 13 km na płd. od Mościsk, nad potokiem Sieczną (dopływ Wiszni).

Historia. Po raz pierwszy nazwa Krukienice pojawia się w 1439 r. w akcie fundacyjnym parafii rzym.kat. Fundatorami parafii i pierwszego kościoła byli ówczesni właściciele Mikołaj i Piotr Rychcicy. Od 2. poł. XV w. Krukienice często przechodziły z rąk do rąk. Dokumenty wymieniają nazwiska Chryniowskich, Drohojowskich, Stadnickich, Grochowskich, Rybińskich. W 1702 r. właścicielem został Jan Drohojowski i od tej pory była to główna siedziba tzw. hrabiowskiej linii tego rodu. W 1728 r. Józef Drohojowski ufundował nowy drewniany kościół parafialny, konsekrowany w 1752 r. Około 1822 r. Honorata Drohojowska wybudowała w Krukienicach pałac, otoczony rozległym ogrodem. Na pocz. XX w. majątek należał do Włodzimierza Słotwińskiego, a w okresie międzywojennym do Michała Tiegera. Przez długi czas i aż po XIX w. Krukienice służyły z wyrobu obuwia. Józef Drohojowski, jako właściciel wsi, nazywany był żartobliwie „panem na trzystu szewcach”. W XIX w. czynne tu były gorzelnia i tartak wodny, a w okolicy kwitła uprawa chmielu.

Kościół parafialny czynny był do 1948/49 r., następnie przeznaczono go na kolchozowy magazyn zboża. W latach 1987–88 kościół rozebrano, a drewno z rozbiórki sprzedano na opał.

Czasy obecne. W latach 1991–95 wybudowany został nowy, murowany kościół pw. św. Mateusza Apostoła.

Ukraińców – ginęli wraz z Polakami polscy Ormianie.

I oto – protest! Żadnego ludobójstwa nie było – twierdzi ambasador Turcji, który pofatygował się z Warszawy, by w Krakowie rozmawiać z wojewodą, prezydentem miasta i kardynałem. Nie podoba się pomnik ani napis. Nie było ludobójstwa – skąd my to znamy?

Przypomnijmy, że wschodnie tereny dzisiejszej Turcji – między górnym Eufratem a Morzem Czarnym, tam gdzie góra Ararat – to dawna Wielka Armenia, pierwsze w historii państwo chrześcijańskie. Najeżdżana przez Mongołów, Persów, Bizancjum i Arabów, uległa w XI w. Seldżukom, a na przełomie XIII/XIV w. Turkom, którzy tam przybyli ze wschodu. Turcy usadowili się w całej Małej Azji, weszli do Europy – na Bałkany, na Węgry i Wołoszczyznę, dotarli do naszych granic. Symbolami naszej obrony pozostał Kamieniec Podolski i wiktoria wiedeńska.

Dzisiejsza Armenia to zaledwie północno-wschodni skrawek Wielkiej Armenii. Ale na swoich dawnych ziemiach Ormianie-Armeńczycy pozostali przez wiele wieków. W 1915 r. – gdy świat był zajęty wielką wojną światową – Turcy postanowili się z nimi ostatecznie rozprawić. Czy i te doświadczenia nie łączą nas z Ormianami?

Kazimierz Selda

Notatki

◆ 23 marca '04 odbyło się w Oddziale Krakowskim TMLiKPW **walne zebranie i wybory nowego zarządu** na V kadencję (czteroletnią). Oddano 68 ważnych głosów. Prezesem pozostał Adam Gyurkovich (59 głosów), wiceprezesami Edward Adles (57) i Jerzy Żuk (56), sekretarzem Urszula Kogut (59), skarbnikiem Jadwiga Cieślak (59). Do zarządu weszli ponadto: Andrzej Chlipalski (66), Romana Machowska (60), Anna Madej (55, prezes Koła Tarnopolan), Krystyna Stafińska (54, prezes Koła Stanisławowian), Zdzisława Stopczyńska (58), Leszek Wajda (41), razem 11 osób. Do komisji rewizyjnej weszli Maria Berek, Ryszard Defort i Henryk Kleinrok. Sąd koleżeński tworzą Jerzy Kowalczuk, Andrzej Pawłowski i Jan Sura.

◆ W lutym zmarł znany literat krakowski, scenarzysta filmowy, żołnierz AK, **Ryszard Kłyś**. Z nekrologu dowiedzieliśmy się, że urodził się w 1928 r. w Bursztynie.

◆ Wiadomość nie najświeższa, *ale lepiej późno niż wcale*, tym bardziej, że nas roz-



bawiła. Oto w marcu 2002 (!) spotkali się w krakowskiej Akademii Ekonomicznej kompetentni panowie z Polski i państwa Ukraina, dyskutując o obrocie gospodarczym pomiędzy Małopolską a *obwodem lwowskim*.

Ukraińcy zaproponowali m.in. szersze korzystanie **ze źródłu w Truskawcu**, a reporter BHK (?) wyjaśnił: *Ta ostatnia miejscowość, słynna już przed wojną [podkr.nasze] jako uzdrowisko (woda lecznicza Naftusia), chce przyciągnąć kapitał do utworzonej na swym terenie strefy ekonomicznej Kurortopolis*.

Śmieszne jest stwierdzenie, że Truskawiec był słynny już przed wojną. Redaktor nie wie oczywiście, że kariera Truskawca zaczęła się w pierwszej połowie XIX wieku, wielki rozwój nastąpił w czasach autonomii galicyjskiej, a największy rozkwit datował się od przełomu wieków. W latach międzywojennych Truskawiec ustępował frekwencją tylko Krynicy, przed Ciechocinkiem i Iwoniczem.

◆ W grudniu '03 w Pałacu Prezydenckim w Warszawie min. Marek Siwiec wręczył wysokie odznaczenia państwowo osobom **zasłużonym w obronie ludności polskiej na Wołyniu** w 1943 r. Najwyższe odznaczenie – Krzyż Komandorski OOP otrzymał Jan Lipiński, zamieszkały w Krakowie. Gośćmi honorowymi uroczystości byli m.in. Andrzej Przewoźnik oraz prof. Leon Kieres, prezes Instytutu Pamięci Narodowej. Jan Lipiński, przewodniczący Środowiska Żołnierzy 27 WDAK przedstawił rolę placówek samoobrony, niosącej pomoc Polakom, mordowanym przez nacjonalistów ukraińskich. Podziękował władzom RP za zorganizowanie centralnych uroczystości w Porzycu na Wołyniu w 60. rocznicę ludobójstwa. (DTS)

KULTURA NAUKA

Kronika

◆ Do Lwowa przywieziono **dokumenty Kościoła rzymskokatolickiego** na Bukowinie, podlegającego w przeszłości (do I wojny) i znowu dziś lwowskiej Kurii metropolitalnej. Dokumenty te, z lat 1781–1945, były przechowywane w stolicy Bukowiny Czerniowcach, w niezbyt dobrych warunkach. Wiadomość o tym doszła do krakowskiego środowiska archiwistów, które – za akceptacją ks. kardynała M. Jaworskiego – podjęło się ratowania archiwaliów. Do Lwowa wyjechał zespół młodych archiwistów z Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierowany przez dr Danutę Grodowską-Kulińską, przeprowadzając – przy wsparciu finansowym Rektora UJ – inwentaryzację i zabezpieczenie dokumentów. Zbiór czerniowiecki wejdzie w skład tworzącego się na nowo archiwum Kurii lwowskiej.

Wiadomość powyższą zacerpnieliśmy z relacji Pawła Stachnika w „Dzienniku Polskim” 4/03.

◆ W Krakowie wybuchła ostatnio nowa „awantura” (tak, w cudzysłowie) o granice **prawa do ingerencji w substancję zabytkową**. Chodzi o znany tu okrągły fort na wzgórzu św. Benedykta na Podgórzu. Obiekt został zbudowany w połowie XIX w. w ramach tworzenia Twierdzy Kraków (Austriacy budowali w Galicji dwie takie twierdze dla obrony przed uderzeniem od wschodu – czyli z Rosji: Przemyśl i Kraków). Dziś fort nie jest w żaden sposób użytkowany i w złym stanie technicznym, wymaga natomiast ciągłych interwencji przed całkowitą ruiną. Powstał pomysł, by adaptować go na cele kulturalne, jednak zaproponowany zakres zmian adaptacyjnych, z nadbudową, wzbudził zastrzeżenia konserwatorów i historyków. Tłumaczyli, że jest to obecnie jedyny w dzisiejszej Polsce fort wieżowy o charakterze górskim. Zwrócono uwagę, że podobne mu istnieją jeszcze tylko we Lwowie, Puli, Linzu i Weronie.

KULIKÓW

Położenie. Miasteczko w pow. żółkiewskim, wojew. lwowskim, w odległości 16 km na płn. od Lwowa i 12 km na płd. wsch. od Żółkwi. Położone nad Kulikówką, najwyższy punkt (wzgórze Zaskoki) 275 m npm. Parafie obu wyznań na miejscu.

Historia. Najdawniejsza wzmianka źródłowa z 1398 r. dotyczy fundacji parafii rzym.-kat. przez Mikołaja, dziedzica Kulikowa. Erygował ją metropolita halicki i lwowski bł. Jakub Strzemie w r. 1339, a w 1399 r. powstał tam pierwszy kościół. Po Mikołaju właścicielami Kulikowa byli jego dwaj synowie Jan i Piotr, obaj żonaci z Herburtównymi. Tą drogą zapewne przeszedł następnie Kulików na Herburtów z Odnowa. Mikołaj Herburt wybudował w 1538 r. kolejny kościół, konsekrowany w r. 1766. Nie wiadomo w jakich okolicznościach Kulików dostał się Żurawińskim, a później Stanisławowi Daniłowiczowi. Przy podziale majątku po bezpotomnej śmierci tegoż w 1636 r. dobra kulikowskie, obejmujące miasto i 19 okolicznych wsi, przypadły jego siostrze Teofilii Sobieskiej. Po niej odziedziczył je Jan III Sobieski, a później jego synowie. Król Jan osadził w Kulikowie jeńców tureckich i tatarskich, którzy zajmowali się wyrobem burek i koców. W 1743 r. Kulików należał do Radziwiłłów. Po rozbiorach, podczas egzekucyjnej sprzedaży dóbr radziwiłłowskich, nabył go Jan Batowski h. Trzy Zęby. W połowie XIX w. dziedzicem był syn Jana, Aleksander, historyk, publicysta i działacz społeczny.

W XVIII w. Kulików znany był z wyrobu miódów pitnych. W następnym stuleciu mieszkańcy trudnili się głównie sadownictwem, zaopatrując Lwów w owoce. Do II wojny światowej słynny był chleb kulikowski.

Zabytki. Kościół parafialny pw. św. Mikołaja, parokrotnie niszczony i palony, w swojej obecnej formie pochodzi z 1. połowy XIX w. We wnętrzu, w osobnej kaplicy znajdowały się relikwie św. Wiktorii, patronki Kulikowa, ofiarowane przez papieża Klemensa XI biskupowi łuckiemu, St. Rupniewskiemu. W kościele były obrazy włoskie z XVII w., ofiarowane przez Jana III oraz kopie obrazów Giotta i Tycjana. Po okresie sowieckim świątynia była zdewastowana, pozbawiona wyposażenia, organów, dzwonów. W r. 2000 kościół zwrócono wiernym. Podjęto prace remontowe, a obecnie kościół jest już czynny.

Kaplica cmentarna z 1873 r. Cerkiew parafialna, uposażona przez królewicza Jakuba Sobieskiego. W płn.-wsch. części miasteczka były ślady dawnego zamku i fortyfikacji.

Domyśliamy się, że w przypadku Lwowa chodzi o cztery narożne okrągłe bastiony na Cyta-
deli. Na marginesie: warto by opublikować w CL
jakieś fachowe opracowanie o lwowskiej Cyta-
deli. Zabytkowa fortyfikacja w centrum miasta, wro-
śnięta w krajobraz miasta i naszą pamięć, obiekt
historyczny – to stąd gen. Hammerstein bombar-
dował buntujący się Lwów w czasie Wiosny Lu-
dów w 1848 r. – czegoż więcej trzeba? Kto nam
pomoże?

◆ W październiku '03 odbył się w domini-
kańskim Kapitularku w Krakowie **Koncert
Pieśni Dawnych Kresów Rzeczypospoli-
tej**, wykonany przez artystów Akademii Tra-
dycji – Bractwo Lutni z Dworu w Wysokiej
(k. Jordanowa), a zorganizowany przez kra-
kowską „Wspólnotę Polską”. Zaśpiewano
przy akompaniamencie lutni Psalmi Miko-
łaja Gomółki, *piosenki smętne i ucieszne*,
nastrojowe ballady na wzór staropolski uka-
zane i inne – wykonane w językach naro-
dów Rzeczypospolitej, uświadamiając, jak
wielki był wpływ Polski na ich kulturę i jak
też my czerpaliliśmy z tego skarbcza. (MW)

◆ Bieżący rok obwołano jako **Rok Polski
w państwie Ukraina**. Pisano wiele o tym
w prasie, nie ma więc sensu szczegółowe
omawianie imprez oraz ich politycznych, go-
spodarczych i kulturalnych aspektów. Tym
bardziej, iż spodziewamy się, że jakaś rela-
cja na ten temat z czasem wpłynie do nas
ze Lwowa.

Tu chcielibyśmy jedynie zwrócić uwagę
na jeden szczegół. Oto koordynatorem fe-
stiwalu z ramienia Polski miał być... Miro-
sław Czech, Ukrainiec, były (a może nie tylko
były) współpracownik jawnie antypolskiego
czasopisma ukraińskiego w RP „Nasze Sło-
wo” (nieraz o nim napomykaliśmy), a w „Ga-
zecie Wyborczej” z 2 III 1993 napisał: *UPA
to cześć i дума Ukrainy*. Przy tym wszyst-
kim był... sekretarzem generalnym współ-
rządzącej w pewnym okresie Unii Wolności
(okresie szczęśliwie zakończonym). Kiedy
ogłoszono tę nominację, wiele osób i orga-
nizacji zaprotestowało – ze skutkiem.

Szczególne rozumienie i odczucie pol-
skiej kultury przez tego *działacza* objawiło
się m.in. w zestawie nazwisk czołowych
polskich twórców, eksponowanych w festi-
walu. Wśród kilkunastu nazwisk zabrakło
oczywiście Zbigniewa Herberta, najważniej-
szego dla polskości poety ostatniego pół-

wiecza (w dodatku urodzonego we Lwowie).
Może właśnie dlatego został pominięty?

◆ 18 marca 2004 był dniem, w którym
malarze z lwowskim rodowodem otwie-
rali w Krakowie aż trzy wystawy:

■ o godz. 17 w Pałacu Sztuki – wystawa
malarstwa profesora Akademii Sztuk
Pięknych Juliusza Joniaka,

■ o godz. 18 w Galerii „Lamelli” – wystawa
Koci Świat, w której uczestniczyło czwo-
ro urodzonych we Lwowie i Małopolsce
Wschodniej (na 20 wystawiających):
Wanda Macedońska-Zalewska, Adam
Macedoński, Jan Stopczyński i Stefan
Berdak,

■ o godz. 19 w galerii Polskiego Domu
Aukcyjnego w pałacu Larischa – werni-
saż wystawy malarstwa Witolda Urba-
nowicza.

Co godzinę nowa wystawa!

Książki czasopisma internet

Nowe książki

📖 Ukazał się już 11. tom *Kościołów i klasz-
torów rzymskokatolickich dawnego woje-
wództwa ruskiego* (Kraków 2003), w ramach
serii *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej
na Ziemiach Wschodnich dawnej Rzeczy-
pospolitej*, opracowywanych pod kierowni-
ctwem prof. **Jana Ostrowskiego** (dyrektora
Wawelu), a wydawanych przez Międzyna-
rodowe Centrum Kultury w Krakowie*.

Omawiany tom obejmuje długi pas tere-
nu, rozciągający się na wschód od Lwowa –
od Kamionki Strumiłowej na pñ. i Batiatycze
na pñ. po Chodorów i okolice na pñd. Z bar-
dziej znanych miejscowości znajdujemy tam
Przemyślany, Stare Siolo, Świrz, a także
wspominane w CL Batiatycze (*Słownik*
3/03, o rodzinie Paparów 4/03). Omówiono
prawie 40 kościołów i kaplic dawnych deka-



natów gliniańskiego i świrskiego – z różnych epok, różnej wartości oraz różnego stanu zachowania. Pozwalamy sobie przedrukować fragment wstępu, charakteryzujący przedstawiony materiał.

*Żaden z omawianych w tomie zabytków nie przetrwał okresu władzy sowieckiej w stanie nienaruszonym. Całkowitemu zniszczeniu uległy trzy z nich: drewniany kościół w Żelechowie Wielkim, kościół i klasztor Bernardynów we Fradze oraz kościół w Knihyniczach. Pozostałe prezentują różne stopnie dewastacji. Najsmutniejszy przykład to stan cennego kościoła w Sokółce [na płd. od Bóbrki – przyp. red.], najpewniej skazanego na ostateczne zniszczenie. Prawdopodobnie nie uda się także uratować zrujnowanych i opuszczonych kościołów w Bryńcach Zagórnych, Horpinie i Kutkorzu. Kościół w Podkamieniu k. Rohatyna** trwa w stanie półruiny, pozbawiony większości istotnych elementów swej architektury. Daleko idącej przebudowie poddano kościół św. Ducha w Kamionce Strumiłowej oraz kaplicę publiczną w Otyniowicach. [Kościół w Chodorowie jest dziś praktycznie rekonstrukcją zupełnie odmienną od stanu historycznego***. Był pozostałych zabytków nie wydaje się bezpośrednio zagrożony, ale tylko niewielkie z nich znajdują się w zadowalającym stanie. Pierwotne wyposażenie świątyń zostało w ogromnej większości zniszczone.*



Czasy obecne. Kościół parafialny, zamknięty po II wojnie światowej, oddany przed kilku laty do kultu w stanie dużego zniszczenia. Obecnie trwa jego odbudowa. Parafię obsługuje ks. Bazyl Pawełko, proboszcz żółkiewski.

MALECHÓW

Położenie. Wieś w pow. lwowskim. Położona 6 km na płn. wsch. od Lwowa, przy drodze do Kamionki Strumiłowej, na wys. 272 m n.p.m. Okolica bogata w pokłady gliny dyluwialnej.

Historia. Średniowieczne dzieje miejscowości są wyjątkowo dobrze znane, począwszy od 1377 r. W tym roku Ormianin Mardus sprzedał wieś Malochę Janowi Machewiczowi. W 1392 niejaki Piotr Blorok sprzedał Malechów Michałowi Lambackiemu. Król Władysław Jagiełło w 1419 r. przeniósł Malechów na prawo magdeburskie. Od połowy XV w. (co najmniej od 1468 r.) właścicielami wsi byli Jan Jura i jego synowie, którzy w 1480 r. sprzedali majątek Pawłowi Jurkowskiemu z Czartoryi. Cztery lata później, przy podziale spadku po Jurkowskim, występuje postać Prokopa Korowy. W 1489 r. Dymitr Chodorowski dokonał z radą miasta Lwowa zamiany Malechowa na inne dobra. Zostawszy właścicielem majątku, rada przeznaczyła go na uposażenie szpitala św. Ducha we Lwowie. Od tego czasu dochód z Malechowa służył zmieniającym się celom dobroczynnym.

Data fundacji parafii rzym.-kat. jest nieznaną (istniała już w 1487 r.). Przy końcu XVI w. rada miejska Lwowa wypuściła Malechów w dzierżawę Mikołajowi Trzebińskiemu. W 1620 r. wieś została spustoszona przez Tatarów. W r. 1695, gdy po raz pierwszy Tatarzy zapędzili się pod Lwów, założyli pod Malechowem obozowisko na noc. Na pocz. XX w. Malechów należał do lwowskiego Zakładu Kalek im. św. Łazarza.

Data fundacji parafii rzym.-kat. jest nieznaną (istniała już w 1487 r.). W 1945 r. kościół zamieniono na magazyn zboża, przy czym spalono całe drewniane wyposażenie, łącznie z rzeźbami ołtarzowymi. Następnie wnętrze przebudowano na internat, który w 1990 r. przekształcono na dom nauczycielski.

Zabytki. Kościół parafialny pw. św. Michała Archanioła, wybudowany pod koniec lat 70. XVIII w. wg planów architekta lwowskiego Piotra Plejowskiego, konsekrowany w 1896 r. Murowany z kamienia i cegły, jednonawowy, z węższym, trójbocznie zamkniętym prezbiterium, przy którym zakrycia i skarbczyk. Fasada dwukondygnacyjna, bez dekoracji rzeźbiarskiej.


Zinwentaryzowane zabytki reprezentują wszystkie epoki i style – aż do XX wieku. Szczególną uwagę zwracamy zawsze na gotyk, który jako pierwszy zakorzenił się na tym obszarze, ale trwał długo: kościoły o cechach gotyckich budowano w naszych stronach do XVII wieku, choć równolegle wznoszono obiekty renesansowe i barokowe. O gotyku wśród przedstawionych w 11. tomie kościołów, czytamy:

[...]jedynym kościołem średniowiecznym na omawianym terenie jest zachowany częściowo (brak prezbiterium w wyniku XX-wiecznej rozbudowy) kościół w Wyżnianach (konsekrowany 1400). Przewaga elementów gotyckich występuje jednak w znacznie późniejszych kościołach w Świrzu (1546) i Sokołówce (koniec w. XVI). Ten ostatni stanowił ośrodek fortalicji, z której przetrwały fragmenty murów i baszt. Ślady tradycji gotyckiej (ostrołukowe sklepienia) są czytelne jeszcze w kościołach w Przemyślanach (ok. połowy w. XVII). [...]

* Publikacja i poprzedzające ją badania zostały sfinansowane przez Komitet Badań Naukowych, Fundację Lanckorońskich i Fundację na rzecz Nauki Polskiej.

** Nie mylić z Podkamieniem w pow. brodzkim (z sanktuarium MB Podkamińskiej).

*** Stan przedwojenny, z czasów sowieckich i po odbudowie pokazaliśmy na zdjęciach w CL 3/03, s. 25.

 Minione dwie dekady możemy uznać za niezwykle owocne w kwestii dokumentowania ludobójstwa ukraińskiego na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w czasie II wojny. Ubogie lata, mniej więcej od początku lat 80., to przede wszystkim – obok dzieł wspomnianych żyjących świadków tragicznych wydarzeń – także liczne omówienia: książki księży W. Urbana i J. Anczarskiego oraz Cz. Blicharskiego, L. Karłowicza i L. Popka, W. Filara, W. Poliszczuka, J. Turowskiego i W. Siemaszki, a przede wszystkim wielka praca W. i E. Siemaszków z r. 2000. Niemal równocześnie zaczęły się ukazywać książki L. Kulińskiej (*Dzieje Komitetu Ziemi Wschodnich na tle losów ludności polskiej Wołynia 1939–1945*, t. 1–2, Warszawa 2000, i *Martyrologia polskich dzieci na Kresach RP 1942–1945*, Kraków 2003; autorka przekazała także naszemu kwartalni-

Rada Główna Opiekuńcza (RGO) powstała w Krakowie w styczniu 1940 r., po zatwierdzeniu jej przez generalnego gubernatora Hansa Franka, i działała we wszystkich dystryktach GG. Zadania RGO były następujące: rozdzielanie darów pieniężnych i w naturze między ludność, potrzebującą pomocy; wykonywanie ogólnej opieki społecznej oraz wspieranie zakładów i instytucji opieki społecznej itd.

Po utworzeniu dystryktu galicyjskiego (sierpień 1941) niemieckie władze okupacyjne zaproponowały adwokatowi lwowskiemu dr. Leopoldowi Tesznarowi utworzenie Komitetu Pomocy na wzór RGO. Po upewnieniu się, że komitet będzie miał charakter wyłącznie charytatywny, wyraził on zgodę i rozpoczął tworzenie **Polskiego Komitetu Opieki** (PKO, ale lepiej PolKO), który ukonstytuował się 1 września tego roku. Wkrótce powołano w innych miastach trzech województw II RP. Początkowo komitety powstawały niezależnie od struktury RGO i miały szerszy zakres działań, związane z reprivatyzacją własności po okupacji sowieckiej. Komitet lwowski przejął też zadania Polskiego Czerwonego Krzyża, na którego działalność władze dystryktu galicyjskiego nie wyraziły zgody. Dopiero od 1.XII.1941 galicyjskie komitety weszły w skład RGO, a Leopold Tesznar został Pełnomocnikiem RGO na teren Dystryktu Galicja. Jego zastępczynią została hr. Zofia Łosiowa.

Do końca tego roku PolKO powstały w Brzeżanach, Drohobyczu, Lwowie, Rawie Ruskiej, Samborze, Stanisławowie, Stryju, Tarnopolu i Złoczowie. W kwietniu 1943 r., w szczytowym okresie rozwoju struktury RGO, w dystrykcie galicyjskim działało 14 komitetów i 94 delegatury. Jednak terrorystyczna działalność bojówek ukraińskich w 2. połowie 1943 r., a następnie zbliżający się front spowodowały kurczenie się sieci organizacyjnej RGO. Wejście wojsk sowieckich do GG ostatecznie położyło kres działalności RGO.


Sprawa eksterminacji ludności polskiej przez nacjonalistów ukraińskich od początku pozostawała w kręgu zainteresowania RGO. Dr L. Tesznar wystąpił do władz niemieckich z sugestią podjęcia przeciwdziałań oraz wydania broni zagrożonej ludności polskiej. Kolejne interwencje Tesznapara u gubernatora dystryktu galicyjskiego Ottona Wachtera nie przyniosły rezultatów. Inną formą działań prowadzonych wobec ludności polskiej, zagrożonej terrorem ukraińskim, była pomoc udzielana uchodźcom na trasie ich ewakuacji do zachodnich obszarów GG.

kowi obszerny artykuł *Nie tylko Wołyń*, opublikowany w CL S/03). Wszystkie staramy się kolejno omawiać na łamach „Cracovia–Leopolis”. Nie do przecenienia są zasługi pisma „Na Rubieży”, wydawanego we Wrocławiu od kilkunastu lat (dotychczas ukazało się sto parędziesiąt numerów).

Teraz otrzymaliśmy kolejne potężne opracowanie **Lucyny Kulińskiej i Adama Rolińskiego** pt. *Antypolska akcja nacjonalistów ukraińskich w Małopolsce Wschodniej w świetle dokumentów Rady Głównej Opiekuńczej 1943–1944* (wyd. Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, Kraków 2003, jako tom 21). Książka stanowi tom I zamierzonej serii tego wydawnictwa, zatytułowanej *Dokumenty do dziejów stosunków polsko-ukraińskich 1939–1945*. To kolejne dowody, że coś się ruszyło, chociaż przebrnięcie przez różne obiektywne i subiektywne przeszkody nie jest dla tych i dla innych autorów łatwe.

Nowa książka o ponad 500 stronach obejmuje setki przejmujących dokumentów Polskich Komitetów Opiekuńczych (patrz informacje o RGO i PolKO w ramce) powiatowych i centralnych z czasu okupacji niemieckiej, przechowywanych dziś w wielu archiwach polskich (tu widać gigantyczną pracę wykonaną przez autorów). Trzeba wyjaśnić, że dystrykt Galicja (*Distrikt Galizien*), którego w zasadzie dotyczy omawiana praca, to trzy przedwojenne województwa: lwowskie (ale obcięte od zachodu, mniej więcej tak, jak dziś przebiega dzisiejszy kordon jałtański), stanisławowskie i tarnopolskie, aż do Zbrucza – czyli dokładnie Małopolska Wschodnia, zgodnie z tytułem książki. Autorzy dodali jednak dokumenty z części powiatów dystryktu krakowskiego, a także lubelskiego, radomskiego i warszawskiego, w których albo także występowały pogromy ukraińskie (powiat Przemyśl), albo odbijały się echem pogromy na wschodzie (napływ uchodźców, opieka nad nimi).

W dokumentach znajdujemy opisy rzezi, liczby zamordowanych, listy nazwisk ofiar.

 Cykl monograficzny **prof. Jerzego Kowalczuka** o lwowskich szkołach średnich jest kontynuowany zgodnie z planem. Oto dostaliśmy następny, już trzeci tom (Kraków 2003): *XII Państwowe Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Szczepanowskiego we Lwo-*

Czasy obecne. W 1991 r., w wyniku staraj ludności, została reaktywowana parafia rzym.-kat. Kościoła jednak wiernym nie zwrócono.

MALECHÓW

Wieś w pow. żydaczowskim, wojew. stanisławowskim, w odległości 12 km na póln. od Żydaczowa i 13 km na pld. od Mikołajowa. Położona na wys. 349 m n.p.m., nad rzeczką Kłodnicą, póln. dopływem Dniestru. Parafie obu wyznań w Brzozdowcach. Wieś należała do dóbr Lanckorońskich. W XIX w. przez pewien czas była w zastawie ss. Szarytek z Rozdołu.

SKWARZAWA STARA I NOWA

Położenie. Wsie w pow. żółkiewskim, wojew. lwowskim, położone 7 km na pld. od Żółkwi, nad rzeką Świnią, 404 m n.p.m. W okolicy pokłady węgla kamiennego i kamieniołomy piaskowca. Parafia rzym.-kat. i grekokat. na miejscu.

Historia. Obie wsie wchodziły początkowo w skład królewskiej. Później należały kolejno do Żółkiewskich i Sobieskich. Maria Karolina z Sobieskich ks. de Bouillon sprzedała je w 1740 r. wraz z całym kluczem żółkiewskim ks. Michałowi Radziwiłłowi. Pod koniec XVIII w. od Radziwiłłów odkupili je Bołoz-Antoniewiczowie. Z początkiem XIX w. były własnością znanego adwokata lwowskiego Józefa Bołoz-Antoniewicza i nieprzerwanie do końca stulecia pozostawały w rękach jego rodziny. Po wygaśnięciu męskiej linii dokonano podziału majątku między dwie spadkobierczynie. Skwarzawę Starą odziedziczyła wówczas Anna Suhecka, po niej zaś Tadeusz Starzyński, Skwarzawa Nowa przypadła zaś Mariannie Mniszkowej, a następnie Bojomirovi Żarskiemu. Ostatnią właścicielką S. Nowej była do II wojny światowej Julia z Żarskich Siemieńska.

Zabytki. Dwór wybudowany ok. 1807 r. przez Józefa Bołoz-Antoniewicza. Niewielki, na planie szerokiego prostokąta, parterowy, w części środkowej piętrowy. Ooczony był parkiem, pełnym starych drzew.

TRYBUCHOWCE

Wieś w pow. bóbreckim, wojew. lwowskim, położona w odległości 15 km na pld. wsch. od Bóbrki. Leży na wys. 389 m n.p.m., nad potokiem Lubeszka (dopływ Świrza). Parafia rzym.-kat. w Sokołówce, gr.-kat. w Bakowcach. Za czasów I Rzeczypospolitej należała do dóbr koronnych, w 2. poł. XIX w. była własnością Roberta Domsa. We wsi działała gorzelnia.

wie nr 570 (1925–1939). Szkoła ta powstała przez dzielenie się starszych zakładów – miała aż trzy poprzedniczki, które ulegały kolejnym reorganizacjom.


Równie złożone były problemy lokalowe szkoły – mieściła się w dwóch osobnych, choć niezbyt od siebie odległych budynkach: przy ul. Szumlańskich 7 oraz Szeptyckich 16. Na lekcje wf. uczniowie chodzili do budynku i na boiska „Sokoła” II przy ul. Kętrzyńskiego. Szkoła miała profil matematyczno-przyrodniczy.

Z XII Gimnazjum było związanych sporo znaczących osób, zarówno profesorów, jak i uczniów. Do ciała pedagogicznego należeli w swoim czasie m.in. Dyzisław Żygulski senior, historyk literatury, po II wojnie profesor na uniwersytetach w Łodzi i Wrocławiu; Marian Tyrowicz, historyk, po wojnie profesor UJ w Krakowie; Stefania Stipalówna, wybitna działaczka harcerska, po wojnie w Gdańsku (patrz *sylwetka* w tym numerze). Uczniami byli m.in. Włodzimierz Puchalski, znakomity fotografik, i aż trzech synowie lwowskich profesorów, zamordowani wraz ze swymi ojcami na Wulce w 1941 r.: Eustachy i Emanuel Stożkowie oraz Kazimierz Longchamps (jeden z trzech rozstrzelanych synów).

Tom zawiera, jak poprzednie, kalendarium szkoły, spisy uczniów wedle roczników (przydatne dla naszego Indeksu Wschodnich Małopolan!) oraz mnóstwo fotografii i kopii dokumentów. Ale są też szczególnie ciekawostki: krój mundurków gimnazjalnych, jakie obowiązywały w całej Polsce przed II wojną światową.

Czekamy na tom czwarty! A potem na następne.

I jeszcze *pro domo sua*: autor umieścił na końcu książki odbitkę omówienia jego wcześniejszych monografii z naszego kwartalnika (CL 3/03).

 **Janusz Wasylkowski** wydał w Instytucie Lwowskim (Warszawa 2002) tomik swoich wierszy pt. **Są słowa**, z podtytułem: *Wiersze o mieście, które samo się nie obroni*. Utwory zawarte w zbiorze nie są przykładem tradycyjnej poezji z rymem i rytmem, lecz prozy poetyckiej – to cecha współczesnej poezji, która polega na swobodzie i prostocie wypowiedzi, inspirowanej silnymi przeżyciami i głębokim uczuciem. Elementy podobnej prozy poetyckiej spotyka się u wie-

lu znanych poetów współczesnych – Gałczyńskiego, Szymborskiej czy ks. Twardowskiego. Tekst zbioru ma charakter patriotyczny – autor wyraża to określeniami dotyczącymi ukochanego miasta Lwowa, do którego nie może powrócić. (IS)

Oto przykład:

NASZA JEROZOLIMA

*Wędruję po ulicach
nadpęłwiańskiej Jeruzolimy
z której
wyjechać nie mogę
choć
opuściłem ją wiele lat temu

czas liże rany
ale
nie uleczy z udręki pamięci
która
stała się chlebem powszednim
i solą
i krzyżem
(wybacz nam Panie)
dźwiganym przez całe życie

coraz ciężej
coraz bardziej więc rozumiemy
Ciebie
chciałeś ocalić całą ludzkość
a my
tylko to miasto
które samo się nie obroni

coraz ciężej
coraz trudniej
znosić ból niespełnienia*

ERRATA

W CL 4/03 na str. 6 w wierszu 8 od dołu (*Archiwum*) napisaliśmy omyłkowo, że Sekcja Sportowa PTH powstała w 1943 r. Stało się to **w r. 1924**, a nie w czasie II wojny! Dziękujemy p. prof. Jerzemu Kowalcukowi za zwrócenie nam uwagi na błąd!

W tym samym numerze na str. 60 w kalendarium Klubu „Zaulek” pod datą 5 VI 2001 podaliśmy *brak zapisu*. A jednak jest zapis – przypominał to p. Edward Adles:

Adam Trojanowski opowiada o VIII Gimnazjum we Lwowie. Andrzej Pawłowski relacjonuje wybieczkę *Na Ziemię naszych Ojców*. Druga aukcja obrazków *Róży* i Jana Koleckich.

📖 Kiedy ukazał się niżej omawiany drugi tom wspomnień, jego autor, dr **Kazimierz Nahlik** zwierzył się, że ta część nie będzie tak sympatyczna, jak pierwsza (patrz CL 1/03), bo dotyczy lat wojny. Nie tylko czasu wojny zresztą, bo są tam też lata przedwojenne, ale owe lata to czas nieokreślonego niepokoju, nie przez wszystkich co prawda uświadamianego. Któż zresztą mógł być aż takim pesymistą, by wyczuć, że dla Lwowa i Małopolski Wschodniej zbliża się najgorszy los z możliwych?

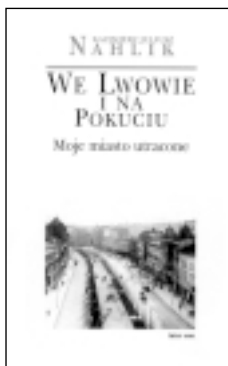
Tomik nosi tytuł: *We Lwowie i na Pokuciu. Moje miasto utracone* (Wydawnictwo „Inter Esse”, Kraków 2003). Nastroj opowiadań jest różnorodny: jeszcze ciągle

radosne chwile życia młodego człowieka i jego otoczenia przechodzą w zagęszczającą się atmosferę przygotowań wojennych, a wreszcie samej wojny i jej dramatycznych wydarzeń, widzianych z perspektywy mieszkańców Lwowa. Ważną stroną książki jest właśnie osadzenie tych wydarzeń w w życiu rodzin, ludzi, miejsc zamieszkania oraz ich wzajemne powiązanie. Dzięki temu wchodzimy w świat lwowskiej – i nie tylko lwowskiej – społeczności, tak tragicznie rozbitej w wyniku II wojny, czego nie doznały żadne miasta i regiony Polski centralnej i zachodniej (poza sporadycznymi przypadkami i miejscami).

Opowiadania Nahlika charakteryzują się bardzo literackim stylem narracji i pięknym językiem. To się rzadko zdarza w licznie pojawiających się wspomnieniach, a przecież dr Nahlik nie jest humanistą z wykształcenia. To po prostu talent pisarski na mocnym podkładzie kultury środowiska społecznego. Czyta się więc tę książkę z ogromnym zaciekawieniem, bo obok spraw poważnych i dramatycznych nie szczędzi nam autor zabawnych historii, anegdot, wierszy i fotografii.

Opowiadania Nahlika charakteryzują się bardzo literackim stylem narracji i pięknym językiem. To się rzadko zdarza w licznie pojawiających się wspomnieniach, a przecież dr Nahlik nie jest humanistą z wykształcenia. To po prostu talent pisarski na mocnym podkładzie kultury środowiska społecznego. Czyta się więc tę książkę z ogromnym zaciekawieniem, bo obok spraw poważnych i dramatycznych nie szczędzi nam autor zabawnych historii, anegdot, wierszy i fotografii.

📖 W okresie poprzedzającym obchody 60. rocznicy ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej ukazała się kolejna książka **Wiktora Poliszczuka: *Ludobójstwo nagrodzone*** (Toronto 2003). Autor – Ukrainiec, znany nam z poprzednich publi-



TRYBUCHOWCE

Wieś w pow. buczackim, wojew. tarnopolskim, położona w odległości 5 km na pdł.wsch. od Buczacza. Leży na wys. 382 m npm, przecięta potokiem Olchowiec. Parafia rzym.kat. znajdowała się dawniej w Buczaczu, gr.kat. w miejscu. W 2. poł. XIX w. była tu gorzelnia, browar i młyn z foluszem.

Już w 1. połowie XIX w. Trybuchowce należały do ormiańskiej rodziny Krzysztofowiczów. W 2. połowie tego wieku właścicielem był Walerian, potem jego syn Zygmunt. Około r. 1890 Trybuchowce nabył Kornel Horodyski h. Korczak, zarazem dziedzic Kołędzian, Tlustego, Tłusteńskiego i Babiniec. Swoją majątek rozdzielili między synów, a Trybuchowce dostały się Franciszkowi, znanemu malarzowi portreciście. Ostatnim właścicielem przed II wojną światową był jego syn Kornel. Gospodarstwo ziemskie uległo zniszczeniom w czasie I wojny, a dla jego odbudowy dokonano częściowej parcelacji, pozostawiając ok. 500 ha, w tym stawy rybne. Prowadzono m.in. hodowlę nasion.

Z końcem XIX w. Kornel Horodyski wznosił w Trybuchowcach murowany, rozległy pałac o akcentach neogotyckich i zróżnicowanej bryle, otoczony parkiem krajobrazowym. Pałac posiadał bogaty wystrój wnętrz oraz różnorodne umeblowanie: w stylu Ludwika XVI, gdańskim i nowoczesnym. W bogatych zbiorach znajdowały się obrazy Axentowicza, Mehoffera, W. Kossaka, Fałata, Wyczółkowskiego i F. Horodyskiego, kolekcja makat buczackich, archiwalia i księgozbiór. Wyposażenie to uległo zniszczeniu w czasie I wojny, a częściowo odtworzone – w czasie II wojny. Pałac został wysadzony w powietrze w 1944 r.

Na przełomie XIX/XX w. rodzina Horodyskich zbudowała w Trybuchowcach również kościół. W głównym ołtarzu znajdował się obraz pędzla F. Horodyskiego. Kościół obecnie istnieje, nie pełni jednak swojej funkcji.

TRYBUCHOWCE

Wieś w pow. husiatyńskim, wojew. tarnopolskim., położona w odległości 10 km na płn. od Husiatyna. Leży na wys. 300 m npm, nad Zbruczem. Parafia rzym.kat. znajdowała się w Liczkowcach, gr.kat. w miejscu. W 2. poł. XIX w. działała tu gorzelnia.

Texty opracowała dr Maria Taszycka. Do hasła *Bolechów* posłużono się m.in. książką J. Batkowskiego *Bolechów* (2003).

kacji, walczący samotnie o odkłamanie stonków polsko-ukraińskich, jest prawnikiem, politologiem i historykiem, absolwentem Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie się doktoryzował. Habilitację uzyskał na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach na podstawie rozprawy *Dowody zbrodni OUN-UPA*.

Książka Poliszczuka ukazuje przerażający obraz ideologii, odrzucającej wszelkie ogólnoludzkie zasady moralne, a przyjmującej jako jedyne „dobro” interes narodu – ściślej to, co głoszą przywódcy nacjonalistycznej organizacji. Może to być wymordowanie tysięcy niewinnych ludzi dlatego tylko, że zamieszkują na jakimś terytorium i mówią innym językiem. Są to zasady faszyzmu. Jeśli jednak faszyzm niemiecki został jednoznacznie osądzony i potępiony, to faszyzm ukraiński wciąż znajduje swoich wyznawców i stawia mu się pomniki – stąd tytuł: *ludobójstwo nagrodzone*. Książka pokazuje również, że realizacja tej ideologii w czasie ostatniej wojny to sprawa stosunkowo niewielkiego odłamu narodu ukraińskiego, a wykonawców zbrodni znajdowała drogą terroru i przymusu, a także ideologicznej indoktrynacji.

Omawiana książka to studium analityczno-syntetyczne o zbrodniczej działalności Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), które dokonały w czasie II wojny światowej ludobójstwa Polaków na naszych Ziemiach Wschodnich. Mordy trwały od 1939 do 1946 roku. Jest to trzecie – obok rosyjskiego i niemieckiego – ludobójstwo, dotąd ukrywane, nie rozliczone.

Autor sformułował pojęcie integralnego nacjonalizmu ukraińskiego typu faszystowskiego. Przeprowadził analizę ideologii Dmytra Doncowa, opartej na darwinizmie społecznym. Wg Doncowa *nacja stanowi gatunek w przyrodzie* i jako taka pozostaje w permanentnym konflikcie z innymi nacjami w walce o byt i przestrzeń; w walce, w której słabszy ulega mocy silniejszego. Doncow poszedł dalej niż Mussolini i Hitler: *Nacja ponad wszystko* – ponad Boga, chrześcijaństwo i wartości ogólnoludzkie. Autor twierdzi, że porozumienie taktyczne między OUN a Cerkwią greckokatolicką było i dziś też istnieje.

Struktura *nacji* to wódz, warstwa *lepszyc* ludzi (*mniejszość inicjatywna*), stosu-

jąca przemoc. Reszta to *tłum, okielznane bydło*. OUN była kierowana przez Jewhena Konowalca, potem Andrija Melnyka i Stepana Banderę. *Wszystko jest dobre, co dobre jest dla nacji*, a o dobru decyduje wódz. To jest usprawiedliwienie okrutnych mordów dokonywanych na bezbronnej ludności. Doncow mówi: *Żadne zasady nie mogą zabronić, aby słabszy uległ przemocy silniejszego*.

Nadrzędnym celem było stworzenie imperium ukraińskiego i ekspansja terytorialna, stworzenie jednonarodowego państwa na wszystkich ukraińskich terytoriach etnicznych – od Krynicy do granic Czechenii. Przedstawiciele OUN zgłaszali pretensje do Podlasia, Chełmszczyzny, Nadsania, Łemkowszczyzny – czyli *Zakurzonia*.


Dr Poliszczuk dowiódł członkostwa OUN w międzynarodówce faszystowskiej, współpracy OUN z Niemcami od jego utworzenia do końca wojny. Obalił mit o narodowo-wyzwoleńczym charakterze OUN. Dywizja SS-Galizien w ramach Waffen SS, powołana przez Niemców przy współdziałaniu z OUN Melnyka w lutym 1943 r., przysięgała na wierność Hitlerowi. W ramach dywizji utworzono pięć pułków policyjnych. Dokonywały one pacyfikacji polskich wsi. Pacyfikacja Huty Pieniackiej przyniosła ponad tysiąc ofiar. Dziś żyjący byli żołnierze, podoficerowie i oficerowie SS-Galizien otrzymują wojskową emeryturę od rządu niemieckiego za czas służby w dywizji.

Sprawcy ludobójstwa nie zostali ukarani. Ich potomkowie są wyznawcami ideologii Doncowa. Na terenach *zachodniej Ukrainy* stawiane są pomniki Kłyma Sawura i Stepana Bandery. Także w Polsce wybudowano pomniki UPA, w Jaworznie postawiono pomnik przestępcom. Prezydent Kwaśniewski niesłusznie przeprosił za „Akcję Wisła”. Poliszczuk wykazał konieczność przeprowadzenia tej akcji, której przyczyną było istnienie i działanie struktur OUN frakcji Bandery, dążącej do oderwania od powojennego państwa polskiego jego południowo-wschodnich terytoriów. Miejscowa mniejszość łemkowska na terenach *Zakurzonia* była terroryzowana przez OUN-UPA i zmuszana do wrogich działań przeciw Polakom.

W czasie okupacji niemieckiej ośrodkiem nacjonalizmu ukraińskiego był Kraków. Za cofającymi się po przegranej wojnie wojska-

mi niemieckimi podążali na zachód ukraińscy nacjonaliści, dostając się następnie do Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Kanady. Nie zostali potępieni, ale zatrudnieni. Powstała organizacja *Światowy Kongres Wolnych Ukraińców*, a po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę – *Światowy Kongres Ukraińców*, opanowany przez banderowców. Do tego kongresu zgłosił akces Związek Ukraińców w Polsce. Nacjonaliści opanowali życie ukraińskiej diaspory na Zachodzie. Prowadzą działalność wydawniczą, mają ośrodki naukowe przy uniwersytecie w Harvardzie w USA i w Edmonton w Kanadzie, *Ukraiński Wolny Uniwersytet* w Monachium. Wydali w Toronto w 38 tomach *Liłopys UPA*.

Dr Poliszczuk twierdzi, że 99% ukraińskich działaczy nacjonalistycznych pochodziło i pochodzi z terenu Polski. Poliszczuk jest bojkotowany przez nacjonalistów ukraińskich, a także – niestety – przez niektórych pracowników Instytutu Pamięi Narodowej (Stryjek, Motyka). (MW)


 Większość wydanych (i omawianych w naszym kwartalniku) książek traktujących o ludobójstwie ukraińskim w latach II wojny światowej dotyczyła Wołynia i województwa tarnopolskiego. Teraz ukazała się praca, która szczegółowo omawia zbrodnie UPA na obszarach zachodnich i pń.-zachodnich Małopolski Wschodniej, a także w Małopolsce środkowej, również w ciągu 2 lat po zakończeniu wojny. Tytuł brzmi: ***Martyrologia polskiej ludności na Ziemi Lwowskiej w latach 1939–1947. Zbrodnie dokonane przez nacjonalistów ukraińskich***, a autorem jest **Stanisław Jastrzębski** (ur. 1944), rodem ze wsi Bytło w wojew. stanisławowskim (nie podano wydawnictwa ani roku wydania – prawdopodobnie 2003).

Autor (na 570 stronach) omawia kolejno wszystkie miasta i powiaty, a w nich wsie, w których dokonano mordów, podając udokumentowane liczby i nazwiska ofiar. Wśród powiatów występują również te, które po II wojnie znalazły się na terenie Polski – aż po Rzeszów. Osobny rozdział dotyczy akcji „Wisła”. Na końcu zamieszczono teksty 79 dokumentów, głównie relacje świadków.

We wstępie do książki padają ważne zdania na temat istoty zbrodniczej działalności ukraińskich nacjonalistów:


[...] *Żadne błędy polityki i przewinięcia administracji II Rzeczypospolitej wobec Ukraińców – jakiegokolwiek by one były – nie dawały podstaw do takich zbrodni. Ani Bereza Kartuska, ani cokolwiek z okresu Polski przedwojennej nie może stanowić dla Ukraińców argumentu usprawiedliwiającego taki odwet. Ten holokaust zrodził się w świadomości i woli narodu ukraińskiego i w jego imieniu był wykonywany. W zamyśle jego inicjatorów i wykonawców ostatecznym celem miało być całkowite wyeliminowanie polskości pod każdą postacią z obszarów, które w przyszłości miały stać się terytorium „Wielkiej Ukrainy”.*

[...] w akcji deportacyjnej wyjątkową aktywność i brutalność wykazali miejscowi nacjonaliści ukraińscy. To właśnie oni najczęściej sporządzali listę aresztowań i deportacji do Rosji. W sojuszu z NKWD skwapliwie wyszukiwali oficerów Wojska Polskiego oraz policjantów i wskazywali ich milicji, która dokonywała aresztowań. Dla nich było to pierwsze okupacyjne przyzwolenie na bestialskie zachowanie wobec Polaków, stanowiące przygotowanie do późniejszej rozprawy z nimi. Wiernie służyli najpierw Sowietom, a potem Niemcom. [...]

 Ten sam autor, **Stanisław Jastrzębski**, wydał nieco wcześniej książkę *Kresy Wschodnie we krwi. Rzecz o polskiej samoobronie* (Wydawnictwo „Nortom”, Wrocław 2001). Temat tej książki jest bardzo mało znany: niewiele wiemy o polskich grupach samoobrony na ziemiach południowo-wschodnich, które powstawały samorzutnie lub organizowane przy pomocy AK, od czasu gdy morderstwa dokonywane na Polakach przez Ukraińców – przy aprobacie Niemców – przemieniły się w otwarte, zorganizowane i regularne rzezie. Pierwsze grupy polskiej samoobrony powstawały na przełomie lat 1942/43. W 1945 r. istniało ich podobno blisko 3000, a skupiały prawie 30 tys. osób. Najbardziej spektakularna akcja samoobrony miała miejsce w Przebrażach, w rejonie Łucka.

Autor wyjaśnia organizację OUN-UPA, a następnie daje szeroki obraz podejmowanych walk z Ukraińcami, którzy realizowali zaplanowaną eksterminację ludności polskiej. Cytuje 36 wypowiedzi naocznych świadków, zarówno z okresu okupacji niemieckiej, jak i drugiej sowieckiej.

Jeszcze mniej znane są losy oddziałów samoobrony po powtórny zajęciu Małopolski Wschodniej i Wołynia przez sowieków w r. 1944. Zarówno AK, jak i organizacje samoobrony podległy prześladowaniu – rozbrojeniu, aresztowaniom, deportacjom (ok. 50 tys. Polaków), a równocześnie UPA nawet wzmogła swój terror przeciw ludności polskiej, co było z początku tolerowane przez władze sowieckie. Kiedy jednak aktywność band ukraińskich zaczęła dotyczyć również Rosjan, władze sowieckie zalegaliżowały resztę oddziałów samoobrony jako tzw. *Istriebitielnyje Bataliony*, na co podobno inspektoraty AK wyrażały zgodę, że względu na konieczność ochrony ludności polskiej. IB otrzymywały nawet broń od sowieków, a oddziały były dowodzone w większości przez zawodowych oficerów sowieckich, niezdolnych już do służby liniowej (inwalidzi itp). Pomimo owej podległości wobec armii sowieckiej, żołnierze IB – jak pisze autor – nie utracili polskiej i wojskowej godności. Działalność IB została zakończona z wiosną 1945 r.

 Bolechowanin, który osiadł po ekspatriacji w Radomiu, **Jan Batkowski**, swoim rodzinnym miastem zajmuje się wielostronnie. Od lat jeździ nad Sukiel, by pomagać rodakom, a przy okazji inwentaryzuje polskie groby na miejscowym cmentarzu. Swoją działalność rozszerzył na Dolinę, Kałusz, Stryj, Witwice, Żydaczów, Rozdół, Rożniatów, Mikołajów, Żurawno, Starą Sól, Skole, Kutry, Śniatyn, Zabłotów (w sumie ponad 1500 grobów).


Wieloletnie obcowanie ze sprawami swej opuszczonej miejscowości rodzinnej zaowocowało opracowaniem i wydaniem przez Jana Batkowskiego książeczki – *Bolechów* (Radomskie Wydawnictwo Diecezjalne AVE, 2003). Zebraną wiedzę o mieście nad Sukielem (Sukielą?), złożył autor w 30 rozdziałach ilustrowanych ponad pół setką fotografii starych i nowych oraz rycin. Wśród tych ostatnich znajdujemy *wedutę* miasteczka z 1607 r., która pokazuje kwadratowy rynek – widomy znak przynależności tego miasta do polskiego kręgu cywilizacji.

Rozdział X to spis 243 zachowanych grobów polskich na bolechowskim cmentarzu, zinwentaryzowanych przez Batkowskiego (o pracy tej pisaliśmy w CL 4/02). Tu

warto zwrócić uwagę autora, że jeżeli wykaz taki ma wejść do tzw. obiegu naukowego (co oczywiste), to przy nazwiskach – dla jednoznaczności – należałoby podać pełne brzmienie imion, a nie tylko pierwsze litery. Uwagę mielibyśmy również do bardzo potrzebnego rozdziału XXIII, gdzie wymieniono wybitnych ludzi związanych z Bolechowem. Informacje te powinny być – w miarę możliwości – dokładniejsze, podając przynajmniej epokę, w której żyła i działała dana osoba (skoro brak konkretnych dat), a także ich pochodzenie – urodzony bolechowianin czy przybyły (typowy przykład: obecny ksiądz proboszcz, rodem wszak z Lubaczowa).

Te drobne uwagi odnoszą się do następnego wydania, które – nie wątpimy – prędzej czy później ukaże się w poszerzonym zakresie, bo autor na pewno nie poprzestanie na już zebranych wiadomościach. Może dopisze o najbliższej partii gór – Gorganach oraz o przedgórzu między Sukielem a Łomnicą – chyba najmniej znanych nawet byłym turystom? Dodajmy, że autor opisał Bubniszcze, położone tuż obok Bolechowa, jedną z wielkich atrakcji turystycznych podnóża wschodnich Bieszczad.

Patrz także *Z tamtej strony – Wydarzenia*.

 W księgarni Ossolineum w Krakowie przy ul. św. Marka (róg Sławkowskiej) zauważyliśmy (luty '04) takie pozycje, których nie mieliśmy dotąd w rękach, nie były więc w CL omawiane:

- **ks. Tadeusz Fedorowicz, *Drogi Opatrzności*** (wyd. „Norbertinum”, Lublin 1998). O zmarłym w 2002 r. (w 96. roku życia) bohaterskim księdzu Fedorowiczowi można było przeczytać w CL 2 i 3/02.
- **Jerzy Robert Nowak, *Przemilczane zbrodnie*** (wyd. von Borowiecky, Warszawa 1999).
- **Aleksander Jants, Adam Wójcik, Alfred Majewski 1907–1997. Wielki Odnowiciel Zamków Polskich** (wyd. Muzeum Historyczne w Tarnobrzegu, Tarnobrzeg 1999). O prof. arch. A. Majewskim pisaliśmy w CL 3/96 i 3/98.
- **Wiktor Poliszczuk, *Dowody zbrodni OUN i UPA, t. II***. (Toronto 2000).

- **Język i kultura na pograniczu polsko-ukraińsko-białoruskim** (wyd. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 2001).
- **Anna Krochmal, Konflikt czy współpraca. Relacje między duchowieństwem łacińskim i grekokatolickim w diecezji przemyskiej w latach 1918–1939** (wyd. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 2001).

Wertując wydawnictwa

➔ Czy coś się wreszcie ruszyło? W trzech kolejnych numerach krakowskiego „Dziennika Polskiego” 43, 44 i 45 (luty '04) opublikowano obszerny artykuł dr **Lucyny Kulińskiej** pt. **Panorama zbrodni. Co się zdarzyło na kresach RP w latach 1943–1944?** (tytuły części: *Zatrute umysły, Śmierć Polakom, Panorama zbrodni*). Przypomnijmy, że w naszym kwartalniku (CL S/03) opublikowaliśmy inny artykuł tej samej autorki, historyczki krakowskiej (nie mającej związków rodzinnych z Ziemią Wschodnią), pt. *Nie tylko Wołyń*.

W nr 42/04 tej samej gazety ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski zaapelował do radnych miasta Krakowa o uczczenie pamięci ofiar ludobójstwa ukraińskiego z lat II wojny na terenie województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego. Przypomniał, że w tym roku przypada 60. rocznica tamtych zbrodni, kiedy ginęli Polacy, Żydzi, Ormianie, Czesi i Rosjanie, a także ci Ukraińcy, którzy np. ukrywali Polaków lub przestrzegali ich przed niebezpieczeństwem.

Kraków stał się schronieniem dla wielu kresowych rodzin. Książd apeluje więc o uczczenie minutą ciszy pamięci ofiar ludobójstwa na najbliższej sesji RMK oraz o podjęcie stosownej uchwały oraz ufundowanie tablicy pamiątkowej.

Artykuł ks. T. Isakowicza-Zaleskiego o zbrodni ukraińskiej w Korościatynie na Podolu oraz relację z uroczystości w Radwanowicach wydrukowaliśmy w CL 1/04.

➔ W „Dzienniku Polskim” 25/04 w codziennym kalendarium rocznic znaleźliśmy taką małą notatkę: 1932 – *Liga Narodów uznała,*

iż pacyfikacja Małopolski wschodniej jesienią 1930 r. była konsekwencją terrorku ukraińskich narodowców i oddaliła skargę ukraińskich parlamentarzystów.

➔ Historyk Jerzy Besala, który często zamieszcza swoje publikacje w krakowskim „Dzienniku Polskim” (już wielokrotnie przez nas przytaczane), opublikował w nrze 31/04 artykuł pt. *Życie w Jalcie*. Omawia tam kulisy i przebieg konferencji pamiętnej **konferencji Stalina, Roosevelta i Churchilla w dniach 4–11 lutego 1944**. Oto fragment:

[...] *Dlaczego jednak Stalin tak energicznie obstawał na sesji 6 lutego za zachodnią granicą Polski na Odrze i Nysie, ze Szczecinem i Wrocławiem, zamiast Wilna i Lwowa? Dyktator nie kierował się przecież przyjaźnią do Polski. Odpowiedź rysuje się dość prosto: Stalin przesunął granice swego imperium jak najbliżej Zachodu w przewidywanym konflikcie. W jego planach Polska miała być państwem wasalnym, jak najdalej wysuniętym na zachód. Stalin zyskiwał też argument utrzymywania na tych „ziemiach okupowanych” sowieckich baz wojskowych.*

Dla nas nigdy nie było wątpliwości, że przesunięcie Polski o kilkaset kilometrów na zachód nie miało żadnego związku z jakąkolwiek racją historyczną, tak wobec Polaków, jak i dwóch zachodnich narodów ruskich. Na marginesie: nazwa *Jałta* stanęła w naszej narodowej świadomości w rzędzie takich jak Auschwitz, Dachau, Kołyma, Workuta czy Syberia. Stała się jednym z symboli krzywdy i zbrodni przeciw narodowi polskiemu. Tylko ignorant lub ktoś pozbawiony narodowej godności może o nich myśleć bez odpowiednich skojarzeń.

➔ W „Dzienniku Polskim” 14/04 red. Adam Rymont (*Puzzle pana Styki*) napisał o panoramach, w których specjalizował się nasz **lwowski malarz Jan Styka (1859–1925)**.

Przypomina na wstępie, że moda malowania obrazów panoramicznych zaczęła się z końcem XVIII w. w Szkocji, gdzie tamtejszy malarz Barker wykonał gigantyczną pół-panoramę... akwarelą, przedstawiającą widok Edynburga. Panoramy od tego czasu – jako nowość – cieszyły się ogromnym powodzeniem (takie czasy, gdy nie było kina, telewizji, a nawet fotografii). Przez cały wiek XIX trwał wyścig takich obrazów. W 1831 r. w Paryżu eksponowano 11 panoram miast, potem nastąpiła moda na tematykę batalistyczną i biblijną. Polska w owych czasach pozostawała na uboczu mód

europejskich. Gdy w Paryżu było 8 rotund dla panoram (zmiennych), w Berlinie – 6, to w Warszawie i Lwowie po jednej. W latach 1894–1901 powstało w Polsce 7 obrazów panoramicznych – najslynniejsza oczywiście *Raławicka* we Lwowie. Nie wyszedł Styce projekt namalowania i wystawienia w krakowskim Barbakanie *Bitwy pod Grunwaldem*. Na przeszkodzie stawały nie tylko finanse, ale i nieumiejętność pracy kolektywnej. Styka i Wojciech Kossak klócili się przy *Raławicach*, a tenże Kossak i Julian Fałat pojedynkowali się przy *Berezynie*.

Panoramę Raławicką, jak pamiętamy, stworzono na Wystawę Krajową we Lwowie w 1894 r. (dokładnie 110 lat temu!). Po Wystawie eksponowano ją przez czas jakiś w Budapeszcie. Zachwyceni Węgrzy zaproponowali Janowi Styce namalowanie – na 50. rocznicę Wiosny Ludów (1848–1898) *Panoramy Siedmiogrodzkiej* – bitwy pod Sybinem, w której wojska węgierskie pod wodzą naszego generała Bema pobity wojska austriacko-rosyjskie. Styka nie zaprosił do współpracy Kossaka, lecz swoich lwowskich kolegów T. Popieła i Z. Rozwadowskiego oraz M. Wywiórskiego, a także paru Węgrów i Niemca. Gotową panoramę w 1897 r. zawieziono ze Lwowa do Budapesztu, a potem pokazano w kilku innych miastach węgierskich. Niestety Styka nie doszedł do porozumienia z Węgrami w kwestii zapłaty, wobec czego *Panorama Siedmiogrodzka* wróciła do Polski i tu została pocięta na około 100 osobnych części, które rozprzedano jako osobne obrazy. Co się z nimi stało? Możliwe, że część przepadła w czasie II wojny. 11 obrazów znajduje się w muzeum w Tarnowie – w tym dwa, które odkupiono od... Edwarda Osóbki-Morawskiego, byłego premiera PRL (kto mu je ofiarował?). Kilka jest w muzeach Warszawy i Krosna, jeszcze kilka w rękach prywatnych. Jakaś liczba jest zapewne za granicą. Podejrzewa się, że kilka można by znaleźć we Lwowie – może zapomniane na strychach?

Przypomnijmy, że piękny dom z pracownią Jana Styki stoi we Lwowie na rogu ulic Mickiewicza i Ziemiałkowskiego. Po II wojnie działał tam jakiś *chudożnik*, któremu nawet położono tablicę pamiątkową.

➤ Książki, druki, gazety czy wycinki napływają do nas szerokim strumieniem, i czasem trudno sobie z tym poradzić, posegregować, przeczytać (co wcale nie oznacza,

że ich nie potrzebujemy, przeciwnie – to wspaniałe, że Czytelnicy i Przyjaciele biorą udział w zapełnianiu stron naszego kwartalnika). Nie zawsze możemy w szybkim terminie wykorzystać nadsyłane, ciekawe materiały, co – bywa – denerwuje autorów i korespondentów. I dlatego z niejakim opóźnieniem znaleźliśmy w „Rzeczypospolitej” 126/02 (po prawie dwóch latach) rozmowę J. Cieślaka pt. *Zacząłem we Lwowie* – ze znakomitym jazzmanem i kompozytorem, **Jerzym „Dudusiem” Matuszkiewiczem**, laureatem Grand Prix Opole 2002. Muzyk opowiada o sobie, o swojej twórczości i sukcesach. Pada też takie pytanie: *Co zawdzięcza pan dzieciństwu spędzonemu we Lwowie? Duduś odpowiada:*

To było czarodziejskie miasto, kulturalna stolica nie tylko Galicji, ale i Polski. Zaainspirowała wielu artystów. Tam urodzili się Herbert, Lem, Axer, Hemar, którego pamiętam z audycji „Wesołej Lwowskiej Fali” ze Szczepkiem i Tońkiem. We Lwowie zacząłem muzykować. Jak w każdym mieszczańskim domu moi rodzice, ciotki, wujowie grali i śpiewali. W ich wykonaniu usłyszałem wszystkie przedwojenne szlagiery Ordonki, Zuli Pogorzelskiej...

JERZY MATUSZKIEWICZ (ur. 1928), jazzman, współtwórca zespołu „Melomani” w Warszawie, kompozytor muzyki do filmów *Jowita*, *Zakłęte rewiry*, *Wierna rzeka* i wielu innych oraz seriali: *Wojna domowa*, *Stawka większa niż życie*, *Kolumbowie*, *Jak rozpętałem II wojnę światową*, *Czterdziestolatek*, *Janosik* i in. W 2002 r. został laureatem Grand Prix Opole.

➤ Z jeszcze większym opóźnieniem notujemy, że w „Rzeczypospolitej” 21/02 ukazały się dwa ważne teksty. Pierwszy nie dotyczy w zasadzie Lwowa – jest to rozmowa K. Masłonia z **Normanem Daviesem** o jego wydanej przed ponad dwoma laty książce o Wrocławiu – *Mikrokosmos* (w Niemczech ukazała się jako *Kwiat Europy*). Bardzo to dla nas ciekawe, bo odwołania do Lwowa przewijają się parokrotnie. Na przykład:

(KM) *Panie Profesorze, niewątpliwie istnieje coś, co określamy z łaciny jako genius loci. Dla nas miastem wyjątkowym jest Lwów „semper fidelis”. A czym jest Wrocław dla współczesnych Niemców? Czy pozostał w świadomości jako Festung Breslau?*

(ND) *To ciekawe, ale większość Niemców o Breslau zapomniiała. Kiedy czyta się książki o historii Niemiec, Prus, III Rzeszy, to znajdujemy w nich zaskakująco mało wzmianek o Breslau. A przecież, jakkolwiek by patrzeć, było to trzecie miasto Cesarstwa Niemieckiego: po Berlinie i Hamburgu. Było potężnym centrum gospodarczym, politycznym i kulturalnym, a stało się utraconym miastem historii Niemiec. Oczywiście, Wrocław istniał w pamięci, ale wyłącznie w pamięci wypędzonych stąd: jako utracony raj, arkadia, nad którą nigdy nie zachodziło słońce. Dla tych ludzi był i jest Breslau tym, czym dla Polaków Lwów i Wilno. Ale dla odżegnujących się od nacjonalizmu władz niemieckich Breslau był kłopotliwy. Przez wiele lat tylko partie skrajnie prawicowe, przeważnie antykomunistyczne, przypominały sobie o Breslau, przy czym nie zawsze chciano pamiętać, że to nie Polacy zniszczyli miasto, a Armia Czerwona. [...]*

(KM) *Ciekawe, jak książka przyjęta zostanie w Niemczech. Może nie tylko sprowokować dyskusję, ale i otworzyć zasklepione rany.*

(ND) *Sądzę, że efekt będzie mocniejszy niż w Polsce. Ale ta książka powinna pomóc też tej ogromnej większości Niemców, którzy uważali, że o wszystkim, co wiąże się z wypędzonymi, należy zapomnieć. W imię poprawności i jakiegoś większego dobra. To do nich właśnie, do myślicy, tolerancyjnych i demokratycznych Niemców adresujemy tę książkę o Vratslavii i jej dziejach. Uświadamiając, bo to trzeba uświadomić, że nie tylko Niemcy utracili swoją ojczyznę na wschodzie, ale inni też, a spośród nich Polacy stanowią największą grupę narodową. Procentowo Polska straciła po wojnie większe terytorium niż Niemcy, a nieszczęście wypędzonych jest takie samo. Daleko nie szukając, rodzina mojej żony wygnana została ze Lwowa. Mogli zabrać ze sobą tylko parę rzeczy w walizce i... pamięć.*

Drugi tekst napisał historyk, Rafał Żebrowski (nb. siostrzeniec Zbigniewa Herberta). Jego tytuł: *Orlęta dla Ukrainy*. Autor przypomina **Ukraińcom**, że polskie zwycięstwa w obronie Lwowa i pod Zadwórzem 1918–1920 miały błogosławione skutki właśnie dla Ukraińców. Gdyby nie to –

nie ma wątpliwości, już wtedy zostaliby pochłonięci przez Rosję sowiecką. Co by to dla nich oznaczało w latach 30., nie trzeba wyjaśniać. Żebrowski przypomina też postać hetmana kozackiego Piotra Konaszewicza Sahajdacznego (XVII w.), który stał po stronie polskiej – a nie Bohdana Chmielnickiego, który na kilka wieków poddał Ukrainę Moskwie. Co z tego wynikało, też nie trzeba wyjaśniać.

➔ Czytający „Rzeczpospolitą” natknęli się zapewne w nrze 56/04 na ciekawą historię pt. *Małeńki polski dżentelmen* – o karzełku, który (swoim kalectwem) najpierw zrobił wielką karierę w Polsce i Europie, ale zmarł w biedzie w Anglii. Dla tych, którzy nie czytali, cytujemy wstęp do artykułu E. Sawickiej:

Był najsłynniejszym karłem Europy w drugiej połowie XVIII i na początku XIX wieku. Mierzył 99 centymetrów – tyle co czteroletnie dziecko. Podziwiała go arystokratyczne damy i koronowane głowy. Pisał o nim Diderot w swojej encyklopedii, jego losy uważnie obserwowała prasa. Liliput, ale ładny i niezwykle proporcjonalny. Inteligentny, elegancki, swobodnie konwersujący po francusku, błyszczał na salonach. Miał piękną żonę zwykłego wzrostu i kilkoro dzieci. Dożył prawie stu lat. Nazywał się Józef Boruwlaski. Do śmierci podkreślał, że jest polskim szlachcicem.

Artykuł jest omówieniem książki Anny Grześkowiak-Krwawicz: *Zabaweczka. Józef Boruwlaski – fenomen natury, szlachcic, pamiętnikarz*. Notabene: autorka chyba niemiłosiernie przekreśliła nazwisko bohatera, bo w Polskim Słowniku Biograficznym (hasło opracowane przez Stanisława Wasylewskiego!) brzmi ono sensownie: *Boruslaski*. Jak było naprawdę?

Dlaczego o tym w ogóle piszemy? Oto **Józef Boruwlaski urodził się w r. 1739 w okolicach... Halicza**. Nie był szczęśliwy, traktowany jak zabawka. Zostawił pamiętniki, w których opisał doznawane upokorzenia.

➔ **Książka o kopcach**, którą tu omawiamy, dotyczy całej Polski, od Ziemi Wschodnich poczynając, poprzez Polskę centralną, aż po dzisiejsze ziemie zachodnie (a nawet nie tylko Polski, bo uwzględniono usypane przez Polaków kopce w Ameryce i Bułgarii). Książka Grzegorza Gilla pt. *Kopce w krajozbrazie kulturowym Polski* (wyd. Małopolski Oddział Stowarzyszenia Miłośników Tradycji Mazurka Dąbrowskiego, Kraków 2002, wydanie II) jest napisana z ducha po p o l -

s k u, czyta się ją więc z satysfakcją, nie tylko z uwagi na ciekawą treść. Jej popularnonaukowy i zarazem patriotyczny charakter predestynuje tę książkę do jak najszerzego spopularyzowania.

Autor omawia wszystkie znane mu polskie kopce – ową specyficzną n a s z ą formę pomnika. Doliczył się ich 270 (z czego jakaś niewielka część pozostała w formie śladowej), niewykluczone jednak, że są jeszcze inne, o których istnieniu brak dotąd wiadomości. Rozrzucone są po całej Polsce, wielkie i małe, poświęcone najróżniejszym pamiątkom, starsze i nowsze, znane ogólnie i tylko lokalnie. Zaczyna się oczywiście od legendarno-historycznych: Krakusa i Wandy w Krakowie – poprzez najważniejsze i najbardziej sławne: Kościuszki i Piłsudskiego również w Krakowie oraz Unii Lubelskiej we Lwowie – na powojennych kończąc (m.in. na Westerplatte).

W książce znalazły się więc także kopce we Wschodniej Małopolsce i na Wołyniu, mało albo całkiem nam dotąd nieznanne, nie licząc kopca na lwowskim Wysokim Zamku. Oto ich lista:

w Sokalu:

- kopiec obrońców przed Tatarami
- kopiec powstania 1863 r.

na Przełęczu Tatarskiej (Jabłoniczej) k. Tatarowa w Czarnohorze:

- kopiec tatarski

w Gródku Jagiellońskim:

- kopiec Władysława Jagiełły (który zmarł w Gródku)

w Obertynie na Pokuciu:

- kopiec Jana Tarnowskiego

w Stanisławowie:

- kopiec Unii Lubelskiej i Tadeusza Kościuszki

w Majdanie-Hucie k. Nadwórnej:

- kopiec Teofila Wiśniowskiego

w Zadwórzcu:

- kopiec Polskie Termopile

na Przełęczu Legionów w Gorganach:

- kopiec Legionów Polskich

w Skale Podolskiej:

- kopiec Agenera Gołuchowskiego

w Kostiuchnówce k. Łucka:

- kopiec Legionów Polskich

w Krzemieńcu:

- kopiec ks. Jakuba Macyszyna (z lat 1970!)

Do powyższej liczby można by doliczyć jeszcze dwa, leżące w innych stronach naszego kraju, ale z kulturą Małopolski Wschodniej związane – każdy po swojemu. Pierwszy to nieistniejący już kopiec Mieczysława Romanowskiego k. Józefowa na Lubelszczyźnie. Poeta rodem z Pokucia zginął tam w 1863 r. Drugi, całkiem innego charakteru, powstał przed kilku laty w Witnicy k. Gorzowa i upamiętnia najsłynniejszego bohatera polskich bajek: Koziołka-Matołka. Pamiętajmy, że postać tę wymyślił stryjanie-lwowianin Kornel Makuszyński.

Warto zwrócić uwagę, że „Gazeta Wyborcza” z 5 IX 1997, relacjonując ww. książkę (I wydanie) nie zauważyła Kopca Unii Lubelskiej we Lwowie. Wcale nas to nie dziwi, bo i taka gazeta, i taki autor...

➔ Coraz częściej rozlega się we Lwowie **lament nad stanem upadku Miasta**. Chodząc po naszym opuszczonym Lwowie, spostrzegamy walące się lub zaniedbane do ostateczności kamienice, zauważamy nieodpowiedzialne roboty niby-konserwatorskie, które tyleż niszczą, co naprawiają: vide zdjęcia z restaurowanego kościoła Bernardynów, oddanego Bazylianom. Przypomnijmy sobie Czarną Kamienicę, najpierw pomalowaną na popielato, zaś po protestach – przemalowaną na czarno, a w sumie dawną naturalną czarną patynę zniszczono bezpowrotnie. Czy widział ktoś, jak wyglądają cztery piękne niegdyś klatki schodowe w gmachu skarbkowskim? (nietrudno tam wejść, a warto). To nie wszystko – przepadają niezwykle detale, którymi Lwów był



Nowa budowla na pl. Mariackim

przepełniony: zabytkowe balustrady balkonów, drobne rzeźby i płaskorzeźby, ornamenty. W CL 4/03 przytoczyliśmy artykuł z gazety ukraińskiej o rzeźbie Diany na jednej ze studzien lwowskiego Rynku...

Gwałcony jest nawet krajobraz zabytkowego śródmieścia. Popatrzcie, co zbudowali na placu Mariackim, w miejscu wyburzonej kamienicy, gdzie był słynny sklep z porcelaną Lewickiego. O tym monstrum już wspominaliśmy, teraz prezentujemy jego zdjęcie.

Ginie powoli wystrój pięknych lwowskich kamienic. W internecie natrafiiliśmy na tekst napisany przez Żannę Słoniowską – osobę, która podobno mieszka i we Lwowie, i w Krakowie. Opisuje witraż, który ma 11 m wysokości – biegnie przez całą wysokość kilkupiętrowej klatki schodowej i przedstawia – jak pisze autorka – ziemię, wodę i niebo. Może na samym dole był też świat podziemny, ale ta część już nie istnieje. Reszta tego witrażowego fenomenu też dogorywa... Zwróciliśmy się do autorki o zgodę na przedruk tekstu w CL, ale jej nie otrzymaliśmy. Adresu tej kamienicy nie znamy, ale przy okazji się dowiemy.

➔ Wielką przyjemność i satysfakcję sprawiła nam Redakcja **zakopiańskiego pisma „Na Placówce”**, drukując w swoim nrze 1/04 (16) tekst rekomendujący nasz kwar-

talnik. My z kolei przedstawiamy w ramce tamto pismo, nie traktując tego bynajmniej jako rewanż, lecz szczerze przekonanie. Naprawdę – tego nam potrzeba!

Miło nam, że również drugie czasopismo, „**Tygodnik Podhalański**”, w nrze 26/03 (702) zamieściło cały artykuł, omawiający kilka numerów naszego pisma.

Obie Redakcje zachęcają swoich czytelników do prenumeraty „Cracovia-Leopolis”, podając nawet nasz adres. Serdecznie dziękujemy!

➔ Zainteresowanych historią **górnictwa solnego w Małopolsce Wschodniej** informujemy, że otrzymaliśmy nadbitkę ze „Studiów i Materiałów do dziejów Żup Solnych w Polsce”, t. XXII (Wieliczka 2002), zawierającą opracowanie Nadii Franko (przetłumaczone z j. ukraińskiego) pt. *Dokumenty do dziejów kopalń i warzelnii soli w zasobie Centralnego Państwowego Archiwum Historycznego we Lwowie* (archiwum to mieści się w klasztorze bernardyńskim). W archiwum znajduje się zarówno księgozbiór do-



Zalewa nas powódź czasopism i programów telewizyjnych, które demoralizują – a przynajmniej dezorientują – nasze społeczeństwo, szczególnie młodzież. Dotyczy to najsobiesniej dwóch najważniejszych dla narodu dziedzin: politycznej i moralno-obyczajowej.

Dlatego z radością i nadzieją trzeba witać wszelkie zdrowe zjawiska medialne – prasowe i audiowizualne, które – zwłaszcza w obliczu nowej sytuacji naszego państwa – przeciwstawiają się degrengoladzie politycznej i moralnej Polaków. Także materialnej – wyjąwszy warstwę rządzących, partyjnych *baronów* i oligarchii finansowej.

Z przyjemnością przedstawiamy naszym Czytelnikom regionalne pismo obozu niepodległościowego „Na Placówce”, wydawane w Zakopanem – dla Podhala. Redaktorem naczelnym jest p. Wojciech A. Orawiec, który zwrócił się do nas o zgodę na przedrukowywanie niektórych naszych publikacji. Oczywiście zgadzamy się, mając nadzieję na zapoznanie szerszych kręgów społeczeństwa z bliskimi dla nas prolegmami polskich dziejów, kultury oraz współczesności Lwowa i całej Małopolski Wschodniej. Mamy nadzieję, że i my będziemy mogli skorzystać z wybranych artykułów, ogłaszanych w podhalańskim piśmie.

Adres wydawnictwa: Komitet Patriotyczny „Porozumienie Orła Białego”, 34-500 Zakopane, ul. Tetmajera 11

tyczący omawianego tematu (oczywiście wyłącznie autorów polskich), jak i zespół dokumentów, głównie z lat 1772–1875, a dotyczących działalności kopalni i zakładów solnych w: Bochni i Wieliczce oraz Delatynie, Kosowie, Kałuszu, Trembowli, Kosmaczu, Jabłonowie, Tłumaczu, Stebniku i innych. Jak pisze autorka – *Archiwalia wska-*

zują, że nie było prawie na Podkarpaciu (zwłaszcza, gdy chodzi o Beskidy Wschodnie) miejscowości, w której nie zarejestrowano by kopalni bądź warzelni solnej. Materiały o tematyce solnej można znaleźć również w posiadanej przez Archiwum kolekcji map i planów ze zbiorów rodzinnych Lanckorońskich i Rzewuskich.

Jest co czytać (37)

LWÓW W POZNANIU

Tytuł może zbyt szeroki. Nie zamierzamy tu pisać o chwalebnej aktywności środowiska poznańskiego TMLiKPW, bo mamy za małą wiedzę na ten temat, ale słyszy się wiele dobrego. W tej rubryce natomiast pisze się o czasopismach, przyszedł więc czas (najwyższy!), by wspomnieć o „Biuletynie Informacyjnym” Oddziału Poznańskiego. Wychodzi już szesnasty rok, ukazało się dotąd 70 numerów, co oznacza, że z grubsza jest kwartalnikiem. Mamy przed sobą niestety tylko jeden 20-stronicowy numer 69. z maja–września roku 2003.

Już na samym wstępie (s. 2) zwróciliśmy uwagę na *Protest* Oddziału przeciw kapitulacji ze strony Polski sposobowi przeprowadzenia obchodów 60. rocznicy ludobójstwa ukraińskiego. Zarząd Oddziału zakończył swoją wypowiedź słowami: ...*Nie obarczamy winą za zbrodnie sprzed lat sześćdziesięciu całego narodu ukraińskiego. Wiemy, że wielu Ukraińców ponosło śmierć za ratowanie bestialsko mordowanych sąsiadów – Polaków. Uważamy jednak, że honor i godność narodu wymagają przestrzega-*

nia zasady równorzędności i sprawiedliwego traktowania faktów. Pojednanie może dokonać się tylko na podstawie uznania UPA przez Ukraińców za organizację przestępczą, a także przyznanie, że wymordowanie w latach 1943–1944 dziesiątków tysięcy Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej było aktem ludobójstwa. Należą się wyrazy uznania poznańskim lwowiakom, bo nie wszystkie oddziały pamiętały, by postąpić podobnie.

Zbrodniom ukraińskim poświęcono jeszcze kilka dalszych artykułów. Dalej sporo innych materiałów historycznych: o herbie Lwowa i lwowskich kościołach, o Fredrze. Sprawy mało znane: o *Marchlewszczyźnie* (lata 20–30. na Ukrainie). Trochę dawnej poezji – Klonowica (*Roxolania*) i Ref-Rena oraz nowszej – Masióra. Z prozy: Schleyen.

Wszystko czyta się z ciekawością. Ale jeśli poszukać *dziury w całym*, to zabrakło nam szerszych odniesień do współczesności. Może tylko w tym numerze? I czy nie przydałby się bardziej zindywidualizowany tytuł pisma? Np. *Lwów nad Wartą* (i dopiero podtytuł: *Biuletyn Oddziału...*). Nie gniewajcie się za te uwagi. My okropnie lubimy wszystkich poprawiać (ale tylko tam, gdzie warto)!

Maria Klara Bohomolec

Z górnej półki

Przed trzema laty (kwiecień 2001) zmarł Tadeusz Chciuk, czyli Marek Celt. Warto przypomnieć Czytelnikom świetną książkę napisaną przez tego pisarza – zarazem prawnika, muzyka, harcerza-instruktora (w stopniu harcmistrza), kuriera, żołnierza AK, cichociemnego, dziennikarza i publicysty, pracownika i wicedyrektora Radia Wol-

na Europa. Marek Celt wydał w Monachium w 1986 r. (II wydanie 1989) książkę *Biali kurierzy*, opisującą pierwszą fazę walki z okupantem sowieckim w ziemie 1939/40.

Główny wątek to opis drogi i przeżywanego przygód własnych i swoich towarzyszy-kurierów na trasie Lwów–Budapeszt i z powrotem, w ziemie, przez góry, na nartach. Zasadnicza akcja przedzielana jest informacjami historycznymi, dotyczącymi krańców południowo-wschodnich Polski,

w szczególności Drohobycza, oraz relacjami o okupacji sowieckiej w jesieni 1939 i na początku 1940 r., o represjach, atmosferze i zachowaniu poszczególnych grup społecznych lub jednostek. Jest też trochę informacji o działaniu polskiego przedstawicielstwa w Budapeszcie.

Pisząc tę opowieść autor spełnił – z pewnym opóźnieniem – swój obowiązek upamiętnienia bohaterskich żołnierzy-kurierów przenoszących meldunki i przeprowadzających ludzi na trasie Lwów (Drohobycz) – Budapeszt, przez Bieszczady. Większość tych kurierów zginęła lub zaginęła w nieznanych okolicznościach, gdy po kilku udanych przejściach wyłapani zostali przez sowieckie służby graniczne. Autor utrwala ich imiona i nazwiska, pseudonimy, żeby chociaż w ten

sposób ocalić od zapomnienia ludzi, którzy powinni pozostać na zawsze w narodowej pamięci. Do swoich kolegów odnosi się z dużą sympatią, szacunkiem.

Książka pisana jest żywym, barwnym językiem z odrobiną humoru oraz ze znacznymi wstawkami uwieczniającymi bałak lwowski.

Spośród kilkunastu opinii o książce, cytowanych na okładce, warto przepisać to, co o niej napisał Cezary Chlebowski: *O żołnierzach-kurierach na nartach, krążących między okupacją niemiecką a Węgrami, pisało w kraju już wielu... Ale o służbie tam na Wschodzie pierwszą książkę napisał Marek Celt. „Białych kurierów” czyta się w największym napięciu.*

Danuta Trylska-Siekańska

Listy do redakcji



Nadszedł list ze Lwowa od naszego Czytelnika i Przyjaciela, a zarazem wspaniałego działacza p. Adolfa Wisłowskiego, o którym nieraz wspominaliśmy w CL, a w jednym z następnych numerów ukaże się jego wspomnienie z 1939 r. Pan Dolo pisze:

[...] Przesyłam mój wspólny artykuł o kościele we wsi Malechów, gdzie było mieszkanie nauczycieli. Jest bardzo zniszczony i dużo trzeba pieniędzy na remont, aby Dom Boży był Domem Bożym. Ja dalej staram się o odnowienie pomnika Jana III Sobieskiego, pisałem już chyba, że gmina uchwaliła, by na fundamencie króla polskiego, zniszczonego przez komunistów, postawić figurę Matki Boskiej. A tę można przecież stawiać w dziesięciu innych miejscach [...].

Drugą sprawę, jaką załatwiam, to upamiętnić miejsce rozstrzelania, a potem palenia trupów. Śladu nie ma, a tylko świadkowie, ale oni umierają i muszę się śpieszyć, aby upamiętnić te Piaśki Lesienickie, gdzie przez trzy lata rozstrzelali i palili tysiące ludzi. Trzecia sprawa to ekshumacja nauczycieli i ich rodzin, zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów. 35 osób – nauczycieli z rodzinami. [...]

Obszerne fragmenty artykułu o kościele w Malechowie zamieszczamy w tym numerze.

Za list (kapitałny!) – również ze Lwowa – serdecznie dziękujemy Pani Czesławie Cydzikowej. Jego poszczególne fragmenty chętnie wykorzystamy w piśmie.

I jeszcze jeden list ze Lwowa, nie podpisany żadnym nazwiskiem, z prośbą o zamieszczenie takiego podziękowania:

Rozkołysały się dzwony –
Radość i nadzieja
W serca wstępuje.
Chrystus z grobu dziś powstał,
Zwyciężył zło i szatana –
Świat cały się raduje.

Szanowny Panie Prezesie!

My, lwowiacy semper fidelis swojemu miastu i Ojczyźnie, na ręce Pana składamy moc najserdeczniejszych życzeń. Panu i wszystkim, którzy starają się przynieść nam pociechę i pomoc w naszym niewesołym życiu, nie szcędząc czasu i sił, otwierają nam swe gorące serca: p. Teresie Wilkovej, p. Barbarze Ołasińskiej, p. Małgorzacie Stępcie – życzymy Błogosławieństwa Zmartwychwstałego, Jego opieki i łaski. Zdrowia, szczęścia w życiu osobistym i rodzinnym, zadowolenia z pracy i sukcesów. Spełnienia wszystkich życzeń i pragnień, tylko słonecznych dni i uśmiechu. Dzielimy się, choć na odległość, tradycyjnym jajkiem – Szczęść Boże. Życzymy z całego serca i wierzymy, że nasze życzenia spełnią się i nie tylko staną się aktualne w świątecznym czasie, ale i przez wszystkie dni w roku i wszystkie lata, daj Boże jak najdłuższego życia.

Wdzięczni Lwowiacy

Ciekawy i miły list napisała do nas z Zakopanego p. Anna Brzosko-Szydłowska, wyrażając się pochlebnie o naszym kwartalniku, co przyjmujemy z wdzięcznością. Wrażenie na Pani Annie wywarł numer S/03 artykułami o bestialstwie ukraińskim na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Jej uwagę zwrócił także inny temat – cytujemy:

Rozumiem, że pismo, jak nazwa mówi, poświęcone jest sprawom lwowskim i ludziom z nimi związanym, ale trafiwszy na artykuł p. W. Krawczyńskiego „Lwów opiekunem Sybiraków” miałam niejaką nadzieję odnalezienia tam, przy wzmiance o prof. Dybowskim, notatki o moim prapradziadku po kądzieli, Augustie Kręckim. A. Kręcki był sekretarzem Ekspozytury Rządu Narodowego. Uwięziony w X Pawilonie, skazany na karę śmierci w procesie Traugutta, zamienioną na 10 lat (a może więcej – to do sprawdzenia) ciężkich robót na Syberii (pracował w kopalni soli w Usoli k. Irkucka). Wrócił w 1888 r. do W-wy wydał materiały historyczne do dziejów powstania 1863 (dostępne też w Jagiellonce – w 4 poszczególnych zeszytach). Z B. Dybowskim był [...] zaprzyjaźniony; razem odbywali katorgę syberyjską, razem badali florę Syberii. Sporo pisze o tym sam Dybowski w swoim „Pamiętniku. [...]”

Droga Pani, dziękujemy za tę informację o wspomniałym Polaku. Ale, jak Pani sama zauważyła, nie jesteśmy w stanie ogarnąć tak wielkiego obszaru polskiej walki o niepodległość i męczeństwa, ograniczamy się do naszej bezpośredniej, równie ciężko doświadczonej, małej ojczyzny – Małopolski Wschodniej. Takı postawiliśmy sobie cel i obowiązek.

Pan Antoni Dwojak nadesłał nam z Dolnego Śląska wspomnienie o niezwykłym człowieku, a w liście pisze:

W Waszym kwartalniku umieszczacie notatki o znakomitych Lwowiakach i Kresowiakach, którzy odeszli od nas na zawsze. Mam do Was prośbę o umieszczenie podobnej notatki o wspomniałym Lwowiaku, którym był mgr Henryk Hordt [...]

Oczywiście – zamieszczamy już w tym numerze (z niewielkimi skrótami. Tytuł pochodzi od Redakcji). Mieliliśmy zaszczyt poznać Pana Henryka na którymś ze zjazdów we Wrocławiu i z Jego rąk nabyć znakomitą książkę „Piękno utraconej ziemi”. Bardzo dziękujemy.

Napisała do nas z Warszawy p. Ludmiła Teliczek – tak właśnie, synowa legendarnej Zofii Teliczkowej, w latach międzywojennych właścicielki słynnego „pokoju do śniadań” na rogu Akademickiej i Chorażczyzny. W CL 2/99 zamieściliśmy wspomnienie o Zofii Teliczkowej i jej synu Stanisławie, z którym prowadziła firmę. Wszyscy zostali wywiezieni do Kazachstanu, seniorka rodziny tam zmarła, a Stanisław z żoną wstąpił do armii Andersa. Potem było Monte Cassino i Anglia oraz powrót do Polski. Pani Ludmiła dopiero niedawno dowiedziała się o tamtym wspomnieniu i na jej prośbę wystaliśmy kserokopię (numer dawno wyczerpany). Pani Ludmiła pisze:

... stanął mi przed oczami obraz tamtych dni pięknego mojego miasta Lwowa – różnych dni i tych trudnych. Mąż mój pracował w „Metrobudowie” ... do przejścia na emeryturę. Był znanym sportowcem we Lwowie – „Kurier Krakowski” tak pisał o Nim: „nie tylko dobry piłkarz, ale i tenisista. Turnieje tenisowe wygrywa w Krynicy...”. Ja byłam w Armii gen. Andersa, potem przemianowanej na 2 Pol. Korpus. Wszyscy z jednego Miasta – porozrzucani po świecie...

Pani Ludmiło, a może by Pani napisała coś o tamtej przestawnej firmie? Wszak wiele osób ją doskonale pamięta, przynajmniej z opowiadań, z literatury wspomnieniowej. Czekamy na to!

Pisze z Krakowa p. Wanda Niemczycka-Babel w związku z naszą notatką w CL 4/03 o Sesji Weiglowskiej w Lwowie (IX'03):

W notatce tej napisano, iż pierwszy referat wygłosił p. Waclaw Szybalski (University of Wisconsin, Madison). Otóż: 1) nie podano tytułów naukowych prof. dr. W. Szybalskiego, a po 2) prof. Szybalski nie mógł ze względu na swój ówczesny stan zdrowia przybyć na ową konferencję, choć będąc lwowianinem z urodzenia, bardzo tego pragnął. Wysłał jedynie swój referat, który został odczytany...

Bardzo dziękujemy za tę informację.

Pan Jerzy Birkenmayer pisze z Krzeszowic:

W związku z zapytaniem Redakcji w numerze 4/03, strona 46 – przekazuję 2 odpisy notek

urzędowych dotyczących doktor Stanisławy Ducińskiej. Łączę wyrazy sympatii.

Oto informacje, które nasz Korespondent odszukał w wydawnictwach Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich: Stanisława z Gomolińskich Ducińska, ur. 1888 w Jarosławiu, dyplom lekarski na UJK w 1914 r., ginekolog-położnik II st. Po powrocie do Polski po II wojnie zamieszkała w Nowym Sączu i tam zapewne zmarła.

Bardzo serdecznie dziękujemy.

Pani Marta Woźniak przysłała z Warszawy list, w którym relacjonuje swoje poszukiwanie i odnalezienie domu Gabrieli Zapolskiej we Lwowie – willi „Skiz” oraz związane z tym refleksje. Pani Marta rozpoczęła list słowami: „Wielce szanowna i wielce miła lwowska Redakcjo!”, za co – i za ciekawy list – serdecznie dziękujemy. List potraktowaliśmy jako artykuł i drukujemy wewnątrz tego numeru.

Miły list z Wrocławia, od p. dr Haliny Mędrek:

Na wstępie chciałam pogratulować Panu i całemu Zespołowi za redagowanie bardzo ciekawego kwartalnika. „Cracovia-Leopolis” jest ciekawy, bo jest kronikarskiej – o tym, co było – i co jest aktualnie. Za to dziękuję – niestety dopiero niedawno na mojej drodze spotkałam to pismo.

A teraz coś od serca – otóż w numerze 3/03 pan Adam Trojanowski pozwolił mi pobyc na mojej ukochanej ulicy Tarnowskiego – byłam tam od początku do 1945 roku – do przymusowego wyjazdu do Wrocławia. [...] Chciałabym osobiście – listownie podziękować za to, że byłam w moim ukochanym mieście.

Od wielu lat istnieje przy Klubie Inteligencji Katolickiej [we Wrocławiu] sekcja pomocy Polakom na Wschodzie. Zapytuję, czy moglibyśmy napisać o naszej pracy i zamieścić w Waszym piśmie? [...]

Ależ oczywiście, bardzo o to prosimy.

Wszystkim naszym Korespondentom przesyłamy serdeczne podziękowania za listy i zainteresowanie naszym kwartalnikiem. Daj Boże zdrowia!

Z DZIEJÓW PIERWOTNYCH LWOWA

dokończenie ze s. 7

toteż w połowie wieku XIII znikł i spustoszał Lwów czysto polski, zaś około r. 1250, władzę swoją usadowił tu książę Daniło, a potem książę Lew.

Nie jest to rzecz nieznana, którą tu poruszamy, wszak Celariusz w r. 1659 w dziele: *Nova descriptione regni Poloniae* podał niezawodnie wedle dawnych wiadomości, iż Leon Książę Lew (na żądanie Tatarów pod wodzą Borundaia) kazał zburzyć warownie Lwowa i Chełma, zatem istniejące od niepamięci. Wówczas to odbudowanie Lwowa nazwano założeniem, które pokutuje do dziś dnia jako złowrózba nieszczęsna a niezgodna z prawdą.

Karamzin mówi wyraźnie, iż w r. 1257 pożar miasta Chełma widać było ze Lwowa. Musiały być te grody obydwu w nazwach swoich dobrze znane, jako już od niepamięci zbudowane i osiadłe dobrze, skoro zapissek taki nic nie wspomina o nowym zdarze-

niu, jakoby ten Lwów miał być na gale zamieszkały. Powstanie nagłe Lwowa byłoby zdarzeniem o wiele głośniejszem niż zwyczajny pożar i ten kronikarz niechybnie byłby tu uwydatnił taki wypadek bardzo osobliwy – a jednak nie uczynił tego. Bo pożar Chełma w r. 1257 było widać ze Lwowa już wielkiego i dawnego!

Ustępliwość nasza na każdym kroku sprawia to, że prawda oczywista schodzi na miejsce ostatnie, a naprzód występują urojenia, przede wszystkim potrzebne dla polityki!...

Książę Lew nie założył, ale zniszczył Lwów, jak Dionizy Zubrzycki twierdzi, spalił, zburzył i opanował, a dopiero potem Lwów za książąt ruskich się odbudowywał.

Kazimierz Wielki nie zdobywał, ale odbierał Lwów i odbierał wszystkie grody Czerwieńskie.

O znaczeniu wybitnym Lwowa głosi ta okoliczność, że arcybiskup lwowski w Senacie Polski zasiadał tuż zaraz po arcybiskupie gnieźnieńskim, gdy ten ostatni zajmował prawicę – tamten lewicę króla.

Odnalazłam SKIZA

dokończenie ze s. 17 – przypisy

- ¹ „Skiza” napisała Gabriela Zapolska we Lwowie w 1908 r.
- ² Stanisław Janowski (1866–1942), malarz portretów, pejzaży i scen rodzajowych. Rodem z Krakowa, mąż G. Zapolskiej 1901–1910. Był bratem malarki B. Rychter-Janowskiej.

- ³ Kolonia Profesorska znajduje się po płn. stronie ul. Łyczakowskiej (górnej), a „Skiz” po pld. Zapolska urodziła się jako Maria Gabriela Piotrowska w r. 1857 w Kiwercach na Wołyniu. Po II mężu Śnieżko-Blocka, zmarła we Lwowie w r. 1921, pochowana na Cmentarzu Łyczakowskim.
- ⁵ Obie ulice, na których mieszkała w swoich ostatnich latach G. Zapolska, znajdują się pomiędzy Szpitalem Powszechnym a Szpitalem Bonifratrów (łączą ulice Głowińskiego i Hoffmana).

NASZE MIASTA BRZEŻANY

W najstarszym obrębie Starego Miasta widoczny kwadratowy rynek z ratuszem, szachownica ulic; kościół parafialny w narożnym kwartale. Układ założonego w 1. poł. XVI w. przez Mikołaja Sieniawskiego miasta świadczy o jego przynależności do zachodniego kręgu kultury.

Rekonstrukcja układu urbanistycznego miasta na przełomie XVII/XVIII w.

I – Zespół zamkowy:
a. domniemane miejsce najstarszego zamku, b. zamek z poł. XVIII w., c. kościół zamkowy z 2. poł. XVI w., d, e, f, g. fortyfikacje zamku (nieistniejące), f. stajnie; II – Stare Miasto; III – Miasteczko; IV – Adamówka; V – Siółko; VI – przedmieście Adamówka; 1. ratusz, 2. kościół parafialny z XVII w. w stylu gotyckim (tzw. *postgotyk*), 3. baszta, od poł. XVIII w. dzwonnica, 4. cerkiew św. Trójcy z XVII–XVIII w., 5. cerkiew św. Mikołaja przy rynku, przebudowana w XIX w. z dawnego składu towarów Ormian, 6. ko-

ściół ormiański z XVIII w., 7. szpital, 8. cerkiew św. Jerzego, 9. kościół św. Mikołaja i klasztor bernardynów, 10. synagoga, 11. szkoła żydowska, 12. brama Lwowska, 13. brama Podhajecka, 14. brama Adamowska, 15. (linia kropkowana) najstarszy obwód obronny miasta z XVI w., 16. obwód obronny z 1. poł. XVII w., 17. (pola zakreślowane) fosy oraz obszary zalewowe.



Archiwum

To już sto lat

ciąg dalszy z nr 4/03

I tak rozpoczęła się trwająca potem długie lata rywalizacja *powidlaków* (Czarni) z *pogórczykami* albo *pogoniarzami* – jak nazywali ich kibice. Początkowo górą byli Czarni, mający we władzach wielu prominentów miejskich, a w drużynie tak świetnych piłkarzy jak Tadeusz Kowalski i Henryk Bilor. Jednak już wtedy najważniejsza była kasa. Właściciel sieci kin w Galicji (m.in. „Pasażu” we Lwowie i „Wandy” w Krakowie) Ludwik Kuchar darzył Pogoń wielką miłością i zawsze okazywał szczodrość, gdy klub był w potrzebie. To dzięki jego pomocy w 1913 r. za Rogatką Stryjską, tuż koło Parku Kilińskiego, odbyło się otwarcie klubowego stadionu. W inauguracyjnym meczu na boisku wystąpiło czterech jego synów. Przemawiając podczas uroczystości wiceprezydent Lwowa Leonard Stahl wyraził radość z powodu otwarcia boiska, w którym widział „placówkę ku odrodzeniu narodowemu stworzoną”.

Dynastia Kucharów

Od samych początków z Pogonią związany był ród Kucharów – sześciu braci: Tadeusz, Karol, Władysław, Waclaw, Mieczysław i Zbigniew. To oni stworzyli potęgę tego klubu. Odnosili sukcesy w piłce nożnej, lekkiej atletyce, pływaniu, łyżwiarstwie, hokeju na lodzie, gimnastyce, tenisie i w sumie zdobyli ponad sto tytułów mistrzów swego miasta. Waclaw Kuchar występował w barwach Pogoni od 1912 do 1935 r. Razem ze swą drużyną czterokrotnie zdobył tytuł mistrza Polski 1922–23 i 1925–26. Obok niego grało w Pogoni wielu innych znakomych piłkarzy, jak Mieczysław Batsch, Józef Garbień, Stanisław Deutschman, Spirydion Albański, Michał Matyas. [...]

W 1939 r. oba kluby przestały istnieć, ale słuch o lwowskich piłkarzach nie zginął. Waclaw Kuchar został zatrudniony w PZPN i w 1948 r. poprowadził naszą jedenastkę w pamiętnym zwycięskim meczu 3:1 z Czechosłowacją.

Michał Matyas-Myszka był selekcjonerem kadry w latach 1951–52 i 1966–67. Wychowanek Lechii Ryszard Konciewicz, choć sam nie odniósł zwycięstw, w latach 1968–70 stworzył fundamenty pod przyszłe sukcesy sławnej jedenastki lat siedemdziesiątych. Najpiękniejszy

okres polskiego piłkarstwa to lata 1971–76, kiedy reprezentacją kierował wychowanek lwowskiego RKS Kazimierz Górski. Nasza drużyna zdobyła wówczas srebrny medal mistrzostw świata (Monachium 1974) i dwa medale olimpijskie (Monachium 1972 – złoty i Montreal 1976 – srebrny). Zawsze we wszystkich wywiadach podkreślał, że jest kontynuatorem tradycji lwowskiego futbolu.

W Parku Stryjskim

Dzisiaj, kiedy skoki narciarskie stały się niemalże naszym narodowym sportem, warto może przypomnieć ich początki. Przed stu laty w Parku Stryjskim, jednym z najpiękniejszych i największych w Europie, budowano pierwsze skocznie, na których pojawili się „śmiałkowie próbujący fruwać na nartach”. Byli wśród nich m.in. Jarzyna, Kawecki, Pawłowski, Worosz. Pierwszy w dziejach polskiego narciarstwa konkurs odbył się 19 stycznia 1907 r. w Sławsku, a jego zwycięzcą został Leszek Pawłowski, jeden z najwszechstronniejszych sportowców Czarnych, piłkarz, narciarz, cyklista. O ile w skokach dominowali narciarze Czarnych, to w biegach bezkonkurencyjni byli zawodnicy Pogoni. W 1908 r. zawody o mistrzostwo Lwowa organizowano przy sztucznym świetle.

Powszechnie za ojca polskiego narciarstwa uważa się Stanisława Barabasza, ale – jak twierdzi Roman Kordys – kolebką był Lwów. Na początku XX w. powstało Koło Narciarskie, w którym obok Romana Kordysa znaleźli się Zygmunt Klemensiewicz, Maksymilian Dudryk, Kazimierz Panek, Tadeusz Smoluchowski. W 1904 r. dołączyli oni do Towarzystwa Zabaw Ruchowych, a 2 stycznia 1907 r. z ich inicjatywy powstał pierwszy polski klub Karpackie Towarzystwo Narciarzy, mający swe oddziały w wielu miastach Galicji. Najbardziej zasłużonym propagatorem narciarstwa i taternictwa był prof. Zygmunt Klemensiewicz, wybitny fizyk, wykładowca politechnik we Lwowie, Londynie i Gliwicach. W okresie międzywojennym pełnił funkcję wiceprezesa PZN.

Kilka innych dyscyplin sportu ma także lwowskie korzenie. W styczniu 1905 r. „Sława” zorganizowała pierwszy mecz hokejowy (w wersji *bandy*) Pierwsze szwajcarskie sanki typu Davos sprowadził do Lwowa Ludwik Scherautz, a wkrótce potem pod Wysokim Zamkiem powstał 800-metrowy tor, na którym zorganizował pierwsze zawody prof. Rudolf Wacek. W 1907 r. wyjechała na staż do Anglii Maria Germanówna. Po powrocie do kraju stała się propagatorką nieznaney dotychczas w Polsce koszykówki. Jako pierwsze zaczęły uprawiać tę grę uczennice lwowskich szkół.

Niewielu kibiców wie, że Lwów to także kolebka polskiej lekkiej atletyki. Pierwsze wzmianki o zawodach lekkoatletycznych pochodzą z jesieni 1887 r., kiedy to w sali „Sokoła” przy ul. Łyczakowskiej przeprowadzono *ogólnomiejskie konkursy w skokach wzwyż i w dal dla najlepszych*. Lekkoatletyka zyskała popularność przede wszystkim w środowisku akademickim. Z powodzeniem na arenie międzynarodowej wystartowali Józef Kawecki, Władysław Ponurski i najwszechstronniejszy z ówczesnych lekkoatletów Tadeusz Kuchar. Ponurski wziął nawet udział w igrzyskach olimpijskich 1912 r. w Sztokholmie, występując w barwach Austrii (Kuchar nie stanął do przedolimpijskich eliminacji, bo nie chciał być reprezentantem obcego kraju). Przed I wojną światową wszystkie nieoficjalne rekordy Polski należały do lwowskich lekkoatletów (Pogoń 20 i Czarni 6). Wiele z tych wyników przetrwało w tabelach jeszcze długie lata.

Dokończenie – o udziale lwowskich sportowców w obronie swego Miasta – zamieścimy w CL 4/04. Powyższy tekst jest skrótem artykułu Zbigniewa Chmielewskiego, zamieszczonego w „Polityce” 33/03.

Na marginesie

Nie ma wątpliwości, że czołowymi postaciami i legendą polskiego sportu XX wieku byli **Wacław Kuchar i Kazimierz Górski**. Z satysfakcją przyjęliśmy wiadomość, że Kazimierz Górski otrzymał ostatnio doktorat *honoris causa* Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku oraz został honorowym obywatelem i patronem nowego stadionu tamtejszej „Wisły”. Nasze gratulacje!

W prasie przeczytaliśmy: KAZIMIERZ GÓRSKI jest najlepszym trenerem w historii polskiej piłki nożnej. Urodził się 2 marca 1921 r. we Lwowie, gdzie zaczynał w miejscowym RKS. Był napastnikiem. W 1945 r. z wojskiem przeszedł do Warszawy; grał w Legii i reprezentacji Polski. Potem został trenerem. Od 1970 r. prowadził reprezentację. Wtedy rozpoczęła się wielka era w polskim futbolu. Najpierw było złoto na olimpiadzie w Monachium (1972), później mecz z Anglią na Wembley (1973), trzecie miejsce na MŚ w Niemczech (1974) i srebro olimpijskie w Montrealu (1976). Pracował też w Grecji. W latach 1991–95 był prezesem PZPN, od 1995 r. jest jego honorowym prezesem.

P R O Ś B A

Nasza Czytelniczka zamieszkała w Poznaniu chciałaby – uzupełniając własną genealogię – zebrać wiadomości o swej wschodniomałopolskiej rodzinie po kądzieli:

SAS-WISŁOCKICH

Osoby tego nazwiska lub takie, które miałyby informacje o tej – podobno niegdys szeroko rozrodzonej rodzinie, proszone są o nadesłanie ich na adres:

Krystyna Kubiak, 60-135 Poznań, ul. Raszyńska 13 m. 4

P R O Ś B A

Jako historyk-genealog i heraldyk interesuję się dziejami kresowych rodzin szlacheckich i ziemiańskich. W związku z tym zbieram wszelkie materiały ikonograficzne, genealogiczne i heraldyczne o tych rodzinach, przede wszystkim nie objętych herbarnem A. Bonieckiego (czyli od nazwiska *Makomaski* do końca alfabetu).

Zwracam się przeto do osób, które posiadają takie materiały, z uprzejmą prośbą o ich (nieodpłatne) udostępnienie do mojej pracy.

Wiesław Adam Tobiasz

Mój adres:

**33-300 Nowy Sącz I, ul. Kochanowskiego 40/1
tel. kom. 694-368-469**

ZAULĘK (4)

Tematy spotkań TMLiKPW w Klubie „Zaulek” w Krakowie 1999/2000

7 IX 1999. Teresa Wilkowa i Marta Walczewska relacjonują wycieczkę do Stanisławowa, a Łucja Gedl opowiada o prowadzonych przez siebie wycieczkach (w tym z Żydami) do Lwowa. Emilia Fedyk składa relację o pielgrzymce do Warszawy.

5 X 1999. Janusz Paluch opowiada o wycieczce do Złoczowa i Krzemieńca – w związku z 200. rocznicą urodzin J. Słowackiego.

9 XI 1999. Janusz Ragankiewicz (prezes TMLiKPW w Lesznie) omawia festiwal w Lesznie i prezentuje swoje wiersze.

7 XII 1999. Roman Hnatowicz prowadzi „wieczór przy świecach”, poświęcony wspomnieniom o rodzicach.

4 I 2000. Film wideo o Lwowie autorstwa Andrzeja Żuka.

1 II 2000. brak zapisu

7 III 2000. Licytacja obrazka Stefana Berdaka (cel charytatywny). Demonstracja mapy *Dziedzictwo Polski*.

4 IV 2000. brak zapisu

2 V 2000. brak zapisu

6 VI 2000. Licytacja obrazu Tadeusza Knausa. Spotkanie z dr. Adamem Wolańcikiem.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzyśiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, fall@fall.pl

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiuścacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Słowo od redakcji			
NOWE CZASY	II	Andrzej Kaczyński	33
Felieton		Naszym zdaniem	
Barbara Czałczyńska	1	WARTĄ NIC NIE WARTA	35
LWOWSKIE PIOSENKI		Andrzej Chlipalski	
Andrzej Chlipalski	2	Z ESTONII W LWOWSKIE ROZTOCZE	36
W KRAKOWIE JUBILEUSZ		Z tamtej strony	
Ks. Henryk Polak	2	Andrzej Chlipalski	
JEST ZA CO DZIĘKOWAĆ BOGU		OCZEKUJEMY NOWEJ BŁOGOSŁAWIONEJ	40
Jan Sas Zubrzycki	5	Dorota Sękowska	
Z DZIEJÓW PIERWOTNYCH LWOWA		NA GRANICY CUDU	41
Łukasz Walczy	8	Elżbieta Mokrzyńska	
POCZĄTKI LWOWA W ŚWIETLE		NOWY KONSUL GENERALNY...	42
NAJNOWSZYCH BADAŃ		WYDARZENIA	43
Walentyna Węgrzyn-Klisowska	12	Słownik geograficzno-	
WIELKIE LATA LWOWSKIEJ OPERY		-historyczny	
Marta Woźniak	16	BOLECHÓW ♦ DOBROSIN ♦ CHOCIMIERZ	
ODNALAZŁAM „SKIZA”		♦ KULIKÓW ♦ MALECHÓW (lwow.)	
Archiwum	18	♦ MALECHÓW (stanisl.) ♦ SKWARZAWA	
PRZEDWOJENNE PODRÓŻE...		STARA i NOWA ♦ TRYBUCHOWCE (lwow.)	
Rozmowy	18	♦ TRYBUCHOWCE (tarnop.)	41
Janusz M. Paluch		♦ TRYBUCHOWCE (tarnop.)	
ROZMOWA Z K. CZAJKOWSKA	19	W Krakowie i dalej	
Andrzej Chlipalski		Stanisław Sochaniewicz	
ROZMOWA Z KS. K. PANASOWCEM	24	BRZEŻAŃCZYCY SPOTKAJĄ SIĘ...	44
Archiwum	21	Kazimierz Selda	
SIEDEM MIAST		TEŻ NIEWIWINNI?	45
Wiersze		NOTATKI	46
Krzysztof Angielski	26	Kultura ♦ Nauka	
SERCE ♦ KRAKOWSKIE IMPRESJE		KRONIKA	47
Proza	27	Książki ♦ Czasopisma	
Ewa Śliwicka		Aldona Duch	
MOJE PODWÓRKO		NOWE KSIĄŻKI	48
Danuta Nespik	27	Elżbieta Mokrzyńska	
UNIA EUROPEJSKA ANTE PORTAS		WERTUJĄC WYDAWNICTWA	57
Eugeniusz Tuzow-Lubański	29	LWÓW W POZNANIU	62
ŻNIWA POSTSOWIECKIE		Danuta Trylska-Siekańska	
Sylwetki	31	Z GÓRNEJ PÓŁKI	62
Antoni Dwojak		Listy	63
NAUCZYCIEL, SPOŁECZNIK,		Nasze miasta	
MIŁOŚNIK GÓR	33	BRZEŻANY	66
		Archiwum	
		TO JUŻ STO LAT (2)	67